



lesiojot



FRANCIS DURBRIDGE

MOJA ŻONA MELISSA

CZYTELNİK

FRANCIS DURBRIDGE

MOJA ŻONA MELISSA

TLUMACZYŁ KAZIMIERZ PIOTROWSKI



CZYTELNIK · WARSZAWA · 1976

Rozdział pierwszy

W dniu śmierci Melissy wróciłem wieczorem do domu z Fleet Street w bardzo podłym humorze. Nie dostałem pracy, o którą się starałem w pewnym dzienniku. Wiedziałem, że Melissa wpadnie w gniew, jak się o tym dowie, co z kolei wywoła u mnie wyrzuty sumienia, i pewnie dlatego, zanim przekręciłem klucz w zatrzasku drzwi od frontu, już byłem gotów jej się sprzeciwić.

Pudło z kapeluszem nie poprawiło sytuacji. Wpadło mi w oko, ledwie wszedłem do hallu. Była to przedziwna rzecz w złote i szkarłatne paski, przewiązana jedwabną kokardą nadnaturalnej wielkości. Oczywiście kartkę z ceną usunięto, niemniej z bólem w sercu odliczyłem znów dwadzieścia gwinei od niezbyt różowo przedstawiającego się salda naszego wspólnego konta w banku. Melissa miała słabość do nowych kapeluszy. Czasem wydawało mi się, że im dłużej jestem w pracy, tym bardziej wymyślne kapelusze kupuje moja żona, choć Bóg raczy wiedzieć, co z nimi robi - prawie ich nie nosi. „Ile w tobie dowcipu, ukochanie moje - powiada poeta - o tym mi mówią twe rozliczne stroje”. Oto cała Melissa, ukochanie moje. Szafy pełne kosztownych strojów i zupełny brak troski o to, skąd weźmiemy pieniądze na uregulowanie rachunków. Przechodząc przez hall, usłyszałem jej śpiewny głos. Było w nim ukryte żądło.

- To ty, Guy? Spóźniłeś się.

- Na co się spóźniłem?

- Na przyjęcie u Dona. Nie powiesz mi chyba, że zapomniałeś. Zapomniałem. Zakląłem pod nosem i wszedłem do sypialni. Byli tam Paula i Felix Hepburnowie. Paula trzymała w ręce szklanę z whisky. Wesóło podniosła ją w moją stronę z tym

swoim zaraźliwym uśmiechem. Zdobyłem się na mały uśmiech. Lubię ją, ale właśnie tego wieczoru mogłem się obyć bez Hepburnów. Felix zajęty był akurat zapinaniem błyskawicznego zamka koktajlowej sukni Melissy.

- Siemasz, Guy - powiedział. - Przyłapałeś mnie, jak zdieram suknię z kuszących pleców twej żony.

Znów wysiliłem się na blade uśmiech. Felixa też lubię. Dość tępa głowa, ale znamy się od dawna i przy nim doznaję ulgi po kontaktach z zaprzyjaźnionymi intelektualistami.

- Guy! Może jednak byś się przebrał - cierpkim tonem odezwała się Melissa. - Spóźnimy się do Dona. Przecież wiesz, dzisiaj są jego urodziny.

- Rzeczywiście? To ile lat skończył? Szesnaście?

- Niegrzeczny jesteś - stwierdziła Paula.

Nie przepadam za Donem Page'em. Jako dzieci - jeśli jesteśmy chłopcami - spędzamy wiele czasu na jawie i we śnie za kierownicą czerwonego wozu wyścigowego (poruszanego za pomocą pedałów) i obijamy się na zakrętach w ogrodzie za domem lub na rogach ulicy. Nieco później, po okresie pokwitania, robimy to samo, tylko tym razem siedzi obok nas fantastyczna blondynka, a wóz ma napęd mechaniczny. A potem jesteśmy dorośli. Wszyscy, z wyjątkiem takich jak Don Page. On nadal to robi, mimo poważnej katastrofy na wyścigach w Le Mans, rok czy dwa lata temu.

Felix był dziś nadspodziewanie bystry i zauważył nutę ironii w moim głosie.

- Mylisz się - powiedział. - Don ma nie więcej jak dwadzieścia sześć lat, prawda, Melisso? Przecież, jak zdobył odznakę Stirlin-ga Mossa, miał zaledwie dwadzieścia jeden. Jest najmłodszym i najszybszym...

- Don Page może być najmłodszym, najszybszym i najprzystojniejszym mężczyzną pod słońcem - przerwałem mu - ale tak się składa, że nie mógłbym dzisiaj znieść widoku jego nieskazitelnego profilu za tym ogromnym barem. Przekaż mu głębokie ukłony ode mnie i powiedz, że okropnie mnie boli głowa, co zresztą jest prawdą.

- Biedny Guy, rzeczywiście wyglądasz fatalnie - rzekła Paula

ze szczerym współczuciem. - Przyniosę ci whisky.

Wyszła z sypialni i ku mojemu zdumieniu Felix taktownie poczłapał za nią. Nie bardzo wiem, dlaczego określiłem to: poczłapał. Nie jest taki stary. Niedawno skończył czterdzieści lat. Ale pociąga nogami, podczas gdy Paula, nie wiadomo o ile starsza od niego (Melissa twierdzi, że o dziesięć lat), promieniuje wiosenną radością.

Dość na tym, że zostawili mnie sam na sam z Melissą, co naturalnie było sygnałem do chaotycznej sprzeczki, jakie miewaliśmy aż nazbyt często. Już nie pamiętam, co powiedziałem. Miałem nieczyste sumienie, bo po południu nie przyjąłem zaofiarowanej mi pracy, wobec czego instynktownie zaatakowałem pierwszy: nowy kapelusz, jej rozrzutność w ogóle, szwendanie się z jednego przyjęcia na drugie, i tak dalej. Odparowała, że przypominam niedźwiedzia z bolącą głową, że tylko przez nedorzeczną próżność wyobrażam sobie, że pisanie powieści coś zarobię i że w końcu pokonany znów przyjmę posadę na Fleet Street.

Drzwi do sypialni były otwarte, Felix i Paula pewnie nas słyszeli, ale burza szybko przeleciała i doszliśmy do porozumienia. Melissa zgodziła się iść na przyjęcie beze mnie i usprawiedliwić moją nieobecność.

- A masz prezent dla jubilata? - spytałem, udając, że humor mi się poprawił. Dołączyliśmy do Hepburnów.

- Kupiłam mu eleganckie rękawiczki, zamszowe, strasznie drogie... gdzież, u licha, je posiałam? - odparła roztargniona Melissa.

Zaczęła się pogoń za rękawiczkami. Takie szaleństwo wybucha zawsze, gdy Melissa coś zapodzieje, co się zdarza mniej więcej dwadzieścia razy na tydzień. W końcu rękawiczki się znalazły. Owinięte w bibułkę, były schowane za jej czarną torebką na pudle z kapeluszem w hallu.

- Co powiesz o tych rękawiczkach? Będą pasowały?

Odparłem, że chyba tak, zachichotała, cmoknęła mnie w policzek, po czym gorączkowo poinformowała, co znajduje się w lodówce na kolację, i wszyscy troje wyszli. Patrząc przez okno salonu, jak na dole wychodzą na ulicę, zauważyłem, że moja

roztargniona żona nie wzięła płaszcza. Ale futro Pauli, z czarnych perskich jagniąt, było tak obszerne, że obie mogły się nim okryć. Rura wydechowa rozklekotanego austina Felixa zaczęła strzelać - odjechali. W hallu ujrzałem jeszcze jeden dowód na to, że Melissa jest szaloną kobietą. Zapomniała wziąć torebkę, która wciąż leżała na pudle z kapeluszami. Wzruszyłem ramionami i wszedłem do salonu.

Przeciągałem się jak kot i głęboko odetchnąłem. Wieczór należał do mnie. Przede mną rozciągała się perspektywa długich godzin niczym niezmaconego skupienia. Nigdzie mi się tak dobrze nie pracuje, może z wyjątkiem naszego domku nad morzem, w Lenton.

Zwlekając z wkręceniem czystego arkusza w maszynę do pisania i rozpoczęciem nowego rozdziału powieści, przez chwilę wprost pławiłem się w ciszy, po czym nader starannie przyrządziłem sobie whisky, zapaliłem papierosa i siadłem. Po chwili wpadł mi w oko adapter. Na ramieniu tylko jedna płyta czekała, by automatycznie zsunąć się na tarczę i zalać pokój dziwną, subtelną i aż nadto dobrze mi znaną melodią, która zaczyna się od głośnego brzdąkania gitary wybijającej główny motyw. Jest to muzyka nowoczesna, z biglem, wykonana (jak mi powiedziano) głównie na organach Hammonda. Płyta ma jakiś tam tytuł, aleja nazywam ją „melodią Melissy”, bo żona grają dzień i noc. Melodia ta straszy w całym domu i jeżeli ktoś wreszcie kupi nasze mieszkanie, przysięgam, że będzie musiał przejąć tę przeklętą płytę jako nieodłączną przynależność.

Po chwili podszedłem do konsoli, odłożyłem na bok „melodię Melissy”, wybrałem cykl kojących koncertów fortepianowych Mozarta, ściszyłem głos adaptera i usadowiłem się przy maszynie.

Nowy rozdział dobrze poszedł. Strona po stronie spływały z maszyny i była to solidna robota. Gdy zadzwonił telefon, byłem zdziwiony, że czas tak szybko leci. Mały zegarek stojący na biurku obok telefonu wskazywał za dwadzieścia jedenastą. Pogrążony w pracy, nie od razu uświadomiłem sobie, że to Melissa telefonuje do mnie. Odniosłem wrażenie, że dobrze się bawi. Na przyjęciach zawsze jest w świetnym nastroju.

- Jak idzie, kochanie?
- Co?
- Książka, głuptasie - roześmiała się.
- Dość dobrze. A co tam u ciebie?
- Słuchaj, jestem u Dona, poznałam szalenie interesującego człowieka, nazywa się Walter Starr. Pewnie o nim słyszałeś, to...
- Walter Starr! Naturalnie, słyszałem o nim, a jakże! Pół Piccadilly należy do niego, a drugą połowę chce zburzyć.
- Posłuchaj, kochanie. Mówiłam z nim o tobie, ogromnie się zainteresował i teraz chce się z tobą zobaczyć...
- Jak to... zaraz? - Nie chciałem, by to zabrzmiało opryskliwie.
- Tak. Zaprosił nas, jakieś sześć osób, do siebie. Powiedziałam, że ty też się tam zjawisz.
- Ale niby z jakiego powodu taki Starr chce mnie poznać?
- Mówi, że zamierza kupić jakieś pismo i chciałby się zorientować, co... och, mój złoty, nie marudź. Zapisz sobie adres.
- Podala mi ten adres. Mieszkał przy Clinton Mews, niedaleko Regent's Park. Nigdy nie słyszałem o tej uliczce, ale Melissa była w tak szampańskim humorze, że nie dopuściła mnie do słowa.
- Roxford House, Clinton Mews? - powtórzyłem.
- Tak jest, kochanie. Wyjedziemy stąd za jakieś dwadzieścia minut. Do widzenia. Och, Guy! Byłabym zapomniała... Zostawiłam w domu torebkę.
- Tak, wiem. Leży w hallu na pudle z kapeluszem. Zauważyłem ją zaraz po twoim wyjściu.
- Przywieź ją, kochanie. A teraz pa!
Trochę mnie irytowało, że muszę oderwać się od pracy, ale chyba mogło mi to wyjść na dobre, bo byłem już zbyt zmęczony, żeby pisać do rzeczy. A poza tym wiedziałem, że Melissa zmyłaby mi głowę, gdybym zignorował propozycję, jakiej należało oczekiwać od Waltera Starra. Nakryłem maszynę, włożyłem marynarkę, znalazłem krawat, po czym zastanowiłem się, czyby się szybko nie ogolić. Powiedziałem sobie jednak: do diabła z panem Walterem Rekinem Starrem. Niech mnie polubi nie ogolonego albo niechże facet robi sobie

pismo bez mojej pomocy. Wziąłem z sypialni płaszcz i kapelusz, namacałem w kieszeniach portfel i kluczyki od samochodu i wyszedłem do hallu po torebkę Melissy.

Wszystko jakoś szło. Z jednym wyjątkiem - nie było w hallu torebki.

Stałem przez chwilę, patrząc na stolik, na którym leżała przedtem torebka na czerwono-złotym pudle. Ale pudło z kapeluszem też zniknęło. Byłem tak pewny, że właśnie tutaj Melissa położyła pudło i torebkę, iż ledwo zmusiłem się do poszukiwań w mieszkaniu. Niestety, nic to nie dało.

Zagadkę niewątpliwie można było wyjaśnić w jakiś bardzo prosty sposób. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła jedenasta. Na pewno Wielki Starr był skłonny zainteresować się moją osobą w ściśle ograniczonym czasie. Wyszedłem na ulicę i pojechałem samochodem w stronę Regent's Park.

Na dość kiepskim planie miasta, jaki miałem w hillmanie, nie było Clinton Mews. Kręciłem się koło południowych wejść do parku. Szczęśliwym trafem zobaczyłem policjanta szybko wchodzącego przez bramę. Zawróciłem i wjechałem do parku w ślad za nim.

Był to młody chłopak, niezbyt rozgarnięty. Tak mi się przynajmniej zrazu wydało. Potem zdałem sobie sprawę, że interesuje go tylko jakiś wypadek, który zdarzył się na pobliskiej skarpie. Zobaczyłem gromadkę uwijających się mundurowych i usłyszałem z dala sygnał karetki pogotowia. Zapytałem policjanta, czy mógłby wskazać mi drogę do Roxford House przy Clinton Mews, ale nie mogliśmy się dogadać. Tęgi facet w jasnym płaszczu nieprzemakalnym szedł w naszą stronę. Zobaczył mnie, zawahał się i podszedł do samochodu.

Policjant zwrócił się do niego per „panie inspektorze” i spytał, czy wie, gdzie jest Roxford House. Ten inspektor coś odpowiedział, ale nie słuchałem. Utkwiłem wzrok w futrze, które przewiesił przez rękę. Zauważył to.

- Czy pan poznaje to futro? - spytał mnie obcesowo niskim głosem z lekkim szkockim akcentem.

Odpowiedziałem, że chyba tak.

Podniósł futro, bym mógł dobrze się przyjrzeć. Były to czarne

perskie jagnięta, tak obszerne, że mogły się nimi okryć dwie kobiety.

- Chciałbym sprawdzić, czy na wewnętrznej stronie klapy tego futra jest mała maskotka - powiedziałem.

Obejrzał klapy.

- Rzeczywiście, jest.

- Czerwona biedronka?

- Właśnie.

- W takim razie to futro należy do mojej znajomej, Pauli Hepburn. Stale nosi tę maskotkę. Mówi, że przynosi jej szczęście.

Inspektor przyjrzał mi się uważnie.

- Niestety, maskotka dzisiaj zawiodła, proszę pana. Pani Hepburn została uduszona na szczycie tej skarpy dzisiaj, późnym wieczorem. Będę musiał prosić, żeby pan zechciał podejść tam ze mną i rozpoznać zwłoki, jeśli pan nie ma nic przeciw temu.

Odrętwiały z wrażenia wygramoliłem się z samochodu i poszedłem za inspektorem. Po drodze spytał mnie, kiedy ostatni raz widziałem Paulę Hepburn. Powiedziałem o przyjęciu u Dona, mruknął coś w odpowiedzi. Podeszliśmy do karetki pogotowia. Dwaj mężczyźni w ciemnych mundurach ostrożnie schodzili ze skarpy z noszami, na których leżały zwłoki nakryte kocem.

Gdy mijali inspektora, dał im znak, by przystanąli. Delikatnie ściągnął koc z głowy.

- Czy to jest Paula Hepburn?

Świat w moich oczach zrobił wolno pół obrotu. Ogarnęły mnie mdłości. Nie widziałem już, jak wkładali Melissę do karetki.

Ktoś musiał mnie odwieźć do domu, dać środek uspokajający i ułożyć w łóżku jak dziecko. Raczej się nie dowiem, kto to zrobił, głupio mi było dopytywać. Na pewno nie Cameron, tęgi inspektor szkockiego pochodzenia. Z miejsca, gdzie popełniono morderstwo, pojechał prosto do mieszkania Dona Page'a - powiedział mi to, kiedy przyszedł następnego dnia rano. Jego łagodny głos odwracał uwagę od grubych, niemal odpychających rysów twarzy. Przypominał dobrodusznego

morsa w schludnym ciemnym garniturze.

- Skąd pan wczoraj wiedział, gdzie znaleźć Paulę Hepburn? - spytałem jeszcze nie całkiem rozbudzony. Siedziałem naprzeciw niego przy dzbanku kawy.

- Pan mi powiedział.

- Ja? Kiedy?

- Jak szliśmy do karetki pogotowia. Powiedział pan, że Hepburnowie wzięli pańską żonę na urodzinowe przyjęcie u pana Donalda Page'a. Nietrudno jest dowiedzieć się, gdzie mieszka taki sławny człowiek. Pojechałem tam natychmiast z tej prostej przyczyny, że chciałem się dowiedzieć, dlaczego pańska żona w chwili morderstwa miała na sobie futro pani Hepburn.

- A dlaczego?

- Pan nie może mi tego wyjaśnić?

- Nie, panie inspektorze. Jak już mówiłem, Melissa bardzo się śpieszyła i zapomniała płaszcza i torebki. Potem już jej nie widziałem, aż do... aż do...

- No tak, torebka. Zaraz do niej wrócimy. Kiedy wczoraj w mieszkaniu Page'a rozmawiałem z państwem Hepburn, powiedzieli, że pańska żona zgodziła się pożyczyć futro od pani Hepburn, ale gdy się okazało, że zapomniała także torebki, postanowiła wrócić po nią do domu. Hepburnowie chcieli wrócić z pańską żoną, ale byli już spóźnieni na przyjęcie; pani Foster, pańska żona, nie chciała o tym słyszeć i uparła się, że wróci taksówką. Noc była chłodna - pani Hepburn pożyczyła jej futro.

- Rozumiem. Sprawa futra się wyjaśniła.

- Została torebka.

- Tego nie umiem wyjaśnić. Kiedy żona zatelefonowała, odpowiedziałem bez namysłu, że torebka leży w hallu, na pudle z kapeluszem. Nie miałem cienia wątpliwości, że tam jest. Może pan sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy się okazało, że zniknęła.

- Tak - przyznał inspektor nieco oschle. - Która to była godzina, panie Foster?

- Za dwadzieścia jedenasta. Pamiętam, że spojrzałem na zega-

rek stojący na biurku, przy którym pisałem, i byłem zdziwiony, że trzy godziny tak szybko przeleciały.

- A w ciągu tych trzech godzin, z grubsza od za dwadzieścia ósma do za dwadzieścia jedenasta, powiada pan, że nie wychodził z mieszkania.

- Z wszelką pewnością nie wychodziłem.

- I nikt pana nie odwiedził?

- Absolutnie nikt.

- To bardzo ważne - nalegał Cameron. - Może zapomniał pan, że jakiś przypadkowy gość wstąpił na chwilę...

Potrząsałem głową.

- Nikt do mnie nie wstąpił. Cały wieczór byłem sam. Cameron prześwidrował mnie spojrzeniem. Już mi nie przypominał życzliwego morsa. Nastąpiła długa chwila żenującego milczenia. Nalałem znowu kawy.

Jeżeli dotąd opowiadałem o tym spotkaniu w sposób chłodny i rzeczowy... jeżeli z osobliwą naiwnością nie zdawałem sobie sprawy, że się znajduję w krzyżowym ogniu pytań zadawanych przez biegłego w swym fachu inspektora z wydziału kryminalnego, to mogę tylko zapewnić, że tak rzeczywiście było. Po prostu znajdowałem się w stanie przewlekłego szoku. Przerazająca świadomość, że Melissa nie żyje, jeszcze nie przeniknęła przez mgłę odrętwienia. Okrutna nowina miała dojść do mnie niebawem, ale na razie, wciąż oszołomiony snem, odpowiadałem na pytania Camerona, jakby był nieszkodliwym wysłannikiem jakiejś firmy sondującym opinie klientów. Dopiero w miarę pytań, kiedy jego głos i zachowanie nabierały surowości, a spojrzenie stawało się coraz bardziej przenikliwe, zacząłem powoli zdawać sobie sprawę, że inspektor nieubłaganie zmierza do celu. Do wyraźnego celu, bardzo dla mnie nieprzyjemnego.

Wypił kawę do dna, wyjął notes i poprosił, żebym dokładnie powtórzył, co powiedziała Melissa przez telefon za dwadzieścia jedenasta. Mówiłem już dwa razy, powtórzyłem jeszcze raz. Zapisał, słowo po słowie.

- Wtedy nie miał pan wątpliwości, że telefonuje pańska żona? Musiałem zrobić głupią minę.

- Oczywiście! To była ona. Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi?

- Czy żona stale mówiła do pana „mój złoty”?

- Tak mówiła.

- A głos... i śmiech... nie wzbudziły najmniejszych wątpliwości?

- Jak mi Bóg miły - nie. Ma... miała melodyjny, dźwięczny głos, a jej śmiech też mi jest dobrze znany.

- Jeżeli była to pańska żona... dlaczego wprowadziła pana w błąd co do kilku rzeczy?

- Na przykład?

- Na przykład, twierdziła, że mówi z mieszkania Page'a.

- Bo tak było.

- Nie, proszę pana. Wcale tam nie była. Wszyscy świadkowie, którzy byli na przyjęciu, zgodnie zeznają, że się tam w ogóle nie pokazała. Wsiadła z samochodu Hepburnów, by wziąć taksówkę, i do chwili, gdy znaleziono ją uduszoną w parku, nikt jej nie widział.

Oszupiały, potrząsnąłem głową. Nic z tego nie rozumiałem. Zapaliłem papierosa. Inspektor mówił dalej.

- Hepburnowie, rzecz jasna, zaniepokoił się, gdy nie zjawiała się na przyjęciu, i zadzwonili do pana około wpół do dziesiątej.

- Diabła tam! - odparłem z oburzeniem. - Przez cały wieczór nie wychodziłem z domu i dzwoniła tylko Melissa.

Inspektor spokojnie skinął głową.

- To możliwe. Zdaje się, że pański telefon się zepsuł. Pan Hepburn słyszał tylko sygnał, ale nikt nie podnosił słuchawki. Powiada, że oboje doszli do wniosku, że nie ma się czym martwić, bo pańska żona na pewno wróciła do domu po torebkę, pogodziła się z panem po nieporozumieniu, do jakiego doszło przed jej wyjściem, i może namówiła pana, by ją zaprosił na drinka czy coś w tym rodzaju.

- Bardzo to pięknie brzmi - wtrąciłem - tylko Melissa wcale nie wróciła do domu, a ja nigdzie nie wychodziłem.

Cameron chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się, zapalił papierosa i zaczął z innej beczki.

- Wróćmy jeszcze do telefonu pańskiej żony. Nie tylko

wprowadziła pana w błąd co do miejsca, z którego dzwoniła, ale wymyśliła jeszcze, że Walter Starr jest na przyjęciu. A fakty są inne: Page w ogóle nie zna Waltera Starra, Starr nie mieszka w pobliżu Regent's Park, a w tej chwili jest za granicą. Ma mieszkanie w Mayfair, wiejski dom koło Amersham, a sam jest teraz na wakacjach w Nassau.

Zaciągnąłem się głęboko papierosem i przez chwilę się zastanawiałem.

- Mówi pan o wprowadzeniu w błąd. Jest to uprzejma forma na określenie kłamstwa. Chce mi pan dać do zrozumienia, że Melissa zadała sobie trud, by zadzwonić do mnie i naopowiadać kłamstw bez sensu. To bzdury. Dlaczego miałyby to zrobić? Nie była taka.

- A jaka była, panie Foster?

- Słucham pana?

- Proszę, żeby pan scharakteryzował zmarłą żonę... i pańskie małżeństwo.

Nie wiem, jak by zareagował kto inny na takie bezceremonialne pytanie. Muszę przyznać, że się zawahałem. Inspektor widocznie zauważył moje zmieszanie, bo wstał i zaczął spacerować po pokoju. Przystanął przed książkami na półkach zajmujących całą ścianę. Może chciał mi dać czas na zebranie myśli, bo spytał miłym tonem towarzyskiej rozmowy:

- Czy wszystkie te książki są pańskie?

- Tak.

- Hm. To wielka biblioteka, jak na prywatny zbiór... a może są tu także książki pańskiej żony?

- Nie, nie lubiła czytać.

- W ogóle? Wzruszyłem ramionami.

- Żurnale, i właściwie nic więcej.

Cameron mruknął coś, dotykając palcami oprawnych w cielecą skórę przekładów greckich i rzymskich poetów, po czym podszedł do konsoli, na której jeszcze leżał stos longplayów Mozarta, które nastawiałem przy pracy wczoraj wieczór.

- O, Mozart, sonata skrzypcowa C-dur - - powiedział, biorąc płytę leżącą na górze. - Moja ulubiona sonata. A ta płyta wygląda na zgraną - dodał po chwili. - Co to jest?

Wziął płytę Melissy ze stolika, na którym ją położyłem. Powiedziałem, że żona grała ją dniem i nocą.

- Mamy nawet drugi egzemplarz tej płyty w domku nad morzem, w Lenton - dodałem. - Żona była urzeczona tą piosenką.

- A Mozartem też?

- Nie, wcale nie przepadała za muzyką klasyczną.

Byłem wciąż oszołomiony i nie mogłem się zorientować, do czego zmierza inspektor. Może zbyt mnie pochłonęło zbieranie myśli, aby dać uczciwą ocenę kobiety, która była moją żoną przez trzy lata, a teraz nie żyje. Powiedziałem Cameronowi to, co w moich oczach było prawdą. Mówiłem o dobrych i złych stronach naszego małżeństwa, nie dających się rozdzielić, jak zwykle w związku dwojga zwykłych śmiertelników. O niezwyklej urodzie Melissy, jej wesołym usposobieniu, a także rozrzutności, o mojej wytrwałej i ciężkiej harówce, jaką było pisanie powieści, i uporczywym wzdraganiu się przed powrotem do dziennikarskiej pracy na Fleet Street, i uwięzieniu przy biurku od godziny dziewiętej rano do piątej po południu. Wspomniałem o konfliktach na tle różnicy upodobań kulturalnych, o naszych sporach w sprawach finansowych i górującym nad wszystkim fakcie, że się kochaliśmy. Przyznając, że dochodziło do sprzeczek, wyjaśniłem, że nasze małżeństwo przechodziło lekki kryzys., ale byłem pewny, że niedługo wszystko to się unormuje.

Cameron przestał myszkować. Przystanął, słuchał i przyglądał się fotografii Melissy stojącej w ramkach na biurku. Zrobiła to zdjęcie, gdy się przygotowywała do roli w teatrze. Kiedy skończyłem, wydawało się, że inspektor nie może oderwać wzroku od zdjęcia. Wreszcie gwałtownie się odwrócił, zgasił papierosa i wyszedł do hallu. Wrócił z niedużą walizką, położył ją na biurku, kciuki oparł na zamkach. Ale nie otworzył walizki.

- Proszę pana - powiedział - przepraszam, że się powtarzam i nudzę pana, ale muszę zapytać jeszcze raz: powiedział pan, że żona zapomniała wziąć torebkę na przyjęcie. Zauważył pan tę torebkę na pudle od kapelusza leżącym, jak pan twierdzi, na stoliku w hallu. Państwo Hepburnowie zeznali, że Melissa

wysiadła z ich samochodu z wyraźnym zamiarem powrotu do domu po torebkę. Mówi pan, że nie wróciła, a pan przez cały wieczór nie wychodził z domu.

- Zgadza się.

Cameron nacisnął zamki i podniósł wieko walizki.

- W takim razie co pan powie na to, że torebkę pańskiej żony znaleziono w Regents Park, w odległości dziesięciu jardów od zwłok?

Wpatrywałem się w dobrze mi znaną czarną torebkę leżącą w walizce. A głos inspektora nabrał ostrości:

- To jej torebka, tak czy nie?

Otworzył torebkę i wysypał zawartość na biurko: pomadka, puderniczka, pilnik do paznokci, klucze, długopis i kalendarzyk.

- Muszę jeszcze o coś zapytać pana - podjął nieubłagane. - Nie dawało mi to spokoju od rana. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie zwrócił pan uwagi na to, kiedy pańska żona została zamordowana?

Wlepiłem w niego wzrok.

- Czy to ważne? Na pewno z pańskiego punktu widzenia...

- To jest istotne z pańskiego punktu widzenia. Czy zechciałby pan zgadnąć, kiedy, wedle orzeczenia lekarskiego, zostało popełnione morderstwo?

Nie podobał mi się jego ton. Nie ulegało wątpliwości, że Cameron do czegoś zmierza, ale nie widziałem innego wyjścia, musiałem powiedzieć mu szczerą prawdę.

Odparłem, że żona zadzwoniła do mnie za dwadzieścia jedenasta. Musiało być pięć lub dziesięć po jedenastej, jak się natknąłem na młodego policjanta niedaleko mieszkania Waltera Starra...

- Walter Starr tam nie mieszka, panie Foster!

- Wszystko jedno - odparłem z irytacją. - Odpowiadam na pańskie pytanie: moim zdaniem Melissa została zamordowana między za dwadzieścia jedenasta a jedenastą.

Odpowiedź Camerona zabrzmiała jak głuche uderzenie bębna po złowróżbnym refrenie.

- Pańska żona zmarła o wpół do dziesiątej, może dziesięć

minut wcześniej lub później. Wpół do dziesiątej... akurat wtedy, gdy pański przyjaciel telefonował do pana i nikt się nie zgłosił, chociaż, jak zapewnia, długo słyszał sygnał.

- A ja panu mówię, że telefon nie dzwonił!

- Powiedziałbym, że dzwonił, a pan nie podniósł słuchawki ani nie słyszał telefonu, bo nie było pana w domu!

- Do diabła, człowieku, ile razy mam powtarzać, że przez cały wieczór nie wychodziłem z domu?

- Tak pan mówił. Wobec tego czemu nie słyszał pan telefonu?

- Musiał się zepsuć.

- Sam pan sobie zaprzecza, Foster. Mówił pan, że w godzinę później telefon funkcjonował i żona się z panem połączyła.

- Tak było.

- Nie mogła. Już nie żyła. Co najmniej od godziny. Umarli nie telefonują.

Uniosłem się w krzesło, jakbym chciał się bronić przed tym nagłym atakiem.

- Co pan ma do powiedzenia? - cicho zapytał Cameron. Opadłem na krzesło. Nic nie miałem do powiedzenia. Jak opóźnionemu w rozwoju dziecku, które znalazło odpowiedź na proste pytanie, wreszcie zaświtała mi myśl, że jestem podejrzany o zabójstwo własnej żony.

Rozdział drugi

Ile minut dał mi inspektor Cameron na otrząśnięcie się z szoku wywołanego oskarżeniem o uduszenie Melissy - tego naprawdę nie pamiętam. Natomiast dobrze sobie przypominam, że krył w zanadrzu jeszcze parę niespodzianek i dopiero po ich ujawnieniu wyszedł wreszcie z mojego mieszkania.

Pierwszym wyzwaniem był niewinnie wyglądający kawałek papieru. Wybrał go spośród rzeczy wysypanych z torebki Melissy i podniósł w palcach, ale na tyle daleko ode mnie, że nie mogłem przeczytać, co na tym papierku było napisane.

- Czy pan to poznaje?

- Nie.

- Niech mi pan powie, panie Foster, czy pańska żona ostatnio była zdrowa?

- Tak. W gruncie rzeczy nic jej nie dolegało.

- Ale może niedawno była u lekarza?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Na nic nigdy się nie skarżyła - przynajmniej mnie.

- Pytam dlatego, że ta podarta kartka, którą znalazłem w jej torebce, jest kawałkiem recepty. Nazwisko lekarza i data są czytelne. Recepta została wypisana przeszło dwa tygodnie temu.

- Jak się nazywa ten lekarz? Inspektor rzucił okiem na receptę.

- Norman Swanson, doktor medycyny. Czy pan jest pewny, że pańska żona nigdy nie była z wizytą u doktora Swansona?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nigdy o nim nie słyszałem. Cameron znów obdarzył mnie przenikliwym i nie miłym spojrzeniem. Instynktownie zebrałem siły, by znieść nowy cios.

- Panie Foster - powiedział wolno - nie widzę powodu, aby pan miał kłamać. Wolno było panu pójść do lekarza, jeśli źle się pan czuł.

Musiał zdać sobie sprawę, że nie udawałem zdziwienia.

- Ja poszedłem do lekarza... Do czego, u licha, pan zmierza? Nic mi nie dolega! Chce mi pan wmówić, że byłem u jakiegoś Swansona?

- Takie mam informacje.

- Całkiem fałszywe. Cameron potrząsnął głową.

- Bynajmniej. Byłem na tyle ostrożny, że dziś rano, przed przyjściem do pana, odwiedziłem doktora Swansona.

- Musiał pan cholernie wcześnie wstać!

- Prawdę mówiąc, wcale nie spałem, proszę pana -- padła oschła odpowiedź.

Znów zapaliłem papierosa. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Czy ktoś chciał dowieść, że pamięć mi nie dopisuje? Przemknęła mi niemiła myśl, że może to prawda, byłem u doktora i zapomniałem o tym.

- Panie inspektorze - - powiedziałem wreszcie - - może ze-

chciałby pan dowieść, że poznałem, widziałem na oczy tego mitycznego doktora albo przynajmniej słyszałem o nim.

- Proszę bardzo. Jak już mówiłem, dziś rano złożyłem wizytę doktorowi Swansonowi przy Wimpole Street. Dobrze pana pamięta. Tak samo jak sekretarka.

- Musi mieć setki pacjentów - wtrąciłem. - Pewnie pomylił mnie z kimś innym, kto też się nazywa Guy Foster.

- I mieszka pod tym samym adresem? Pokazałem doktorowi i jego sekretarce, osobno, pańską fotografię. Nie mówiąc, kto to jest. Oboje od razu powiedzieli pańskie imię i nazwisko. Pokazali mi także rejestr pacjentów. Był pan u doktora Swansona jakieś dwa tygodnie temu. Przedstawili mi książkę recept. Była w niej notatka o wypisanej dla pana recepcie. Dokładnie zgadzała się z kartką znalezioną w torebce pańskiej żony.

- Skoro nigdy tam nie byłem, skąd się wzięła u doktora recepta? Gołąb pocztowy ją podrzucił? - spytałem z ironią, choć nie byłem usposobiony do żartów. - I co Melissa ma z tym wspólnego?

Cameron zmarszczył brwi.

- Na pewno pan pamięta. Właśnie żona nakłoniła pana do odwiedzenia doktora Swansona. Kiedy zaczęła się martwić stanem pańskiego zdrowia, ktoś z państwa przyjaciół polecił jej tego lekarza.

- Kto to był?

- Don Page, słynny rajdowiec.

- A można spytać, jaka moja dolegliwość skłoniła żonę...

- Powiedziała doktorowi Swansonowi, który jest wziętym neurologiem, że źle pan sypia, jest zazdrosny i często się z nią kłóci bez wyraźnych powodów. Inaczej mówiąc, cierpiał pan na rozstrój nerwowy i obawiała się...

- ...że mogę ją zabić - wtrąciłem zjadliwie. Cameron zrobił smutną minę.

- Tego nie chciałem powiedzieć. Pańska żona też tak nie mówiła. Bała się tylko, że pan załamie się nerwowo. Nic więcej. I właśnie na te dolegliwości leczył pana doktor Swanson.

- O, nie, nie leczył mnie! Nigdy w życiu go nie widziałem! To

jest stek kłamstw! - krzyżąc, zerwałem się na nogi.

Cameron ostrożnie mi się przyjrzał i przybrał wyraźnie uspokajający ton.

- Niechże się pan opanuje. Sądzę, że ostatnio był pan pod znacznie większą presją, niż się panu zdaje albo niż pan się chce przyznać.

Zebrał z biurka drobiazgi Melissy, wrzucił do torebki i włożył ją do walizki. Spojrzał na zegarek.

- Przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu - powiedział burkliwie. - Jeszcze tylko jedno pytanie. Wiem od państwa Hepburnów, że pańska żona, idąc wczoraj na przyjęcie, miała rękawiczki.

- To się zgadza. Zamszowe, dość drogie. Urodzinowy prezent dla Dona Page'a.

- Nie wie pan, co się z nimi stało?

- Pojęcia nie mam.

- Dziwna rzecz. Futro Pauli Hepburn się odnalazło, torebka też, a rękawiczek nie mogliśmy odszukać.

- Czy to ma znaczenie? Pewnie gdzieś je zostawiła. Była osobą strasznie roztrzepaną.

- Oby pan miał rację. Jest jeszcze jedno domniemanie, raczej nieprzyjemne.

- To znaczy?

Cameron dziwnie spojrział na mnie i cicho powiedział: - Że morderca w tych rękawiczkach udusił pańską żonę. Do widzenia.

Przez całe popołudnie nic nie robiłem i na szczęście nikt mi nie zawracał głowy telefonicznie ani osobiście. Środek uspokajający, jaki mi dano, przestał działać. Trucizna, zawarta w słowach Camerona, i świadomość, że Melissa nie żyje, nie dawały mi spokoju.

Czy ją kochałem?

Tak. Ale czy dostatecznie? I j alei naprawdę był jej stosunek do mnie? Z bólem musiałem przyznać, że poza współżyciem fizycznym właściwie nigdy nie byliśmy sobie bliscy. Nasze

małżeństwo było oparte na złudzeniu. Melissa myślała, że wychodzi za wybitnego dziennikarza z Fleet Street, który w wolnych chwilach pisze świetne powieści, a przyjaźni się z wpływowymi i ciekawymi ludźmi i prowadzi pasjonujące życie. Ja zaś wyobrażałem sobie, że dostała mi się piękna dziewczyna, która przystosuje swoje życie do mojego i rozjaśni ponure zakamarki mojego usposobienia współczuciem i zrozumieniem. Żadne nie chciało przyznać, iż rzeczywistość rozwiązała złudzenia. Melissa poszła swoją drogą, a ja swoją. Rzadko nasze drogi biegły obok siebie lub się przeplatały. Byłoby inaczej, gdybyśmy mieli dzieci. Z czyjej winy nie mieliśmy? Trudno dociec.

Teraz było za późno. Melissa odeszła na zawsze. Nie będzie dzieci. Jakiś szaleniec, ponury zwyrodnialec przesądził sprawę. Są tacy, którzy wskazują na mnie jako sprawcę. „Guy Foster - szepczą - znasz zasnę Guya - nigdy już nie dostanie pracy, nic nie zarobi na tych ekscentrycznych powieściach... był pod presją kłopotów, także finansowych, nie mógł nadażyć za Melissa, kobietą, która tak melodyjnie się śmiała... A ludzie, jak wiadomo, robią dziwne rzeczy, gdy się znajdują pod presją. Guy często wypowiadał się uszczypliwie ojej przyjaźni z przystojniakami w rodzaju Dona...”

Don Page. Otóż to! Podskoczyłem, jakbym się ocknął z transu. Właśnie od tego mógłbym zacząć. Ubrałem się - byłem dotąd w piżamie i płaszczu kąpielowym. Gdyby inspektor Cameron zobaczył wyraz mojej twarzy, od razu by mnie zamknął z obawy, abym nie pobiegł do Page'a i nie rozplątał głowy temu Casanovie. Ale nie miałem żadnych krwiożerczych zamiarów. Po prostu trzeba było od czegoś zacząć. A przecież, wedle inspektora, właśnie Don posłał Melisę do Swansona. Uważałem, że nie zaszkodzi pogadać z Donem.

- Guy! Okropnie wyglądasz! Ale wszyscy czujemy się podle - powiedział, gdyśmy się spotkali. - Brak mi słów, które by ci mogły dodać otuchy.

Miał naprawdę zmartwioną minę. To muszę przyznać. Jedno można by mu zarzucić: żałoba na twarzy i w potocznej wymowie jakoś się nie zgadzała ze smokiem z błyszczącego

jedwabiu i koszulą z żabotem i mankietami w hiszpańskim stylu. Widocznie wpatrzyłem się w jego elegancki strój, bo się zaczerwienił i natychmiast się usprawiedliwił: -Jest mi głupio, mój drogi, że... że zbyt wcześnie tak się wystroiłem... zbyt wcześnie. Ale, widzisz, jeden z finansowych potentatów przemysłu samochodowego wydaje kolację na moją cześć i o siódmej mam być w Coventry. Będę musiał jechać tam na złamanie karku.

Co prawda, ilekroć spotkałem Dona, zawsze albo się wybierał na przyjęcie, albo sam je wydawał, lecz powstrzymałem się od cierpkiej uwagi.

- Muszę z tobą pogadać, Don, w cholernie ważnej sprawie.

- Hm... - spojrzał na drugą stronę ulicy, gdzie stał przy chodniku jego srebrny jaguar 3,8. Najwyraźniej chciał mi się wymknąć.

- Nie chcę cię zatrzymywać - powiedziałem szybko. - Pojadę z tobą i chwilę pogadamy. Wyszadysz mnie przy postoju taksówek. Zajmie to najwyżej pięć minut.

Jeszcze się ociągał, siadłem więc na miejscu koło kierowcy. Nic na to nie mógł poradzić.

Ruszył w kierunku północnym. Ja mówiłem. Najpierw dawał wymijające odpowiedzi. Pewnie się bał zarzutu, że miał romans z Melissą. Co do tej ewentualności nie miałem jeszcze wyrobionego zdania. Odłożyłem tę sprawę i skoncentrowałem się na zagadkowej postaci doktora Swansona.

- To jest bardzo proste pytanie - powtórzyłem. - Czy Melissa kiedykolwiek mówiła z tobą o mnie?

- Taak... oczywiście. Często mówiliśmy o tobie, stary. To chyba naturalne.

- A czy choćby raz powiedziała, że jestem chory?

- Chory?

- Tak. Że źle się czuję, jestem niezdrów. Chory.

Don otworzył usta, ale się rozmyślił i udawał, że ogromną trudność mu sprawia dokonanie skomplikowanej operacji zmiany biegu z trzeciego na czwarty, co robił przedtem nie mniej niż milion razy.

- No jak, mówiła? - nalegałem. Skinął głową i przełknął ślinę.

- Kiedy?

- Jakieś... pięć tygodni temu, około. Przyszła raz do mnie po południu... - nerwowo przeciągał głos.

- No i co?

- Słuchaj, stary, czy ty na pewno...

- Na pewno, Don. Mów i postaraj się mnie nie oszczędzać. Don westchnął.

- Sam chciałeś - odrzekł. - Zdajesz sobie sprawę, że jest mi okropnie głupio. Uważałem się za przyjaciela was obojga. Dość na tym, że było tak: Melissa powiedziała mi, że martwi się o ciebie. Chodziło o twój stan nerwowy. Nie mogłeś spać w nocy, często bez powodu się irytowałeś i tak dalej. Odparłem, że powinieneś pójść do dobrego neurologa, na przykład Swansona. Przyjmuje na Wimpole Street... Co ci jest... źle się czujesz?

- Mów dalej.

- Norman Swanson, choć to jeszcze młody człowiek, jest wybitnym specjalistą. A propos, byłeś u niego?

- Nie. Nie byłem. Przedziwna sprawa, bo...

- A szkoda, bracie! Ogromnie mi pomógł. Pamiętasz tę głupią historię, jaką miałem rok temu? Przejechałem starszego człowieka w Knightsbridge i ten kretyn taksówkarz przysięgał, że byłem pijany.

- Tak, pamiętam.

- Jak wiesz, zostałem uniewinniony, ale cała ta głupia sprawa dała mi się we znaki i cholernie się załamałem. Wtedy mało o tym mówiłem... gdyby jednak w kołach wyścigowych rozeszła się pogłoska, że jestem nerwowo wykończony, moi protektorzy po prostu odwróciliby się ode mnie. Kuracja Swansona mnie uratowała. Gdyby nie on, byłby to koniec mojej kariery.

Pozwoliłem mu gadać byle co, wiedząc, że chce w ten sposób ukryć zmieszanie. Nie był zachwycony naszą rozmową, ale nie mógł

jej uniknąć, skoro siedziałem w samochodzie i nie miałem zamiaru wysiąść, póki nie usłyszę wszystkiego, co ma mi do powiedzenia. Byłem przekonany, że coś przede mną ukrywa. Spróbowałem jeszcze raz.

- Co właściwie Melissa mówiła ci o mnie?

Obliział suche wargi i powtórzył puste słowa o bezsenności i tak dalej.

- No i co?

- Jak to? - spytał.

- Dokończ, Don.

- Hm... no... powiedziała, że nerwy masz zdarte, nie możesz spać i że... jeśli koniecznie chcesz wiedzieć... że się ciebie boi.

Nie bardzo wiem, czego oczekiwałem, ale na pewno nie tego.

- Co? - wykrztusiłem. - Melissa bała się mnie?

- Niestety, tak, stary - wymamrotał Don.

Przez chwilę przeżuwałem przerażającą nowinę, po czym spytałem: - I jeszcze coś powiedziała?

- No tak... że się zmieniłeś w porównaniu z tym, jaki byłeś na początku waszego małżeństwa. Chwilami miała wrażenie, że się stałeś inną osobą.

Potworna myśl przemknęła mi przez głowę, jakby się nagle ukazało straszliwe widmo.

Czy jestem schizofrenikiem? Jekyll i Hyde? Czy moja osobowość się rozdzieliła na ciemną i jasną połowę, z okresami kompletnej pustki, kiedy nie wiem, co robię? Na przykład wczoraj wieczór - zdawało mi się, że spędziłem trzy spokojne godziny, pracując nad powieścią, a tymczasem... było to zbyt straszne, aby się nad tym zastanawiać.

Ale cóż właściwie wiedziałem o schizofrenii? Nie więcej niż każdy inny laik. Tylko specjalista mógłby mi powiedzieć, co znaczy to słowo i czy odnosi się do mnie. Taki specjalista jak na przykład doktor Nor-man Swanson.

Poprosiłem Dona, by przystanął, podziękowałem i wysiadłem. Spojrzałem na zegarek. Było już późno, ale przy odrobinie szczęścia mogłem jeszcze zastać doktora w jego gabinecie. Zatrzymałem taksówkę i obiecałem kierowcy, że zapłacę podwójną stawkę, jeśli się pośpieszy.

I tak pochyliłem się w końcu nad dzwonkiem do drzwi domu doktora Swansona. Zadzwoiłem. Z tabliczki na zielonych drzwiach wynikało, że było już dawno po godzinach przyjęć, ale nie traciłem nadziei, że doktor jeszcze jest i po wyjściu

ostatniego pacjenta załatwia papierkową robotę.

Usłyszałem stukanie wysokich obcasów. Drzwi się otwały i stanęła w nich ładna młoda dziewczyna w białym uniformie. Uśmiechnęła się do mnie.

- Chciałbym się zobaczyć z doktorem Swansonem. W pilnej sprawie.

Zawahała się, zmarszczyła brwi, po czym miłym głosem powiedziała:

- Pan Foster, tak? Przepraszam, nie poznałam pana. Wpatrzyłem się w nią z otwartymi ustami. Nigdy w życiu jej nie widziałem.

- Ale pan jest umówiony na przyszły tydzień?

- Umówiony? Ja... hm... nic mi o tym nie wiadomo. Uśmiechnęła się do mnie sympatycznie.

- Pewnie pan zapomniał. Zapisywaliśmy pana na przyszły tydzień, jak pan był tutaj ostatnim razem... kiedyż to było, chyba pod koniec marca?

Z wielkim wysiłkiem starałem się skupić wirujące myśli.

- Proszę pani, muszę się zobaczyć z doktorem! To niezwykle pilne.

- Bardzo żałuję, ale pan doktor wyjechał wieczorem poza Londyn. Będzie dopiero jutro po południu.

Zakląłem pod nosem. Głośno rzekłem:

- Proszę powiedzieć panu doktorowi, że muszę się z nim zobaczyć, to sprawa życia lub śmierci. Będę tu jutro o piątej po południu.

Odwróciłem się na pięcie i odszedłem. W głowie mi się mąciło. Do domu było daleko, ale postanowiłem iść na piechotę. Miałem nadzieję, że rześkie wieczorne powietrze rozjaśni mi umysł.

Byłem jednak daleki od jakichkolwiek wniosków, kiedy wreszcie przekręciłem klucz w drzwiach i wszedłem do mieszkania. Na wycieraczce leżała wieczorna poczta - parę reklamowych druczków i list od wydawcy. Podniosłem, rzuciłem okiem na druczki i spiesznie rozdarłem kopertę listu. Mój zapał ostygł, gdy zapoznałem się z przygnębiającymi danymi liczbowymi o sprzedaży mojej ostatniej powieści.

Powoli coś innego przenikało do mnie. List frunął na podłogę, kiedy zdałem sobie sprawę, że mieszkanie aż wibruje od dźwięków. „Melodia Melissy"! Słysząc ją było z salonu.

Szybko podszedłem do drzwi. Bóg raczy wiedzieć, co spodziewałem się znaleźć w pokoju. Czyżbym myślał, że zwrócono mi Melissę? A może był to tylko koszmarny sen, zdarzył się błąd co do osoby, ktoś inny został zamordowany i autentyczna Melissa dzwoniła do mnie długo po jej rzekomym zamordowaniu? Przez parę sekund liczyłem na cud.

Ale żaden cud nie nastąpił. Pokój był pusty. A także całe mieszkanie. Jedyнным znakiem życia była mała zielona żaróweczka świecąca we włączonym adapterze. Zawodzące saksofony zagłuszyły przenikliwe tony gitary elektrycznej, po czym pokój wypełniły dziwne dźwięki organów Hammonda. Podbiegłem do adaptera i jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w płytę, aż „melodia Melissy" się skończyła i igła automatycznie oderwała się od startych rowków.

Oszołomiony, miałem jeszcze tyle przytomności umysłu, by uświadomić sobie, że adaptory same się nie uruchamiają. Chrząknąłem i w niesamowitej ciszy zawołałem: - Kto, do cholery, nastawił adapter?

Nie było odpowiedzi. Przeszukałem mieszkanie. Puste. Ale ktoś tu musiał być, bo na biurku między maszyną do pisania a fascynującym portretem Melissy stało pudło na kapelusz w szkarłatne i złote paski z ogromną jedwabną kokardą. A na wierzchu pudła leżała niedbale rzucona para kosztownych zamszowych rękawiczek.

Rozdział trzeci

Inspektor Cameron, nie bardzo wiem dlaczego, dał mi aż dwa numery swoich telefonów, jeden w Scotland Yardzie, a drugi prywatny, abym mógł się z nim porozumieć, jeśli zajdzie potrzeba. Popatrzyłem na rękawiczki (ale ich nie dotknąłem) i na pudło, po czym wykręciłem numer prywatnego telefonu inspektora.

Cameron mieszkał w Swiss Cottage. Powiedziałem mu, że znalazły się rękawiczki. Aż krzyknął, tak go to zaskoczyło, i zapowiedział, że w ciągu pół godziny będzie u mnie. Sprawiał wrażenie (jeśli sympatyczny mors w ogóle zdradza objawy emocji) umiarkowanie podnieconego.

Przyjechał po dwudziestu ośmiu minutach. Kiedy stał, wpatrując się w rękawiczki i pudło na kapelusz, minę miał dyskretną i życzliwą jak zwykle, ale błysk w oku rozjaśniał grube rysy jego twarzy.

Poprosił, żebym wyjaśnił, skąd te rzeczy wzięły się u mnie. Oczywiście, nie mogłem nic wyjaśnić, powiedziałem tylko, jak je znalazłem. Zadał mi parę pytań, nieco podchwytliwych, w końcu jednak przyjął moją wersję, choć była do niczego niepodobna.

Potem starannie owinął rękawiczki czystą chusteczką, odłożył i ostrożnie otworzył pudło. Nie powiem, żeby któryś z nas spodziewał się znaleźć w pudle bombę zegarową, ale byłem przygotowany na jakąś niespodziankę. Tymczasem w pudle był kapelusz i nic więcej. Po prostu wymyślny kawałek ałasu z piórami i czarną wstążką. Cameron zanotował nazwę firmy z Bond Street, która dostarczyła kapelusz, po czym włożył go do pudła.

Wskazał palcem rękawiczki. - Pewnie nie ma pan pojęcia, gdzie pańska żona kupiła te rękawiczki. - Żałuję, ale nie wiem.

Cameron mruknął i podszedł do kominka. Przez chwilę stał tyłem do mnie. Robił imponujące wrażenie. Wysoki, barczysty, muskularny, ważył jakieś dwieście funtów. Inaczej dotąd wyobrażałem sobie funkcjonariusza policji - Cameron wyraźnie dbał o ubranie. Jego garnitur z dobrego ciemnego materiału był elegancko skrojony, a koszula nieskazitelnie biała. Gdy się odwrócił do mnie, ujrzałem znów masywną, mięsistą twarz morsa o dużych, inteligentnych oczach z przyglądzonymi pasmami rzadkich włosów, ale nie do tyłu, tylko na szerokie czoło, na wzór Juliusza Cezara i współczesnych playboyów, co zupełnie nie pasowało do inspektora policji Jej Królewskiej Mości, i to w sile wieku. Dopiero gdy się z nim spotkało twarzą w twarz, można było w pełni zdać sobie sprawę z paradoksalne-

go wyglądu tego brzydkiego, lecz sympatycznego mężczyzny.

Przyjrzał mi się uważnie. Domyśliłem się, że czeka mnie posiedzenie, w czasie którego będę uprzejmie, ale nieubłagane wzięty w krzyżowy ogień pytań. Usiadłem, zapaliłem papierosa i zebrałem siły.

- Godzinę temu dzwonił do mnie Swanson - powiedział. - Był zdumiony, co mnie wcale nie dziwi. Sekretarka zawiadomiła go, że pan chce koniecznie zobaczyć się z nim jutro po południu.

- Tak jest.

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym był obecny przy tej rozmowie?

- Proszę bardzo. Skoro ten pan jest zwyczajnym kłamcą, nawet wołałbym, żeby pan był przy mojej z nim rozmowie.

- Bo pan nadal twierdzi, że nie zna doktora Swansona i nigdy nie był u niego z wizytą?

- Z całą stanowczością!

Cameron zapalił papierosa. Postanowił, zdaje się, odłożyć na razie ten temat. Zgasił zapałkę i podszedł mnie z innej strony.

- Kiedy pan poznał żonę?

- Jakies trzy lata temu.

- W jakich okolicznościach?

- Paula, to znaczy pani Hepburn, przedstawiła mnie Melissie. Poznały się na statku płynącym z Cape Town do Anglii. Moja żona pochodziła z Południowej Afryki, jak już panu mówiłem. Jej rodzice zmarli dość dawno, nie miała krewnych. Postanowiła przyjechać do Anglii i spróbować szczęścia w telewizji lub w teatrze.

- Udało się?

- Odciałem jej drogę do sceny, żeniąc się z nią, zanim zrobiła pierwsze kroki.

- Rozumiem. Pan wtedy, zdaje się, pracował w dziennikarstwie. Jeśli się nie mylę, przez kilka lat w redakcji „London Mercury”?

- Tak, dziewięć lat. Potem pismo to przestało wychodzić. Cameron skinął głową. - I co wtedy?

- Zaproponowano mi pracę w innym zespole redakcyjnym, ale

odmówiłem. Od dawna chciałem pisać, być wolnym strzelcem, uważałem więc, że teraz nadarza się okazja, zesłana mi przez niebo.

- Czy pańska małżonka była z tego zadowolona?

- Nie bardzo. Chciała, żebym miał stałą posadę.

- Czy było to kością niezgody między panem a żoną? Wzruszyłem ramionami. Nie miało sensu zaprzeczać temu, co na

pewno już słyszał od różnych osób.

- Dochodziło na tym tle do sprzeczek między nami. Ale nie był to jedyny powód nieporozumień. Żona była rozrzutna, czasem głupio szastała pieniędzmi, a wcale nam się nie przelewało. Na przykład kupowała więcej kapeluszy, niż jakakolwiek moja znajoma, ale nie zadawała sobie fatygi, by je nosić.

- Dziwne - zauważył inspektor. - Proszę mi powiedzieć, czy pańska żona miała własne pieniądze?

Roześmiałem się. - Ani pensa. Jak się pobraliśmy, miała około trzystu funtów i prędko je przepuściła.

Inspektor mruknął coś pod nosem, po czym opuścił posterunek przy kominku, wyszedł do hallu i wrócił z walizeczką, znacznie mniejszą niż ta, w której wczoraj przyniósł torebkę Melissy. Tym razem darował sobie dramatyczne sztuczki. Od razu otworzył walizeczkę i wyjął z niej naszyjnik, pierścionek, broszkę i kolczyki. Coś mną wstrząsnęło. Była to biżuteria, którą Melissa włożyła na przyjęcie u Dona.

Na pytanie inspektora odpowiedziałem, że rozpoznaję tę biżuterię.

- I pan jej to wszystko kupił?

- Tak. To znaczy, dałem jej pieniądze. Za nic w świecie by nie pozwoliła, żebym sam jej coś kupił, a zwłaszcza biżuterię, bo mówiła, że nie mam o tym zielonego pojęcia.

- Rozumiem. - Cameron podniósł broszkę. - Ile jest warta ta broszka? - zapytał.

Pomyślałem chwilę. - Kupiła ją na Boże Narodzenie. Dałem jej wtedy trzydzieści pięć funtów.

- A kolczyki? Ile kosztowały?

- Mniej więcej tyle samo. Może trochę droższe.

Cameron spojrział na mnie bystro i uśmiechnął się jakby z politowaniem. - Pańska żona miała rację, panie Foster. Wydaje mi się, że pan naprawdę nie ma pojęcia o biżuterii.

Jeszcze raz podniósł broszkę.

- To jest warte około trzystu funtów - powiedział. Podniósł kolczyki i pierścionek.

- A to razem jakieś dziewięćset funtów. Perelki naszyjnika są prawdziwe, dodajmy więc jeszcze dwieście pięćdziesiąt funtów.

Wpatrzyłem się w niego. - Pan sobie ze mnie żartuje, panie inspektorze? To są kompletne brednie...

- Nie takie znowu. Jest to ocena eksperta ze Scotland Yardu. Biżuteria, jaką wczoraj wieczór miała na sobie pańska żona, jest warta prawie tysiąc pięćset funtów.

Włożył biżuterię do walizeczki, zatrzasnął ją i wyszedł do hallu po płaszcz i kapelusz. Wrócił, podszedł do biurka i starannie włożył rękawiczki do walizki.

- Muszę już jechać do domu. Nawet policjant ma prawo do spędzenia w łóżku jednej do dwóch nocy na tydzień. Pan też dość kiepsko wygląda. Radziłbym wcześniej się położyć. Nie ma na świecie cenniejszej rzeczy niż zdrowie. Dobranoc panu.

To powiedziawszy wyszedł. Nie byłem pewny, czy nic nie kryło się za jego słowami. Za wiele osób martwiło się o moje zdrowie. Ciekawe, co pan doktor Swanson będzie miał do powiedzenia w tej sprawie, jak inspektor i ja jutro o piątej po południu z nim się spotkamy.

Nazajutrz rano obudziłem się umiarkowanie wypoczęty. Po dobrym śniadaniu, które sam sobie zrobiłem, poszedłem na spacer po West Endzie i obejrzałem wystawy takich jubilerów, jak Aspreys i Garrards. Trochę już byłem za stary na to, by zostać znawcą biżuterii. Straciłem dużo czasu, usiłując orzec, czy błyskające drobiazgi ułożone na aksamicie z podaną tu i ówdzie astronomiczną ceną różnią się choć trochę od sztucznej biżuterii sprzedawanej w domu towarowym Bridgestone. Szczerze mówiąc, był to obcy temat dla mnie. Nie mogłem odróżnić prawdziwej biżuterii od sztucznej i nigdy już się tego

nie nauczę.

Brylanty, jak nas kiedyś zapewniała Anita Los, to najlepszy przyjaciel dziewczyny. Wrodzoną zdolność oceny ich wartości miały kobiety zapewne począwszy od Ewy. Jakże więc przyjaciółki Melissy mogły nie zauważyć, że miała prawdziwe klejnoty? Postanowiłem przepytąć w tej sprawie Paulę Hepburn.

Pojechałem do nich taksówką na Katon Square. Zostałem Paulę i Felixa w piżamach i szlafrokach. Marudzili jeszcze przy przeciagającym się śniadaniu.

Po niezbyt swobodnym przywitaniu Paula spytała:

- Jadłeś, koteczku, śniadanie?

- Tak, dziękuję.

- Nie szkodzi, napij się z nami kawy.

Oczywiście gdała i kręciła się jak kura z jajkiem, ale nie zadałem sobie trudu, by ją usadzić. Gdy przyniosła kawę, od razu przystąpiłem do rzeczy.

- Paula, wczoraj wieczór widziałem się znów z inspektorem. Znasz biżuterię Melissy... otóż jest warta znacznie więcej, niż mogłoby się przyśnić. Wszystko prawdziwe. Sama broszka to jakieś trzysta funtów. Razem wzięwszy nosiła na sobie biżuterię przedstawiającą wartość tysiąca pięciuset funtów.

Felix wybałuszył oczy.

- A toś mnie zastrzelił! - powiedział. - Paula, ty o tym wiedziałas?

Obaj spojrzeliśmy na Paulę. Była pochłonięta mieszaniami kawy w filiżance. Zwróciłem się do niej:

- Paula, jak wszystkie kobiety, znasz się na tym. Musiałaś wiedzieć, że Melissa nosi prawdziwą biżuterię.

Nie podnosząc głowy znad filiżanki, skinęła głową.

- No tak, miałam wątpliwości... podejrzenia, jeśli wolisz. A nawet raz mówiłam z nią o tym.

- Naprawdę, kochanie? - spytał Felix. - Kiedy?

- Och, jakieś osiem lub dziewięć miesięcy temu. Po prostu wyśmiała mnie, uznała to za żart z mojej strony. Nie upierałam się, mogłam się pomylić. Dzisiaj fantastycznie podrabiają biżuterię. A poza

tym w głowie mi się nie mieściło, żeby Melissa mogła sobie pozwolić na prawdziwe klejnoty.

- Właśnie sam stawiam sobie to pytanie - powiedziałem z ponurą miną. - Słuchaj, Paula, byłaś najbliższą przyjaciółką Melissy, na pewno, jak to kobieta, zwierzała ci się z różnych rzeczy... Czy wiesz, jakim cudem...

Paula podniosła rękę niczym policjant na skrzyżowaniu ulic.

- Wolnego, Guy. To prawda, świetnie się bawiliśmy, jak byliśmy razem, ale wcale nie łączyła nas bliska przyjaźń. Melissa zachowywała się dziwnie. Posuwała się daleko w zwierzeniach i nagle zatrzaśkiwała drzwi, odgradzając się ode mnie. W gruncie rzeczy nigdy nie wiedziałam, co się dzieje w tej pięknej głowce.

- Wątpię, czy ktokolwiek wiedział - dodał zamyślony Felix. -Może jeden Don.

- Don? - spytałem.

- Tak, zawsze mi się zdawało, że Don rozumie ją lepiej niż ktokolwiek inny. - Paula przeszła go zjadliwym spojrzeniem. Przelknął ślinę, zdał sobie sprawę, że się zagalopował, i szybko dodał: - Nie licząc, rzecz jasna, ciebie, stary! Mówiłem tylko ojej przyjaciółkach.

- Do których ja nie należałem? - zapytałem z głupią miną. Paula parsknęła. - Słowo daję, Felix - powiedziała - nie wiem, co jest bardziej przerażające, twój piramidalny brak taktu, czy wysiłki, jakie robisz, gdy się chcesz poprawić.

Odwróciła się do mnie, uśmiechnęła, jak zwykle, zaraźliwie i oboje się roześmialiśmy. Felix miał bardzo niewyraźną minę.

- A tak przy okazji, Guy - powiedziała Paula - to Don dzwonił tu dziś rano. Zdaje się, nie spał całą noc. Mówi, że się z nim widziałeś po południu, jak wyjeżdżał do Coventry.

- Chciałem go spytać o parę rzeczy.

- W sprawie Melissy?

- Właśnie. Policja w jej torebce znalazła receptę, wystawioną przez jakiegoś doktora Swansona. Inspektor przesłuchiwał mnie w tej sprawie. Nigdy nie słyszałem o tym lekarzu.

- A powinieneś słyszeć? - spytał Felix? Opowiedziałem im całą historię, tak jak sam ją rozumiałem. Felix był szczerze

oburzony. - Po kiego diabła ten szarlatan naopowiadał tyle kłamstw? - spytał.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, ale bardzo bym chciał się dowiedzieć.

- I dlaczego Melissa martwiła się o ciebie? - spytała Paula.

- Uważała, że jestem chory.

- Czy tylko z tego powodu się martwiła?

- Nie tylko. Było jeszcze coś i to niezbyt miłego. Powiedziała Donowi, że się mnie boi.

- Co! - wybuchnął Felix. --To wprost śmieszne. Skąd jej to przyszło do głowy? A może Don jej coś wmówił? Melissa nigdy nie dała nam tego odczuć, prawda, Paula?

Obserwowałem Paulę, nie patrzyła mi w oczy.

- Prawda? - spytałem z naciskiem. Lekko wzruszyła ramionami.

- No wiesz... nie, koteczku, skądże by znowu. To bzdury, Felix ma rację... Ale mój drogi, kawa ci stygnie.

Wciąż unikała spojrzenia mi w oczy, byłem pewny, że nie mówi prawdy. Nic jednak nie mogłem na to poradzić. Jeżeli nie chciała przyznać, że Melissa podzieliła się z nią tymi samymi obawami, o których mówiła z Donem, wiedziałem, że wołała przemilczeć prawdę, niż sprawić mi przykrość.

Nie miało sensu siedzieć u nich dłużej. Felix dużo i niepotrzebnie gadał, a Paula usilnie mnie namawiała, żebym został na obiedzie, ale jakoś udało mi się od nich wydostać. Chciałem być sam, przemyśleć zagadkę kosztownej biżuterii mojej niezamożnej żony i zebrać się w sobie przed spotkaniem z doktorem Swansonem. Otwarcie mówiąc, bałem się tej konfrontacji, a równocześnie wiele sobie po niej obiecywałem. Czy chory człowiek naprawdę chce się dowiedzieć, co mu dolega? Czy rzeczywiście zależało mi na tym, by usłyszeć słowo „schizofrenik”?

Doktor Swanson nie użył tego słowa. Unosiło się w powietrzu, doktor krążył wokół niego jak czający się zwierz, ale nie przypiął mi tej etykiетки. Ani słowem nie wspomniał, że cierpię

na rozdwojenie jaźni i jestem zdolny do popełnienia zbrodni w chwili uspienia zdrowych zmysłów. Określił rzecz znacznie prościej.

Kiedy chyba po raz dziesiąty gorąco zaprzeczyłem, bym kiedykolwiek w życiu widział tego człowieka, inspektor Cameron spokojnie wtrącił się do rozmowy: - Panie doktorze, na pewno całą tę sprawę można wyjaśnić w jakiś bardzo prosty sposób.

- Można, oczywiście - odparł Swanson. Z powagą kiwnął głową, poprawił okulary w rogowej oprawie i ładnie złożył ręce na biurku. - Właściwie są dwie jednakowe logiczne możliwości. Albo pan Foster świadomie stara się zataić to, że przed dwoma tygodniami był u mnie, osobiście wykluczam tę ewentualność, albo też po prostu zapomniał o tym.

Uważnie mu się przyglądałem. Wkładając biały kitel, człowiek nabiera pewnej anonimowości. Wolałbym spotkać Swansona na ulicy. Ubranie może stanowić o człowieku, a może nie, ale z gustu, jaki się przejawia w wyborze materiału, kroju, koloru, kapelusza, krawatu, a nawet butów można wiele wydedukować o charakterze danej osoby. Tymczasem biały kitel Swansona, biała koszula i dyskretny krawat nic mi nie mówiły, a resztę zasłaniało biurko. Zostały mi jego rysy twarzy. Głowę miał w kształcie gruszki, twarz szczupłą, krótko przystryżone czarne włosy, oczy ukryte za grubymi okularami, cerę bladą, skórę mocno naciągniętą na policzkach, wąskie usta, wydatny podbródek gładko wygolony. Głos kulturalny, zachowanie grzeczne, ale stanowcze. Lat dałbym mu jakieś czterdzieści parę.

- Zna pan już, inspektorze, pannę Dean, moją sekretarkę - mówił dalej Swanson. - Jak pan wie, a pan Foster to przyznaje, moja sekretarka od razu, bez żadnych wstępów, poznała tego pana, gdy wczoraj późnym wieczorem zadzwonił tutaj do drzwi. Joyce jest całkiem inteligentną dziewczyną, ale nikomu jeszcze nie przyszło do głowy uznać ją za jasnowidza. Oboje naturalnie wiedzieliśmy, że pan Foster przyjdzie dziś, ale wczoraj zjawił się zupełnie niespodziewanie. Jakim cudem mogła zgadnąć, kim jest, gdyby nie był naszym pacjentem?

Wymieniłem spojrzenia z inspektorem. To, co wyczytałem w jego oczach, raczej nie dodało mi otuchy. Wyczułem, że nadal nie chciałby się uprzedzić do mnie, ale powoli traciłem grunt pod nogami w konfrontacji z zawodową precyzją doktora. Ostre zęby paniki zaczęły szarpać mi nerwy.

- Świetnie! - wybuchnąłem. - Przyjmijmy na chwilę, że istotnie byłem tu 27 marca, czy kiedy indziej, tak jak pan twierdzi. I co się stało? Wyskoczyłem przez okno, ugryzłem pielęgniarkę? Jak się zachowałem?

Swanson zmarszczył brwi. - Doskonale pan wie, jak się to odbyło.

- A właśnie, że nie wiem! Ale chciałbym usłyszeć pańską wersję. I proszę nie zapominać, że inspektor Cameron nie brał udziału w tej legendarnej wizycie, chciałby więc usłyszeć, jak to było.

Ostry ton wcale nie zbił z tropu Swansona. Zerknął na inspektora i powiedział uprzejmie:

- Jest sprzeczne z etyką lekarską mówić o pacjencie z osobą trzecią, skoro jednak sam pacjent tego sobie życzy, pozwoli pan inspektor, że się wypowiem?

- Bardzo mnie to interesuje - spokojnie odparł Cameron.

- No to proszę. - Swanson otworzył szufladę biurka i wyjął z niej dużą, płaską książkę. Przebiegł palcem alfabetyczny spis, znalazł literę F. Otworzył książkę, rzucił okiem na stronicę, popatrzył na inspektora. - Kiedy pani Foster po raz pierwszy przyszła do mnie, powiedziała, że jej mąż cierpi na bezsenność. Oświadczyła, że mąż jest stale podminowany, to są dokładnie jej słowa, i bardzo zazdrosny. Poprosiłem, żeby bliżej wyjaśniła, o co chodzi, odpowiedziała, że mąż posądzają o romans z innym mężczyzną.

- To śmieszne! - zawołałem. - Nigdy w życiu czegoś takiego nie powiedziałem!

Cameron zgromił mnie zirytowanym spojrzeniem i poprosił doktora, żeby mówił dalej.

- Krótco potem, kiedy przyjąłem pana Fostera, spytałem go o to i przyznał otwarcie, że niepokoi się, czy żona jest mu wierna. Oświadczył, że właściwie nie miał dowodu, by żona z kimś

romansowała, ale w głębi duszy wciąż go nurtuje straszne podejrzenie. Pan inspektor pozwoli, że zacytuję fragmenty naszej rozmowy. Pytanie: Czy mówił pan o tym z żoną? Odpowiedź: Tak. Pytanie: Powiedział pan, że podejrzewa ją o romans z innym mężczyzną? Odpowiedź: Tak, powiedziałem, ale zaprzeczyła. Pytanie: Ale pan jej nie uwierzył, tak? Odpowiedź: Chcę jej wierzyć... Staralem się, Bóg mi świadkiem... ale bez rezultatu.

Uderzyłem pięścią w biurko, Swanson aż podskoczył.

- To nieprawda! Nigdy, ani na chwilę nie podejrzewałem Melissy o zdradę. Taka myśl nie przyszła mi do głowy.

Inspektor dał mi znak, bym się uspokoił.

- Panie doktorze - powiedział - do jakiego wniosku doszedł pan po zbadaniu pana Fostera?

- Do żadnego ostatecznego wniosku nie doszedłem, ale moim zdaniem pacjent może cierpieć na swego rodzaju obsesyjną nerwicę. Wobec czego poprosiłem, żeby przyszedł do mnie ponownie, i dałem mu receptę, tę samą, którą pan znalazł w torebce Melissy Foster. Przepisałem środek uspokajający, amytal sodu.

W życiu nie widziałem, żeby ktoś kłamał z taką chłodną pewnością siebie i z takim zawodowym przekonaniem. Jego chłód wzbudził we mnie szalony gniew i byłbym się rzucił na niego, gdyby właśnie cicho nie weszła sekretarka. Przypomniała, że doktor ma się zaraz z kimś spotkać. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, tylko krzyknąć na pożegnanie, że tak monstrualnego kłamcy w życiu nie widziałem, co go wcale nie poruszyło, stałem więc czerwony jak burak i ogłupiały.

Okropnie skończyła się ta konfrontacja! Najchętniej sam bym się skopał. Za żadną cenę nie wolno mi było stracić panowania nad sobą. Wszyscy bowiem dawali do zrozumienia, że mam skłonności do histerycznych wybuchów, z których mogła się zrodzić fizyczna przemoc.

Złapałem płaszcz i kapelusz i wymaszerowałem do poczekalni. Swanson i Cameron przeszli do przedpokoju. Zanim inspektor wrócił do mnie, podsłuchałem ich rozmowę:

- Moim zdaniem to chory człowiek, panie inspektorze.
 - Czy bardzo chory?
 - Chyba tak dalece, że nie mogę mu pomóc.
 - Rozumiem. A czy mógłby pan, doktorze, odpowiedzieć na jedno pytanie: czy człowiek o zdrowych zmysłach może popełnić morderstwo i nie zdawać sobie z tego sprawy? To znaczy, nie wiedzieć, co zrobił?
- Swanson, po krótkim namyśle, odpowiedział:
- To jest możliwe, panie inspektorze. To jest możliwe.

Rozdział czwarty

Nie ulegało wątpliwości, że mój plan konfrontacji i zdemaskowania doktora Swansona doprowadził do katastrofy. Inspektor Cameron, muszę przyznać, przez cały czas był neutralny, a potem też nie dał mi do zrozumienia, że wyszedłem na głupca. Na środku Wimpole Street włożył kapelusz, usprawiedliwił się, że ma pilną sprawę do załatwienia, i złapał przejeżdżającą taksówkę. I już go nie było.

Odwrociłem się wtedy i wpadłem na stalowoszarego bentleya „S” standard, zaparkowanego przy chodniku. Przytrzymałem się maski i usłyszałem gniewny okrzyk szofera w liberii siedzącego za kierownicą. Normalnie przeprosiłbym za brudne plamy, jakie moje palce zostawiły na lśniącej karoserii, ale tym razem co innego było mi w głowie. Kiedy chwilę potem czekałem na taksówkę na rogu Wimpole Street, znów zobaczyłem bentleya, jak skręcał w Wigmore Street, i wymieniałem groźne spojrzenie z butnym szoferem. Trochę mnie zaskoczyło, że na tylnym siedzeniu auta zobaczyłem doktora Swansona. Przeglądał jakąś teczkę i chyba mnie nie zauważył. Odprowadziłem wzrokiem Bentleya. Miał łatwy do zapamiętania numer rejestracyjny. Powłócząc nogami, szedłem Wigmore Street i w pamięci w kółko skandowałem ten numer. NU 202. Zanim doszedłem do domu, powtarzałem wierszyk: „NU 202, bentley doktora!”

Wszedłem do mieszkania. Po chwili zadzwonił telefon.

Niewiele brakowało, a byłbym, zamiast podać swój numer telefonu, rzucił: „NU 202”. Nie zrobiłoby to wrażenia - dzwonił Felix.

- Siemasz, Guy - powiedział. Był jakby zdyszany. Na pewno nie biegł, nigdy nie widziałem, żeby przyspieszył kroku. Ale odniosłem wrażenie, że musiał się zmobilizować, by zadzwonić do mnie.

- Czy coś się stało? - spytałem.

- Tak... właściwie nie... to znaczy, przyszło mi na myśl, że może miałbyś ochotę trochę się przejść...

- Właśnie wróciłem.

- Hm, widzisz, chodzi o to, że gdybyś się napił z kolegą, trochę by cię to rozprężyło. Nie można siedzieć w domu i dumać...

- Zapewniam cię, że nie zbijam bąków. Byłem bardzo zajęty. Czyj jest ten fantastyczny pomysł, Pauli?

- Coś ty, stary?... Ja, wiesz, chciałem tylko zaproponować, żebyśmy się napili piwa w tym barze przy Vauxhall Bridge Road, gdzieśmy bywali w czasie naszych młodzieńczych wędrówek.

- Dobra. Ale może bym przedtem coś przegryzł.

- Co racja, to racja. Spotkajmy się, jak zjesz, może za godzinę?

- Doskonale.

- Słuchaj, jeszcze coś chciałem ci powiedzieć...

- Proszę.

- Nikomu ani słowa o tym, zrób to dla mnie.

Ledwie położyłem słuchawkę, zdziwiony zachowaniem Felixa, ktoś zadzwonił do drzwi.

Przyszedł Don Page. Tym razem nie był w smokingu, tylko w ciemnym garniturze, z ciemnym krawatem i minę miał także śmiertelnie poważną.

- Masz, bracie, chwilę czasu? - spytał nerwowo.

Nawet ślepy by zauważył, że śmierć Melissy wytrąciła z równowagi wszystkich moich przyjaciół. Powiedziałem Donowi, że właśnie chciałem ugotować sobie spaghetti.

- Może byś zjadł ze mną?

Don poklepał się po biodrach. - Nie, dziękuję, łaskawco - po-

wiedział. - Trzymam się z daleka od makaronu, żeby zachować linię. Ale napiłbym się czegoś mocnego.

Nie było w tym nic niezwykłego. Don zasilął się kaloriami głównie w płynnej postaci.

- Co ci dolega? - spytałem, nalewając mu solidną porcję whisky. Wskazałem głową na kasetkę, którą trzymał w ręce. - Jesteś taki zdenerwowany... Może obrabowałeś bank?

Zachichotał niezbyt szczerze. - Muszę ci oddać tę kasetkę. Należy do ciebie... zgodnie z prawem. Była własnością Melissy. Zdaje się, że Melissa nie miała bliskich krewnych, prawda?

- O ile wiem, to nie - mruknąłem, biorąc kasetkę z rąk Dona. - Co tam jest?

- Nie mam pojęcia.

- A skąd się to wzięło u ciebie?

- Melissa prosiła, żebym przechował tę kasetkę.

- Co ty powiesz?

Musiałem rzucić to dosyć ostrym tonem, bo Don przełknął resztę whisky i ze zboląłą miną rozglądał się po pokoju, unikając mojego wzroku.

- Kiedy Melissa prosiła, byś się zaopiekował tą kasetką?

- Och, jakieś pół roku temu. A wiesz, że dzisiaj po południu spotkałem też Paulę i powiedziała mi o biżuterii... o kolekcji Melissy. Mogę cię uspokoić w tej sprawie. Jestem nie najgorzej poinformowany co do źródła, z jakiego się wzięły te kosztowności.

- Czy przypadkiem nie dostała ich od ciebie? Don uśmiechnął się błogo i pogroził mi palcem.

- Jesteś na fałszywym tropie. Kobiety mnie dają prezenty, a nie na odwrót. Ma to jakiś związek z moim nieodpartym urokiem osobistym. Nie zwracaj sobie głowy podejrzeniami co do Melissy i mnie. Nigdy nic nie było między nami, wbrew temu, co mogło sobie pomyśleć parę osób o brzydkich skłonnościach.

Nie wiedziałem, czy zgodzić się z nim, czy go zaatakować, więc puściłem to mimo uszu. Kochankowie Melissy, jeśli ich miała, mogli poczekać. W tej chwili interesowała mnie tylko jej niezwykła kolekcja. Zapytałem o to Dona.

- Wiesz, ciekawe jest - odparł - nie co miała, ale jak to zdobyła. Wygrała. Była najbardziej zawziętą hazardzistką, jaką spotkałem w życiu. Uprawiała hazard, gdzie tylko mogła, grała na wyścigach, konnych i psich, grała w bakarata, ruletkę, stawiała nawet na jednego z dwóch robaków pełzających po ścianie, jeśli znalazła kogoś, kto się chciał z nią założyć.

- Ale jak, u licha, mogła grać? Nie miała własnych pieniędzy, a wszystko, co dostawała ode mnie, wydawała na sukienki, kapelusze i różne fatalaszki.

Don roześmiał się.

- Nic nie kapujesz, stary. Na ogół kto gra, ten przegrywa. A Melissa należała do rzadko spotykanych okazji, które wygrywają.

- Jak to, za każdym razem?

- Prawie, mój drogi. Wprost nie do wiary.

- Ile wygrała?

Don wzruszył ramionami. - Bóg raczy wiedzieć.

- Ale dlaczego mi o tym nie mówiła?

- Powiedzmy sobie szczerze, ty i Melissa byliście zupełnie niepodobni do siebie. Nikomu by nie przyszło do głowy posądzić cię o... jakby to powiedzieć?... o lekkomyślność lub beztroskę. Melissa zdawała sobie sprawę, że gdybyś się dowiedział, iż uprawia hazard, tobyś zagrał rolę surowego ojca i starał się ją pohamować. Tak by było, prawda?

Nic nie odpowiedziałem. Nie bawił mnie wcale portret mojej osoby odmalowany w smutnych szarych kolorach.

- Jednak wiesz, Don, coś tu się nie zgadza... Gdyby Melissa wygrała górę forsy, na pewno ja pierwszy bym o tym wiedział.

- Tylko gdyby wyłożyła forszę na stół albo wypchała nią materac. Ale tego nie zrobiła. Ulokowała pieniądze w biżuterii i postawiła całkiem bezpiecznie na to, że nigdy się nie zorientujesz, co się dzieje.

Nie było to pozbawione logiki, musiałem się z nim zgodzić. Wpatrywałem się w kasetkę z obawy, że niczym z puszek Pandory wylecą z niej jakieś paskudztwa.

- Czy wiesz, co jest w tej kasetce?

Potrząsnął głową. - Pewnie biżuteria, ale naprawdę to nie

wiem. Przyniosła kasetkę do mnie jakieś pół roku temu i spytała, czy mogę ją wziąć na przechowanie. Za bardzo się do tego nie paliłem... no bo wiedziałem, że jest hazardzistką, ale... widzisz, Melissa i ja zawsze pomagaliśmy sobie, gdy jedno z nas znalazło się w tarapatkach. Zeszłego lata, na przykład, przyczepiła się do mnie jedna dziewczyna i ani rusz nie mogłem się jej pozbyć, Melissa wtedy splawiła ją w cudowny sposób. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale...

Przerwałem mu gwałtownym machnięciem ręki. Jak Don zacznie się rozwodzić o swoich sukcesach miłosnych, dużo czasu może upłynąć, zanim się uda skierować rozmowę na bardziej dorosłe tematy. Mówiłem już, że to właściwie mały chłopiec, który jeszcze nie wyrósł.

Wskazałem na kasetkę. - Czy jest klucz od tej kasetki?

Don oświadczył, że musi być, ale on tego klucza nie ma.

Gdzie kobieta pokroju Melissy mogła schować kluczyk? Gdzie w ogóle chowała swoje rzeczy? Dbałość o porządek nigdy nie była jej mocną stroną. Bez większej nadziei wszedłem do sypialni i rozejrzałem się, czekając, aż mi coś przyjdzie do głowy. Faktem jest, że do tej pory nie mogłem się zdobyć na przejrzenie jej osobistych rzeczy. Ale prędzej czy później trzeba było się tym zająć. Nie miałem pojęcia, co zrobić z jej bogatą garderobą. Może wielka paczka wysłana do Czerwonego Krzyża byłaby najlepszym rozwiązaniem.

Otwarłem pierwszą z brzegu szufladę. Była wypchana podartymi pończochami. Wyrzuciłem je, coś brzęknęło na podłodze. Był to kluczyk. Spojrzałem na Dona, który stał w drzwiach. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Spróbuj - powiedział. - Może pasuje.

Klucz otworzył kasetkę. Było to nielogiczne, ale typowe dla Melissy.

Kasetka zawierała list w czystej kopercie, gruby plik banknotów, ściśnięty gumką, kartkę papieru i płaskie pudełko na biżuterię.

Najpierw otworzyłem pudełko. W środku leżał naszyjnik, piękniejszego w życiu nie widziałem. Podałem go Donowi.

- Znasz się na tym lepiej niż ja. Czy to prawdziwe? Don

obejrzał naszyjnik.

- Prawdziwe? - spokojnie powtórzył. - Wielkie nieba, dobry jesteś! Wart tysiące, bracie!

Banknoty też okazały się prawdziwe. Były to dziesiątki i piątki. Wraz z Donem przeliczyliśmy je wolno i dokładnie. Kiedy skończyliśmy, powiedziałem cicho:

- Dziewięć tysięcy sześćset czterdzieści funtów.

- Zgadza się - zaświadczył Don.

W głowie wirowała mi karuzela. Czy w ogóle wiedziałem coś o swojej żonie? Dalsza zawartość kasetki świadczyła, że nic nie wiedziałem. Kartka papieru była rewersem na trzy tysiące funtów. Fakt, że rewers był w posiadaniu Melissy, świadczył niezbicie, że ktoś był jej winien tę sumę. Serce mi zabiło, gdy rozpoznałem podpis dłużnika. Nie pokazałem rewersu Donowi.

Don wpatrywał się w banknoty, gdy otwierałem kopertę. Widocznie zbladłem, czytając tych parę zdań listu, bo Don spojrzał na mnie

i przerażony spytał:

- Zła nowina, powiedz, stary? Siądz może sobie...

Rada była dobra. Przeczytałem list jeszcze raz i włożyłem do kieszeni marynarki. Don siedział naprzeciw mnie i czekał z napiętymi nerwami.

- Wiesz - odezwałem się wreszcie - dziś po południu byłem wraz z inspektorem Cameronem u twego kumpla, doktora Swansona, przy Wimpole Street.

- Ach, tak? I jakie zrobił na tobie wrażenie?

- Nie umiem powiedzieć. Uznałem go jednak za wyrafinowanego kłamcę, ale teraz nie jestem tego pewny. Powiedział... Cameronowi, że ja... twierdzi, że byłem u niego przed paru tygodniami i posądziłem Melissę o to, że ma kochanka.

Don kręcił się na krześle.

- Hm, rzeczywiście tak powiedziałaś?

- Nie. W każdym razie nie za życia Melissy. Tego jestem pewny. Wyznawałem zasadę, że należy ufać jej lojalności. Mogę cię zapewnić, że nigdy do głowy mi nie przyszło, by Melissa mogła mnie zdradzić.

- Słuchaj - nerwowo wtrącił Don. - Nie powinieneś wyciągać pochopnych wniosków tylko dlatego, że...

- Żadnych wniosków nie wyciągam - przerwałem mu gwałtownie. Poklepałem list w kieszeni. - Tylko po prostu budzę się ze snu. Ten list dzwoni jak budzik. Pora, żeby Guy Foster przestał śnić.

- Guy, na miłość boską, skończ z melodramatycznymi scenami! Co jest w tym liście?

Wyjąłem list z kieszeni i głośno go przeczytałem:

„Drogi Guyu!

Przepraszam za awanturę. Zawsze miałam nadzieję, że nigdy nie dowiesz się o Peterze Antrobusie. Chciałam oszczędzić ci tego, kochanie. Nawet teraz nie wiem, co nasunęło ci podejrzenia. W każdym razie, proszę cię, wybac mi, że przeze mnie byłeś tak nieszczęśliwy. Melissa.”

Wpatrywałem się w Dona, czekając, że powie, kim jest Peter Antrobus. Ku mojemu zdziwieniu, miał głupią minę.

- No, Don, nie powiesz chyba, że nigdy o nim nie słyszałeś?

- Klnę się na wszystko, co mi drogie - nigdy. Ale to dosyć rzadkie nazwisko. Kto to jest?

Tym razem ja miałem głupią minę.

- Nie mam zielonego pojęcia - przyznałem.

Po chwili Don wyszedł.

Popatrzyłem na zegarek. Jeśli miałem nie spóźnić się na spotkanie z Felixem, nie było już czasu na ugotowanie spaghetti. Postanowiłem zjeść kanapkę w barze, w którym się umówiliśmy. Trochę posprzątałem mieszkanie, zaciągnąłem w saloniku zasłony sięgające od sufitu do podłogi, schowałem kasetkę Melissy w bezpiecznym miejscu, spojrzałem tęsknie na maszynę do pisania (na pokrywie osiadła już cienka warstwa kurzu) i starannie zamknąwszy drzwi, wyszedłem.

Pogrążony w myślach, jechałem na Vauxhall Bridge Road. Felix wybrał ten bar z przyczyn natury sentymetalnej. Swego

czasu, przed dziesięcioma laty, była to nasza ulubiona knajpka, w sam raz koło banku, w którym Felix wtedy pracował, i niedaleko od szkoły dziennikarskiej przy Victoria Street, gdzie studiowałem. Potem dostałem pracę na Fleet Street, a Felix otworzył biuro porad finansowych (przyjaciele nie bez ironii mówili, że Felix porad finansowych udzielał tylko własnej żonie, która była uważana za dość bogatą osobę). Nasza knajpka przestała być wygodnym miejscem spotkań, ale przychodziliśmy tam niekiedy przez pamięć dawnych czasów.

Felix już czekał w naszym kącie. Gdy wszedłem, pokiwał mi ręką i uśmiechnął się niezbyt pewnie.

- Siemasz, Guy - powiedział, kiedy podszedłem do stolika.

- Serwus. Widzę, że od czasu, gdyśmy tu byli ostatni raz, jeszcze nie odnowili tego lokalu.

- Nie byłby to ten sam lokal, gdyby go doprowadzili do porządku. Co pijesz?

- Duże piwo i zjem kanapkę z serem. A ty?

- Whisky. Zaraz wszystko przyniosę.

Poszedł do baru. Gdy wrócił z whisky, piwem i kanapką, uważnie mu się przyjrzałem. Wyglądał źle i był zdenerwowany. Byłem niemal pewny, w jakiej sprawie chciał ze mną pomówić. Interesowało mnie, od czego zacznie.

Felix zamówił jeszcze jedną whisky, ja piwo. Bez przerwy wycierał twarz chustką, nerwowa rozmowa się rwała. Uznałem, że dość tej zabawy w kotka i myszkę.

- W tej sprawie chciałeś się ze mną zobaczyć? - spytałem, wyjmując z kieszeni rewers. Podpis Felixa pod sumą trzech tysięcy funtów był aż nadto czytelny.

Whisky utknęła mu w gardle. Patrząc na kartkę papieru, wybałuszył oczy jak ropucha.

- Skąd to wzięłeś, Guy?

Nie miało sensu mówić mu o kasetce.

- Melissa miała ten kwit - odparłem. Felix znowu chustką otarł błyszczące czoło.

- Mój Boże, jak mnie to gryzło! - rzekł. - Wiedziałem, że to paskudztwo prędzej czy później wylezie na wierzch... miałem tylko nadzieję, że nie dostanie się do niepowołanych rąk.

Gdyby ten cholerny inspektor dowiedział się, że Melissa pożyczyła mi tyle forsy... sam możesz sobie wyobrazić. Od razu powiem ci, stary, że dostaniesz te pieniądze, musisz mi tylko dać trochę czasu...

- Ten kwit nie należy do mnie. Dałeś go Melissie.

- Wiem, ale teraz jest w twoich rękach, jasna sprawa. Wzruszyłem ramionami. Pieniądze mnie nie interesowały. Chciałem tylko dowiedzieć się, co za tym się kryje.

- Powiedz lepiej, dlaczego Melissa pożyczyła ci trzy tysiące?

- Bo były mi potrzebne. Znalazłem się w okropnej sytuacji.

- Jak do tego doszło?

Felix łyknął whisky i rozejrzał się, sprawdzając, czy ktoś nas nie podsłuchuje.

- Stało się to około pół roku temu - zaczął. - Miałem złą passę na giełdzie... wiesz, jak jest. Jakiś zatracony mądrała daje ci murowany cynk i ani się obejrzyysz, już diabli wzięli oszczędności całego twego życia. Spłukałem się, i to doszczętnie. Oczywiście mogłem dostać pieniądze od Pauli... ale znasz ją. Do końca życia by mi to wypominała. Pewnego dnia pojechałem samochodem do Folkestone zobaczyć, czy nie udałoby mi się naciągnąć na pożyczkę jednego serdecznego kumpla. Nic z tego. Przygnębiony, wracałem do Londynu. W Elvingdale, wiesz, tym miasteczku w hrabstwie Kent, całkiem jak z widokówki, nawalił mój stary gruchot. Czekaając, aż go naprawią, wstąpiłem na herbatę do kawiarni. No i wyobraż sobie, siedziała tam Melissa. Najogólniej mówiąc, byłem zaskoczony.

- Sama?

- Co? Czy była sama? Tak, wyobraź sobie sytuację. Ja patrzę przez czarne okulary na życie w ogóle, a w szczególności na mój rachunek w banku, i Melissa, dziewczyna niezwykle bystra... dość na tym, że w końcu wszystko wygadałem, naturalnie bez cienia ukrytych zamiarów. Do głowy by mi nie przyszło, że ona ma pieniądze.

- Ale zaproponowała, że cię poratuje? Tak sobie. - Pstryknąłem palcami.

Felix skinął głową. - Właśnie. O mało nie spadłem z krzesła.

Nie przypuszczałem, by któreś z was mogło mieć tyle pieniędzy.

- Co do mnie, miałeś rację - powiedziałem oschle. Wstałem i poszedłem do baru po nową kolejkę. A kiedy wróciłem, spytałem:

- Co miałeś zrobić za tę pożyczkę?

- Zrobić? Co to znaczy, stary?

- Jakie były warunki tej transakcji, umowy czy jak to nazwać?

- Guy, nie zrozumiałeś. Nie było żadnej transakcji. Melissa nie była taka. Miałem tylko trzymać język za zębami... i zrobiłem to jak najchętniej.

- Rozumiem. - Odsunąłem na bok szklankę. Nie miałem już ochoty na whisky. Zapytałem Felixa, czy słyszał o jakimś Peterze Antrobusie. Potrząsnął głową.

- Nie, nic mi to nazwisko nie mówi. A powinienem go znać? Chyba nie kłamał. Wyjąłem z kieszeni kwit i położyłem go pod szklanką whisky.

- Weź ten kwit, Felix. Na twoim miejscu w przyszłości trzymałbym się z daleka od tego rodzaju spraw.

Felix własnym oczom nie wierzył. Jeśli przedtem wybałuszył je jak ropucha, teraz zupełnie wyszły mu z orbit.

- Naprawdę, stary?... - terkotał jak karabin maszynowy. - Trzy tysiące funtów... to wspaniałomyślny gest z twej strony... poważnie mówisz?

Zapewniłem go, że tak, i szybko się pożegnałem, by uniknąć zenujących wylewów wdzięczności.

Pojechałem do domu, wprowadziłem hillmana do garażu i cicho wszedłem do mieszkania. Było to na pewno głupie, ale nie mogłem już przekroczyć progu mieszkania bez obaw (a może gorącego życzenia), że usłyszę brzdąkanie gitary i łagodne tony saksofonów „melodii Melissy”. Tym razem jednak w mieszkaniu panowała cisza. Dość obojętnie przejrzałem wieczorną pocztę, wszedłem bez celu do sypialni, po czym postanowiłem wziąć prysznic i zabrać się do powieści.

Właśnie zdjąłem koszulę i spodnie, gdy usłyszałem, jakby ktoś cicho zamykał drzwi od frontu.

Ledwie się to dało słyszeć, ale na mnie podziałało, jakby za-grzmiała trąba. Wpadłem do pokoju i zobaczyłem, że zasłona,

na całą wysokość ściany, leciutko faluje. Jak ktoś jest w podkoszulku i spodenkach, trudno być odważnym, ale zaczerpnąłem powietrza i szarpnąłem zasłonę na bok. Nikogo nie było. Nie wiem, czy to czysta imaginacja, wydało mi się jednak, że czuję delikatny zapach nie znanych mi perfum. Już chciałem pobiec do drzwi, choć byłem nie ubrany, gdy przez okno zobaczyłem na ulicy niewyraźną sylwetkę kobiety. Szybko wsiadła do samochodu, który zaraz zniknął za rogiem.

Odwracając się od okna, dotknąłem gołą stopą czegoś miękkiego. Schyliłem się, podniosłem chusteczkę. Była naperfumowana, w jednym rogu miała wyhaftowaną literę M.

Nie żyła, ale spotykałem się z nią tutaj na każdym kroku. Z biurka jej fotografia uśmiechała się do mnie, kiedy otwarłem kasetkę - jej odręczny list mówił do mnie, przedwczoraj ulubiona melodia Melissy wypełniła pokój. Nawet telefonowała do mnie w godzinę po śmierci stwierdzonej przez policję. Teraz na sekundę ukazały się w świetle ulicznej lampy blond włosy o odcieniu miodu, a tutaj chusteczka z inicjałem...

Opadłem na krzesło i obiema rękami złapałem się za głowę. Dotknąłem łokciem maszyny do pisania, odsunąłem ją od siebie. Przejechałem palcami po klawiaturze. Wychodząc, nałożyłem na okrytą kurzem maszynę plastikowy pokrowiec. Wyprostowałem się gwałtownie.

Wlepiłem wzrok w odkrytą maszynę z wkręconą kartką papieru. Kartka zawierała tajemniczą wiadomość składającą się ze słów:

„Petera Antrobusa znajdziesz w Elvingdale. U Duncana, sobota rano, 10.30”.

Rozdział piąty

Kiedy parę dni później jechałem samochodem do Elvingdale, pamiętałem tylko o jednym złowróżbnym fakcie: Melissa była tam. Właśnie w Elvingdale Felix niespodziewanie natknął się na nią, siedzącą samotnie w sennej kawiarence. Co robiła? Nie mieliśmy przyjaciół w tamtych stronach, przynajmniej ja nie

miałem. Nie wiedziałem o żadnej sprawie, która mogłaby ją zawieść do tej miejsciny. Cóż, u licha, mogła tam robić? I kto to był Peter Antrobus?

A jeszcze, kim był Duncan?

Instynktownie rozglądałem się za sklepem z kapeluszami. Ale Elvingdale jeszcze nie dorosło, by mieć takowy. Było tam parę staroświeckich sklepów z materiałami, w których pewnie wciąż jeszcze sprzedawało się sztukę sukna po trzy szylingi jedenaście i trzy ćwierci pensa za jard. Ale ani śladu sklepu z kapeluszami. Za to był salon fryzjerski dla panów. Właściciel nazywał się Duncan.

Serce zabiło mi, gdy zobaczyłem to nazwisko nad drzwiami, ale nie od razu tam wszedłem. Kartka w maszynie do pisania mówiła

o Peterze Antrobusie i godzinie wpół do jedenastej. Musiałem zaczekać dziesięć minut.

Postanowiłem jeszcze raz przejść się po malowniczym rynku.

I bardzo dobrze zrobiłem, bo w przeciwnym razie nie zobaczyłbym stalowoszarego bentleya „S” standard zaparkowanego w wąskiej uliczce, z pewnym siebie szoferem w liberii za kierownicą. Nie wiem, czy mnie poznał, ja doskonale go pamiętałem, tak samo jak numer rejestracyjny: NU 202. A więc również doktor Swanson miał coś do załatwienia w Elvingdale. Był to wysoce nieprawdopodobny zbieg okoliczności... inaczej mówiąc, nie ma cudów. Zobaczyłem, że z księgarni wyszła jakaś dziewczyna. Choć widziałem ją tylko z tyłu, jej zgrabna sylwetka była mi dziwnie znajoma. Ukryłem się za grubym pnem kasztana i obserwowałem ją - przeszła na drugą stronę uliczki, zmierzała do samochodu Swansona. Nie omyliłem się: była to jasnowłosa sekretarka doktora. Nazywała się, jeśli dobrze pamiętam, Joyce Dean. Spojrzałem na zegarek i ciężko westchnąłem. Chętnie bym z nią się spotkał, ale nie miałem czasu. Musiałem być u fryzjera.

W skromnym zakładzie pana Duncana były dwa fotele, obydwa wolne, nikt też nie czekał. Gdy zamknąłem za sobą drzwi, ruchliwy mały mężczyzna z długim i cienkim wąsikiem, w białym fryzjerskim kitlu, szybko odłożył gazetę.

- Dzień dobry panu - powiedział.

- Dzień dobry - odparłem i poprosiłem o strzyżenie.

Za plastikową zasłoną ktoś się kręcił. Szef zwrócił się w stronę tej zasłony:

- Jackson! Klient czeka!

Młodzieniec z miotłą w ręce wystawił głowę zza zasłony, przyjrzał mi się niechętnie, westchnął i podszedł, wskazując ręką jeden z wolnych foteli.

Pan z wąsikami powiedział: - Przepraszam, że sam pana nie mogę obsłużyć. Za parę minut ma przyjść umówiony klient.

Spojrzał na zegar na ścianie, a ja popatrzyłem na odbicie zegara w dużym lustrze przede mną. Nasze oczy spotkały się w lustrze. Była 10.32.

Drzwi od ulicy otworzyły się i zabrzączał dzwoneczek. Na progu stanął przystojny mężczyzna po trzydziestce. Serce mi zabiło. Gość zwrócił się do Duncana:

- Czy może mnie pan teraz ostrzyć? Właściciel zakładu potrząsnął głową.

- Niestety, proszę pana. Jestem umówiony na wpół do jedenastej. Klient się spóźnił, ale zaraz przyjdzie.

Mężczyzna dobrodusznie, ale z lekką ironią, spytał: -- Czy to przypadkiem nie pan Antrobus? - Właśnie.

- A to pech. Co sobotę mi się to zdarza. Spróbuję koło jedenastej, dobrze?

- Doskonale. Akurat skończę.

Drzwi się zamknęły, zabrzączał dzwoneczek. Spostrzegłem się, że niechętny młodzieniec strzyżący mi włosy coś mi szepcze do ucha. Zbyt byłem zajęty obserwacją sceny odbitej w lustrze, by zwrócić na niego uwagę.

- O co chodzi? - spytałem z lekką irytacją.

- Jak mam przystrzyć? Może zostawić więcej na skroniach...

- Skrócić z tyłu i na bokach, ale nie za dużo - odparłem opryskliwie. „I nie zasłaniaj mi, idioto, widoku!” - - miałem ochotę krzyknąć. Wpatrywałem się przy tym w odbicie drzwi w lustrze.

Ale to Duncan mimo woli zasłonił mi widok, kiedy dzwonek znów zabrzączał i ktoś wszedł z ulicy. Niepokojnie kręciłem się na fotelu.

- A, dzień dobry, panie Antrobus! - Duncan wylewnie powitał klienta.

Odpowiedział mu piskliwy głos: - Dzień dobry panu. Przepraszam, że się spóźniłem. Nauczyciel zatrzymał nas w szkole.

Duncan roześmiał się. - Nic nie szkodzi, Peter, obroniłem twój fotel. Siadaj, już się robi.

Dwunastoletni chłopiec zdjął szkolną czapkę, westchnął „Uff!” i usadowił się w fotelu koło mnie.

Nie pozostało mi nic innego, jak siedzieć i z dość głupią miną wpatrywać się we własne odbicie w lustrze. Chociaż od owej nocy, kiedy Melissa została zamordowana, cały świat przewrócił się do góry nogami, nie mogło jednak zmieścić mi się w głowie, żeby moja żona miała romans z dwunastoletnim uczniem. Łamałem sobie głowę i gdy niechętny Jackson skończył mnie strzyć, doszedłem do jedyne go logicznego wniosku: mam spotkać się nie z tym chłopcem, tylko z jego ojcem, któremu też pewnie na imię jest Peter.

Z tego względu uznałem, że nie zaszkodzi zbliżyć się do młodego Petera. Wstałem i wycierając ręcznikiem kark, mruknąłem do chłopca konspiracyjnym tonem:

- Czy po stryżeniu też masz zawsze pełno włosów pod koszulą? Energicznie kiwnął głową.

- Tak, to okropne, prawda? Nie cierpię stryżenia włosów - powiedział.

- Ja też.

- Naturalnie, pan Duncan całkiem dobrze strzyże, ale włosy zawsze mi włożą pod koszulę.

Wyglądał na bystrego i miłego chłopca. Odwróciłem się do Duncana i spytałem, ile mu jestem winien.

- Trzy szylingi, proszę pana.

Zapłaciłem i swobodnym tonem rzuciłem do chłopca:

- Ładne jest to Elvingdale, mieszkasz tutaj?

- Tak, proszę pana, tuż za miastem.

Duncan schował pieniądze do kieszeni i przyłączył się do rozmowy. - Pan pierwszy raz w Elvingdale?

- Właśnie.

Zmarszczył brwi. - Ciekawe, zdawało mi się, że pana już

gdzieś w tych stronach widziałem.

- Nie, nigdy tu nie byłem. Ale bywam na wybrzeżu. Mam domek w Lenton.

- Ach, Lenton, ładne miasteczko. I ciche. Jakieś siedemnaście mil stąd, prawda?

- Nie, znacznie więcej - stwierdził ponurym głosem Jackson. - Będzie ze dwadzieścia pięć mil.

- Niemożliwe! - piskliwie zaprotestował Peter Antrobus. - Od nas jest tylko szesnaście.

- Na pewno, Peter? - spytał Duncan.

- No jasne. Zaraz za naszą stacją benzynową jest znak na drodze.

Nastawiłem uszu. Znów zabrzączał dzwonek i weszła dziewczyna. Brunetka, ładna, mogła mieć dwadzieścia parę lat. Miała na sobie obszerny sweter, niebieskie dżinsy i była obładowana paczkami. Starałem się ukryć zainteresowanie, kiedy Duncan powitał ją jako pannę Antrobus. Mary Antrobus. Widać było, że dziewczyna się śpieszy, ale chłopiec zwlekał, bo nie skończył czytać ilustrowanego magazynu, postanowiłem więc śmiało ją zagadnąć.

- To moja wina, proszę pani, że chłopiec nie skończył czytać - powiedziałem swobodnym tonem. - Moja wina, bo sobie trochę porozmawialiśmy.

- Och, nic nie szkodzi - odparła grzecznie. - Wiem, co się dzieje, jak się Peter rozgada. - W tym momencie zmierzyła mnie surowym spojrzeniem. Nagle jakby dech jej zapało, mruknęła coś pod nosem, złapała chłopca i wypchnęła na ulicę.

Ogromnie się zmieszałem. Zauważyłem, że Jackson wymienił ze swym pracodawcą znaczące spojrzenie, co jeszcze pogorszyło moje samopoczucie. Już chciałem spytać, czy się nagle okazało, że jestem zapowietrzony, ale dałem spokój zaczepkom, powiedziałem: „do widzenia” i wyszedłem na ulicę.

Przechodząc koło witryny, zajrzałem do środka przez przejrzystą zasłonę. Jackson i Duncan gorączkowo sprawdzali coś w rozłożonej gazecie. Nie widziałem, co czytają, ale zapamiętałem gazetę i zaraz kupiłem ją w kiosku.

Na ostatniej stronie znalazłem dużą fotografię mojej własnej

osoby. Jakby mnie ktoś oblał zimną wodą. Obok było zdjęcie Melissy. KTO ZABIŁ MELISSE FOSTER? -- krzyczał podpis pod zdjęciami. Brakowało tylko strzałki wskazującej na moją podobiznę. Ale dokładnie opisano, co ja i Melissa robiliśmy tego wieczoru, kiedy została zamordowana. Opis ten wyraźnie rzucał podejrzenie na mnie.

Fakt, że intymne szczegóły mojego życia zostały roztrąbione przez gazetę czytaną w całym kraju, tak mnie oszołomił, że nie bardzo wiedziałem, dokąd iść, aż o mało się nie zderzyłem z urodziwą Joyce Dean. Nie wiem, które z nas bardziej się wystraszyło. Ona pierwsza się opanowała i najwyraźniej chciała skrócić nasze spotkanie. Wobec czego postanowiłem ją zatrzymać i wziąłem pod rękę, żeby mi nie uciekła. Zapytałem, czy doktor Swanson też jest w Elvingdale.

- Nie. Przyjechałam sama. Odwiedzić matkę, mieszka tutaj.

- Zdaje się, że pani jest nie całkiem sama. Widziałem chyba bentleya doktora i jego skwaszonego szofera.

Wzruszyła ramionami i bąknęła: - Możliwe.

- To pięknie, że wożą panią takim luksusowym samochodem.

- Doktor Swanson jest dla mnie bardzo miły.

- Niewątpliwie - odparłem oschle. - Szkoda, że pani była niezbyt miła dla mnie parę dni temu.

- Co to znaczy?

- Udawała pani, że mnie poznaje.

- Ależ ja pana rzeczywiście poznałam. Inaczej, skąd mogłabym znać pańskie nazwisko, jak pan wtedy przyszedł późnym wieczorem? Był pan przecież z wizytą u doktora Swansona i to jest zapisane czarno na białym w dzienniku wizyt i na recepcie...

Stalowszary bentley podjechał cicho do chodnika. Joyce Dean delikatnie uwolniła ramię z mego uścisku.

- Proszę pana - powiedziała łagodnie - pańskie nerwy ostatnio były nadszarpnięte... nie sędzę, by zdawał pan sobie sprawę, jak bardzo. Kiedy przyszedł pan do nas po raz pierwszy, już był pan chory, a teraz ta straszna tragedia pogorszyła sytuację.

Mówiła to tak szczerze, że opuściłem rękę. Szofer otworzył drzwi samochodu, usiadła z tyłu.

- Czy pani... chce mi dać do zrozumienia, że moja pamięć uległa zaćmieniu?

- Nie jestem upoważniona do stawiania diagnozy. Pełnię tylko funkcję pielęgniarki i sekretarki. Ale powinien pan przyjść jeszcze raz do doktora Swansona. Na pewno panu pomoże.

Uśmiechnęła się do mnie, skinęła głową szoferowi. Bentley ruszył.

Joyce Dean zachowała się tak naturalnie, że byłem skłonny jej uwierzyć. Już chciałem wrócić do Londynu, gdy zobaczyłem Mary Antrobus i małego Petera. Wyjeżdżali z parkingu samochodem combi. Przypomniałem sobie jej dziwne zachowanie i nagle postanowiłem zasięgnąć bliższych informacji.

Nie mogłem już ich zatrzymać. Szybko podjechałem jednak do parkingu i natknąłem się na starego dozorcę ze szczerbatym uzębieniem. Jeszcze było widać w oddali odjeżdżający samochód. Dałem staremu hojny napiwek i wypytałem go o rodzinę Antrobusów. Potwierdził to, co już wiedziałem: Peter i Mary byli rodzeństwem, a ich ojciec miał stację benzynową i warsztat samochodowy na skraju miasteczka.

- Antrobus... to, zdaje się, nazwisko dość często spotykane w tych stronach? - spytałem z głupia frant.

- Nie, szanowny panie - odparł szczerbaty staruszek. - Znam tylko jedną rodzinę Antrobusów, a mieszkam tu od urodzenia.

- Liczna rodzina? Mnóstwo dzieci, wujków i tak dalej?

- Nie, jest ich tylko troje od czasu, jak matce się zmarło. Bardzo to smutne. George nie może się pozbierać. Minęło już półtora roku, jak zmarła mu żona.

A więc ojcu na imię było George, a nie Peter, jak synowi. I żadnych starszych braci nie było. Nic się tu nie zgadzało.

- Ach, tak, George! - ożywiłem się. - Zdaje się, że gdzieś go widziałem. Dość wysoki, po swojemu przystojny, w okularach, może mieć czterdzieści pięć lat lub coś koło tego.

Stary dozorca uporczywie potrząsał głową. --To nie ten człowiek, panie szanowny. George ma swoje sześćdziesiąt lat, a

wygląda na więcej. Nie widziałem go nigdy w okularach i nie mogę powiedzieć, że jest wysoki albo przystojny.

Więcej już nie ryzykowałem. Skinąłem mu głową i wsiałem do samochodu. Odjeżdżając, widziałem w lusterku, jak stary odprowadza mnie wzrokiem. A może i on widział moje zdjęcie w gazecie?

Zamyślony, jechałem wskazaną mi drogą. Po chwili ujrzałem stację benzynową i warsztat samochodowy. Na szyldzie było nazwisko właściciela: George Antrobus. Na stacji widać było tylko jedną osobę - Mary. Tankowała benzynę do Morrisa 1100. Obserwowałem ją z przyzwyczajonej odległości. Skończyła, zainkasowała należność, wydała resztę i zniknęła w kantorku za dystrybutorami.

Poszedłem za nią.

Po cichu wszedłem do kantorka. Była odwrócona do mnie plecami. Szukała czegoś w stalowej szafce, w której zapewne przechowywane były rachunki i paragony. Szybko rozejrzałem się. Całe umeblowanie kantorku składało się z obrotowego krzeselka i biurka, zarzuconego broszurami, listami, rachunkami i katalogami. Pod trzema ścianami piętrzyły się pudła z akcesoriami samochodowymi. Na czwartej ścianie, z okienkiem, wisiało parę kalendarzy, niewątpliwie otrzymanych w prezencie od fabrykantów i sprzedawców benzyny.

Ujrzałem też podpisaną fotografię... Dona.

Przybito ją pluskiewkami do górnej części biurka. Nie był to wycinek z gazety, tylko lśniaca czarno-biała fotografia z dedykacją i podpisem. Don siedział na tyle Ferrari w klasycznej pozycji zwycięzcy, z kaskiem w rękę, uśmiechem na przystojnej, usmarowanej olejem twarzy i wieńcem kwiatów na szyi. Wyteżyłem wzrok, by zobaczyć, co napisał, ale zdążyłem tylko przeczytać: „Mary...”, gdy dziewczyna uprzytomniła sobie, że nie jest sama, i gwałtownie się odwróciła.

- Jak długo pan tu stoi? - spytała ze złością.

- Najwyżej dwadzieścia sekund. Przepraszam, jeżeli panią przestraszyłem.

- Nie lubię natrętów. Czego pan chce?

- Zamienić z panią parę słów, jeśli pani pozwoli. Nazywam się Foster - Guy Foster.

- Tak, wiem. Poznałam pana rano. Widziałam w gazecie pańskie zdjęcie.

- Aha, i dlatego tak dziwnie się pani zachowała u fryzjera?

- To pan zamordował... przepraszam, pańską żonę zamordowano.

- Właśnie. I dlatego jestem tutaj. Staram się ustalić pewne fakty. Wydaje mi się, że pani mogłaby mi pomóc.

- Ja? - miała szczerze zdziwioną minę. - A niby jak?

- Melissa, moja żona, przyjaźniła się z kimś, kto się nazywał Pe-ter Antrobus. Przyszło mi na myśl, że być może...

- Peter Antrobus? - parsknęła śmiechem. - To niczym nie mogło grozić. Peter jest moim bratem. Poznał go pan u fryzjera. Chodzi jeszcze o szkoły.

- Tyle to sam się domyśliłem. Ale chciałbym wiedzieć, czy ma pani innych krewnych w Elvingdale lub zna kogoś o tym samym nazwisku.

- Nie, nikogo takiego nie znam, jestem tego pewna. - Energicznie zatrasnęła szufladę szafki. - A skąd pan w ogóle wie, że pańska żona przyjaźniła się z jakimś Peterem Antrobusem?

- Zostawiła mi list. Wymieniła w nim to imię i nazwisko w sposób nie nasuwający żadnych wątpliwości.

- Rozumiem. No cóż, żałuję, ale nie mogę panu pomóc. Nie znałam pańskiej żony i jestem pewna, że mój braciszek też jej nie znał.

Była dotąd całkiem uprzejma. Teraz jej ton świadczył, że uważa rozmowę za skończoną. Nie podzielałem jej zdania.

- Proszę pani, jak wyszedłem przed chwilą od fryzjera, natknąłem się na Joyce Dean. Czy pani przypadkiem jej nie zna? Zdaje się, pochodzi z tych stron, w każdym razie jej matka tu mieszka.

Wzruszyła ramionami.

- Dlaczego miałabym ją znać? - burknęła obojętnie.

- Też nie widzę powodu, chociaż obie panie są mniej więcej w tym samym wieku, a Elvingdale jest małym miasteczkiem.

- To pańska przyjaciółka?
- Nie powiedziałbym.
- To dlaczego pan się nią interesuje?
- Złożyła zeznanie na policji - fałszywe, w moim przekonaniu.
- Na temat pańskiej żony?
- Nie, o mnie.

Dostrzegłem w jej oczach jakby wahanie. Serce mi zabiło. Byłem pewny, że chce coś powiedzieć. Poprosiła, bym powtórzył nazwisko. Grała na zwłokę, jeszcze nie była zdecydowana.

- Joyce Dean - powiedziałem. - Pielęgniarka. Ściślej mówiąc, jest kimś więcej, bo dodatkowo pełni funkcję sekretarki pewnego lekarza w Londynie.

- Tak się dziwnie składa - wycedziła Mary Antrobus - że ją znam. W każdym razie... spotkałam ją raz czy dwa razy. Niewiele

o niej wiem. Pracowała w tutejszym szpitalu. Zdaje się, że wyjechała stąd jakiś rok temu.

- Pracuje teraz u niejakiego Swansona przy Wimpole Street.

- Wimpole Street... A, to miała szczęście. Też chciałabym dostać pracę w Londynie.

Zabrzączał dzwonek wzywający ją do dystrybutorów. Przeprosiła

i szybko poszła do czekającego austina. Rzuciłem okiem na fotografię Dona. Dedykacja była prosta:

„Mary, wraz z najlepszymi życzeniami Don Page”.

Daty nie było. Doznałem pokusy, by odpiąć pluskiewkę i zabrać fotografię. Ale szybko się rozmyśliłem. Wyszedłem, pokiwałem ręką Mary Antrobus i poszedłem w stronę hillmana.

Zawróciłem i ruszyłem z powrotem do Londynu. Na razie nie mogłem liczyć, że się w Elvingdale dowiem czegoś więcej. Ale byłem pewny, że jeszcze tu wrócę.

Rozdział szósty

W drodze powrotnej do Londynu starałem się rozwiązać

zagadkę, dlaczego Melissa, żywa lub martwa, tak wyraźnie skierowała mnie do Elvingdale. Co chciała mi dać do zrozumienia w tym liście i czego nie zdołałem się domyślić? Na pewno były prostsze sposoby poinformowania mnie, że Joyce Dean kiedyś pracowała w tamtejszym szpitalu i że Don Page miał dziewczynę, która się nazywała Mary Antrobus.

Postanowiłem wziąć Dona do galopu, jak tylko go dopadnę. Jego telefon nie odpowiadał przez całe popołudnie, wobec czego spróbowałem szczęścia i po kolacji wstąpiłem do niego. Drzwi otworzył Ben-son, jego wyniosły służący. Jako przyjaciel pana domu zostałem od razu wprowadzony do dużego pokoju, którego połowę zajmował olbrzymi półkolisty bar. Przez chwilę mogłem obserwować Dona oddającego się jednej ze swych niewybrednych rozrywek.

Naprzeciw niego, za stolikiem, siedział nie znany mi mężczyzna. Mierzili swe siły w ten sposób, że jeden starał się przygnieść prawe przedramię drugiego do blatu stolika. Sam nigdy się w to nie bawiłem, ale wiem, że jedną z zasad takich przyjacielskich zapasów jest to, że nie można odrywać łokcia od stołu. Siłę czerpie się tylko z przedramienia, przegubu i palców.

Nie zauważony, obserwowałem ich. Uśmiechnięty Don ani trochę się nie przykładał. Jego rywal, purpurowy na twarzy, dobywał wszystkich sił, by się obronić.

Don podniósł wzrok, zobaczył mnie, powitał przyjaznym okrzykiem i najwyraźniej postanowił, że pora skończyć zapasy. Muskuł na jego karku naprężył się, usta się zacisnęły i po paru sekundach Don przygwoździł przedramię przeciwnika do blatu. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że mógł to zrobić znacznie wcześniej. Tamten ciężko dyszał. Po chwili poszedł umyć się w łazience. Już go potem nie widziałem. Don zwyciężył bez odrobiny wysiłku. Uświadomiłem sobie, że rajdowcy, z natury rzeczy, wyrabiają sobie znaczną siłę w rękach.

Don wszedł za bar i spytał, czego bym się napił. Poprosiłem o whisky z wodą sodową. Prawie cała lada baru była kunsztownie zastawiona sandwiczami, oliwkami, pikantnymi kielbaskami „chippolata” na kolorowych patyczkach, kartoflanymi

chrupkami i różnymi przekąskami.

Spytałem Dona, czy wydaje przyjęcie.

- Przyjdzie tylko parę osób - odparł.

Był już w smokingu, prosto spod igły. Nie miałem najmniejszej ochoty na spędzenie wieczoru w towarzystwie rajdowych kumpli Dona, wylewnych, klepiących się po plecach facetów, od razu więc przystąpiłem do rzeczy.

- Słuchaj, Don, byłem dziś rano w miasteczku, które nazywa się Elvingdale, w hrabstwie Kent. Znasz?

W czasie rozmowy, jaka nastąpiła potem, bacznie go obserwowałem. Zachowywał się swobodnie, był trochę roztargniony. Wyglądało to tak, jakby jednym uchem słuchał mnie, a drugie nastawił, by usłyszeć dzwonek u drzwi wygrywający melodyjkę.

- Elvingdale? Właściwie to nie znam, stary. Może raz albo dwa przejeżdżałem przez to miasteczko w drodze nad morze. Ale cóż cię tam zaniósł?

Opowiedziałem mu o bezskutecznych poszukiwaniach Petera Antrobusa. Gdy doszedłem do spotkania z Mary Antrobus, pilnie przyglądałem się jego twarzy.

- Ma na biurku twoją fotografię z autografem.

- Co ty powiesz?

Nie wydał mi się nazbyt zdziwiony.

- Dość interesująca dziewczyna, jeśli lubisz szczupłe, ciemne i z temperamentem.

Don zachichotał.

- Lubię dziewczyny wszelkiego rodzaju, bracie, byle nie nadgryzione zębem czasu.

- Ta ma jakieś dwadzieścia dwa lata - wyjaśniłem.

Don zauważył nutę pytania w moim głosie. Potrząsnął głową.

- Nie powiem, że bym ją sobie przypominał. Ale wygląda na interesującą dziewczynę. Zapiszę ją w moim czarnym notesiku.

Wydało mi się, że zbyt gładko wyśliznął się ze sprawy fotografii, więc go przycisnąłem, by to rozwinął.

- Mój drogi, swego czasu podpisałem setki takich fotek - odparł. - Rozsiałem je po całej kuli ziemskiej.

- To mi przypomina klub entuzjastów jakiegoś filmu.

Don roześmiał się. - Czasem tak. Poszcęściło mi się w Le Mans, a potem w Indianapolis i dostaję stopy listów od sympatyków, którzy przeważnie proszą o podpisane fotografie.

- A czy te fotografie zaopatrujesz tylko w autografy, czy dopisujesz parę słów?

- Zależy, o co mnie proszą. Zwykle spełniam życzenie nadawcy, jeżeli nie jest idiotyczne. - Trącił się ze mną szklanką.

- Piję za zdrowie szczupłej brunetki z temperamentem, Mary Antrobus, kimkolwiek ona jest. Przypomnę sobie o niej, jak będę przejeżdżał przez Elvingdale.

Uśmiechnął się do mnie znacząco i zaczął szukać papierosów. Nie miałem pojęcia, czy kłamie, czy mówi prawdę. Zastanawiałem się, czy nie zaatakować go w innej sprawie, ale pomieszał mi szyki, sam zadając pytanie.

- Wiem, że to nie moja sprawa, ale ten rewers, który znalazłeś w kasetce Melissy...

- To co?

- Właśnie... może nie powinienem o to pytać, ale... czy był podpisany przez Felixa?

Postanowiłem nieco go przytrzymać. - O co ci chodzi?

- Ten kwit. Czy był podpisany przez Felixa Hepburna? Właśnie w tej chwili w drzwiach zagrała dziecinna melodyjka.

- Ktoś zdaje się przyszedł - powiedziałem, zadowolony z tej przerwy. - Będę już chyba uciekał.

Don nie usłyszał ostatniego zdania. Pośpieszył do drzwi i o głowę wyprzedził służącego. Usłyszałem głos Pauli, która pokpiwała sobie z eleganckiego smokingu Dona, co Felix skwitował śmiechem przypominającym ryk osła. Potem nastąpiła krótka rozmowa ściszonymi głosami. Domyśliłem się, że Don poinformował ich o mojej obecności. Weszli do pokoju jakby zażenowani.

Dlaczego Don nie powiedział mi, że mają przyjść Hepburnowie, kiedy spytałem, czy wydaje przyjęcie? Czy uważali, że powinni traktować mnie z dyskretnym szacunkiem z powodu bolesnej straty, jaka mnie spotkała, czy też po prostu się zmieszali? Nie wiedziałem, ale uznałem, że powstała nader niezręczna sytuacja, dołożyłem więc starań, aby się poczuli

jednak swobodnie.

Gdy popłynęły trunki, wszyscy się powoli rozochocili. Chociaż rozmowa stale wracała do zagadkowej śmierci Melissy i kroków podjętych przez policję, prowadzącą dochodzenie, w sumie wszyscy bawiliśmy się lepiej, niż można się było spodziewać. A może grali komedię? Ja na pewno grałem. Wspominając potem nas czworo wygodnie siedzących przy barze u Dona - później było nas pięcioro, bo przyszła jeszcze Carol Stewart - nieraz zastanawiałem się, czy dobrze zagrałem swoją rolę. Udawałem, że nie słucham tego, co mówią, a naprawdę strzygłem uszami jak lis w norze, wyęczałem uwagę na każdą, choćby najdrobniejszą nieścisłość, na najdrobniejszy znak, który by mógł rzucić światło na interesującą mnie sprawę.

Szybko domyśliłem się, że Don był przesłuchiwany przez inspektora Camerona i że była mowa o Felixie. Podobnie przesłuchiwany był Felix i zahaczano o Dona. Odbywało się to wedle pewnego schematu. Z zainteresowaniem dowiedziałem się także, iż Don w czasie przyjęcia, jakie wydał na swoje urodziny, wyszedł z domu na dość długo. Jak się okazało, obecna na przyjęciu Carol Stewart zachorowała i Don musiał ją odwiedzić do domu. Fakt ten wyraźnie zaintrygował inspektora Camerona, a teraz mnie. Następnie dowiedziałem się, że Felix i Paula dzwoniли do mnie (do mojego wyjścia z domu żadnego telefonu wtedy nie było) nie od Dona, tylko z budki na ulicy, bo telefon Dona był zepsuty. Ale niedługo, bo zadzwoniła do Dona Carla Stewart i chciała z nim mówić... Don jeszcze nie zdążył wtedy wrócić.

Z najbardziej obojętną miną, na jaką mogłem się zdobyć, zadałem parę pytań dotyczących Carol, której jeszcze nie znałem.

- Czy była przyjaciółką Melissy? - spytałem Paulę.

- Tak, raczej się przyjaźniły. Obie ciągnęło do teatru. I właśnie Melissa mówiła, że Carol zgrywa się na przyjęciach, po czym tak się wstawia, że pan domu musi ją odwiedzić. Za każdym razem powtarza ten numer - zawsze pan domu, zwłaszcza gdy jest młody i przystojny jak Don.

Historia ta, opowiedziana oschłym tonem, wywołała ogólny

śmiech. Jeszcze chichotaliśmy, gdy Benson zapowiedział nowego gościa. W chwilę potem weszła młoda dziewczyna. Paula skrzywiła się do mnie, a Don zawołał: „Carol, jak miło!”, ale w moich uszach zabrzmiało to całkiem nieszczerze.

Spojrzałem na Carol Stewart z nieukrywanym zaciekawieniem. Była w wieku Melissy, ale poza tym pod żadnym względem jej nie przypominała. Włosy miała ciemne, krótko przystrzyżone wedle ostatniej mody, na twarz nakładła za dużo szminki, ubrana była elegancko, ale nieodpowiednio do jej pulchnych kształtów, za wiele chichotała, a jeszcze do tego obwiesiła się teatralną biżuterią. Podobna była, prawdę mówiąc, do choinki.

Kiedy zostałem jej przedstawiony, bez odrobiny taktu zapytała, czy jest coś nowego „w sprawie Melissy”. Nawet Felix nie wytrzymał i mruknął na znak dezaprobaty.

Ja wzruszyłem ramionami.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Trudno powiedzieć, czy policja się czegoś dowiedziała, czy nie. Sprawę prowadzi niejaki Cameron. Wygląda na świetnego fachowca.

- Tak, wiem, poznałam go - przerwała mi Carol. - Był u mnie dziś rano.

- A czy zadał ci dużo pytań bez sensu, kochanie? - spytała Paula.

Odpowiedź Carol była niespodziewanie arogancka:

- No, zadał, i tyle. Felix uśmiechnął się tępo.

- Założę się, że chciał się dowiedzieć, ile czasu zajęło Donowi odwiezienie cię tamtej nocy do domu, co?

- Tak, między innymi - spokojnie odparła Carol.

- Co znaczy „między innymi”? - ostrym tonem spytał Don.

- Oczywiście pytał, co mnie łączyło z Melissą.

Odniosłem wrażenie, że ta niewinna odpowiedź sprawiła ulgę Donowi. Odzyskał swój zwykły urok. Namawiał Carol, żeby się czegoś napiła.

- Nie, dziękuję, Don - odparła. - Jadę do teatru na premierę, ktoś czeka na mnie na dole. Wpadłam na chwilkę, chciałam ci coś powiedzieć, ale to nic ważnego. Zadzwoń jutro rano.

Don troskliwie wziął ją za łokieć i wyprowadził z pokoju.

Odniosłem wrażenie, że Don i Carol chcą porozmawiać w cztery oczy i - choć to bardzo nieładnie - postanowiłem ich podsłuchać. Pod pozorem, że idę do łazienki, wyszedłem drugimi drzwiami i przystanąłem tak blisko hallu, że mogłem słyszeć ich rozmowę.

- Co jeszcze mówił inspektor? - nerwowo zapytał Don.

- Właśnie to chciałam ci powiedzieć, kochanie, ale nie byłś sam...

- Na miłość boską, Carol, coś mu powiedziała? Wierzę święcie, że to była tylko prawda.

- Oczywiście, powiedziałam mu prawdę! A coś ty myślał?

- Przepraszam cię, kochanie, ale ten cały Cameron wypytywał mnie także o Felixa. On mi zaczyna grać na nerwach. Chciał wiedzieć dokładnie, jak długo nie było mnie na przyjęciu i co się wtedy działo.

Carol roześmiała się.

- No wiesz, nie może liczyć na to, że rasowa dziewczyna powie mu wszystko. W każdym razie mogę cię uspokoić. Nie wydawał się zbyt zainteresowany twoją osobą. Wypytywał mnie o Felixa.

Don zaniepokoił się i zmieształ.

- Ciebie wypytywał o Felixa?

- Tak. I dlatego tak zgłupiałam, jak się tu napatoczyłam na niego.

- Czy pamiętasz dokładnie, o co pytał?

- Tak. Chciał wiedzieć, czy Felix próbował kiedyś pożyczyć ode mnie pieniądze.

- I co powiedziałaś?

- Prawdę. Felix jakiś rok temu chciał ode mnie wyciągnąć pięćset funtów. Niestety, byłam bez forsy, jasna sprawa.

Przetrawienie tej wiadomości zajęło Donowi trochę czasu. Po czym powiedział: - Mów, Carol, co jeszcze?

- Zapytał, czy Felix telefonował w czasie przyjęcia. Odparłam, że nie jestem pewna, ale raczej nie telefonował.

Na to Don: - Dzwonił, ale później. Z budki telefonicznej. Jak odwoziłem cię do domu. Nie mogłem dzwonić z mojego mieszkania, bo telefon był zepsuty.

- Kto ci to mówił? - szybko spytała Carol.

- Co?

- Ten telefon nie mógł być długo zepsuty. Krótco potem ja się połączyłam. Doszłam do wniosku, że źle się zachowałam, i zadzwoniłam, żeby cię przeprosić. Telefon przyjęła jakaś kobieta. Słyszałam w głębi szum odbywającego się przyjęcia. Powiedziała, że cię nie ma, więc odłożyłam słuchawkę.

Don milczał dość długo.

- Mówiłaś inspektorowi o tym telefonie? - spytał po chwili.

- Nie, uważałam, że to nie ma znaczenia. Nie miało to nic wspólnego z Felixem, a tylko on go interesował. Kochanie, muszę uciekać, bo się spóźnię na tę okropną premierę. Mało mnie ona obchodzi, ale muszę już lecieć.

Ucałowali się i coś szepnęli, czego nie zrozumiałem. Uznałem, że trzeba się wycofać i trafić do pokoju przed Donem.

Don wrócił krótco po mnie. Po chwili powiedział, że ma przyjść paczka jego przyjaciół z przemysłu samochodowego, na co oświadczyłem, że na mnie już pora. Felix i Paula nieśmiało zaproponowali, żebym wyjechał z nimi na krótki odpoczynek, ale odmówiłem, zdając sobie sprawę, że jestem zbyt zgnębiony, aby mogło to wyjść mi na dobre.

- Prawdę mówiąc - wymyśliłem na poczekaniu - chętnie bym pojechał do domku w Lenton, jeśli inspektor Cameron się zgodzi. Wolałbym przez jakiś czas być absolutnie sam.

- Masz jeszcze tę ponurą chałupę, Guy? - spytał Don. - Myślałem, że dawno jej się pozbyłeś...

- Chcieliśmy sprzedać, ale nie było chętnych.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział Felix. - Któż by chciał kupić taki domek na odludziu, gdzie poza mewami nie ma się do kogo odezwać.

Paula roześmiała się.

- Nie każdy jest taki towarzyski jak ty. Ja bym powiedziała, że to idealne miejsce dla Guya, jeżeli chce się znów zabrać do pisania. Nie mogę zrozumieć - zwróciła się do mnie - dlaczego nigdy tam dłużej nie posiedziałeś.

- Melissa nie cierpiała tego domku. Skończyło się na tym, że nawet na weekendy nie mogłem tam jeździć. No cóż, komu w drogę... Możesz mnie odprowadzić, Don.

Wróciłem samochodem, ostrożnie wszedłem do mieszkania, przyrządziłem sobie mocną whisky i rozsiadłem się w fotelu.

Dużo się tego dnia dowiedziałem, w Elvingdale i u Dona. Ale nie zbliżyłem się do rozwiązania zagadki. Postanowiłem zadzwonić do Camerona i spytać, czy są jakieś nowiny. Wykręciłem obydwaj numery, jakie mi dał, ale żaden nie odpowiedział. No cóż, trudno było wymagać, żeby inspektor cały dzień siedział przy telefonie, czekając, aż ja do niego zadzwonię.

Nie wiedząc, co począć z sobą, wziąłem się do porządkowania osobistych rzeczy Melissy. Niepotrzebnie, bo gdy złożyłem jej ulubiony szal, halkę z koronką i bluzkę, do której była szczególnie przywiązana, odczułem boleśnie poniesioną stratę. Każda jej rzecz wywoływała wspomnienia i ścisnęła mi serce. Nie zdążyłem uporządkować nawet połowy jej rzeczy, gdy ogarnął mnie płaczliwy żal nad sobą i dałem spokój. Dосkoczyłem do karafki z whisky i syfonu z wodą sodową. Był to mój jedyny ratunek.

W dwie godziny później... a może trzy?... a może już po godzinie... zadzwonił telefon... Ocknąłem się. Najpierw pomyślałem, że położyłem się spać, z wolna jednak uprzytomniłem sobie, że telefon stoi na biurku przy fotografii Melissy, a ja siedzę na fotelu tuż obok.

Postanowiłem nie podnosić słuchawki. Nie bardzo nawet mogłem. Głowę miałem ciężką, a znaczna ilość wypitej whisky sprawiła, że język miałem jak posypany piaskiem.

Telefon dzwonił natarczywie, jak przystało temu współczesnemu narzędziu tortur. Jest jeden skuteczny sposób przzerwania zadawanych nam przez telefon męczarni, które mogą doprowadzić do obłądu - zdjęcie słuchawki. Tak też zrobiłem. Położyłem słuchawkę na biurku, zignorowałem ją i znów obiema rękami złapałem się za głowę.

Jakby we śnie, usłyszałem głos, boleśnie mi bliski, niewymownie drogi. Głos ten szeptał przez telefon:

- Guy, kochanie, to ty? Jesteś tam, mój złoty?

Rozdział siódmy

Nigdy nie dowiem się, jak dotarłem do Lenton i nie zabiłem się po drodze ani nie roztrzaskałem samochodu. Powiedzieć, że jechałem jak wariat, to jeszcze mało. Jechałem jak pijany. Przez cały czas popędzały mnie słowa szeptane przez Melissę: „Czy słuchasz, mój złoty? To ja, Melissa. Guy, kochanie, muszę się z tobą zobaczyć. Jestem w naszym domku. Musisz przyjechać, to strasznie pilne. Jak najprędzej. Proszę cię, mój złoty, przyjeżdż... proszę”.

Wbrew wszelkim prawom natury słyszałem wyraźnie głos Melissy. Kiedy zasypałem ją pytaniami, odłożyła słuchawkę. Zacząłem wahać się, czy to rzeczywistość, czy gra imaginacji. Rzecz była niezgodna z prostą logiką, a jednak chciałem, gorąco pragnąłem, aby to była prawda. Pobiegłem do garażu, wyprowadziłem wóz i pojechałem, zanim chłodny rozsądek mógł wziąć górę.

Jak przejechałem przez Londyn nie zatrzymany przez żadnego policjanta, też pozostanie na zawsze zagadką. Kiedy się już znalazłem w hrabstwie Kent, przedstawiciele prawa byli dla mnie mniej groźni, niż moje własne skrajne wyczerpanie i skutki wypitej whisky. Parę razy omal nie wyleciałem z drogi, raz tak potrąciłem postawiony przy drodze rower, że frunął w powietrze. Przeżyłem straszną chwilę, gdy zobaczyłem, że jadę prosto na przednie światła ciężarówki... w ostatniej sekundzie zdążyłem ją wyminąć. Wśród zgrzytu hamulców usłyszałem potok przekleństw.

Dzięki Bogu, podziałało to na mnie otrzeźwiająco. W najbliższym dogodnym miejscu zjechałem na pobocze, stanąłem pod drzewami, zgasilem światła i zapadłem w niespokojną drzemkę, z głową złożoną na kierownicy.

Obudziło mnie potrząsanie za ramię. W mętym świetle nadchodzącego świtu ujrzałem przyjazną, nie ogoloną twarz mężczyzny w czapce.

- Nic się panu nie stało? - spytał.

Coś wymamrotałem. W ustach mi całkiem zaschło.

- Nic, spałem, i tyle.

- Aha, czuć jeszcze zapach herbatki, którą się pan uraczył - powiedział z uśmiechem mój nowy przyjaciel.

Spytałem, która godzina.

- Minęła czwarta rano. Przepraszam, że przerwałem drzemkę. Odszedł, powłócząc nogami. Jego niewyraźna sylwetka majaczyła wśród drzew. Po chwili usłyszałem silnik jego ciężarówki. Spojrzałem tępy wzrokiem na zegarek, który nie tylko nie poinformował mojej ospałej głowy, która godzina, ale jeszcze wżarł mi się bransoletką w rękę, gdy spałem w niewygodnej pozycji. Zdjąłem go z ręki, włożyłem do kieszeni i zapaliłem papierosa. Ale miał obrzydliwy smak. Wyrzuciłem go, włączyłem silnik i tyłem wyjechałem na ciemną drogę. Jechałem bardzo ostrożnie. Jeśli Melissa rzeczywiście czeka na mnie w domku, na pewno woli, bym się spóźnił, ale dojechał bez szwanku.

Było już jasno, gdy znalazłem się w Lenton. Przez niemal puste miasteczko dojechałem do morza i skręciłem w uliczkę prowadzącą do naszego domku. Otacza go kamienista plaża i tylko wąska piaszczysta ścieżka prowadzi do frontowych drzwi. Zatrzymałem wóz, wyskoczyłem, pobiegłem ścieżką, włożyłem klucz w zamek. Drzwi skrzypnęły. Powinienem je w końcu naoliwić.

- Melissa! - cicho zawołałem. - Melissa! To ja, Guy. Gdzie jesteś?

Nie było jej w saloniku. Idąc do sypialni, kopnąłem coś na podłodze. Schyliłem się. Na podłodze leżała para rękawiczek - starych, używanych do pracy w ogrodzie, zwykle trzymałem je na półce przy drzwiach do kuchni. Wyprostowałem się i zauważyłem, że drzwi są otwarte i że pali się słaba żarówka.

Wszedłem do kuchni i natychmiast tego pożałowałem - z całą daremną mocą, na jaką zdobywamy się w takich momentach, gdy rozpaczliwie prosimy Boga, aby pozwolił nam cofnąć czas. Ale było już za późno. Dziewczyna, siedząca w starym wiklinowym fotelu, nie żyła, a ja wpatrywałem się w nią, zamiast leżeć bezpiecznie otulony w łóżku w londyńskim mieszkaniu. Nie można było cofnąć czasu.

Prócz rękawiczek niczego nie tknąłem. Po prostu siedziałem na wytartej kanapie w saloniku tak, aby nie widzieć trupa w kuchni. Jak przez mgłę dobiegł mnie szum fal toczących się po kamyczkach plaży. Nie pozostało mi nic innego, jak czekać na miejscową policję, którą wezwałem telefonicznie.

Sierżant policji, który przyjechał w końcu z całą ekipą, nie był ani głupszy, ani bystrzejszy, niż bywają jego koledzy. Wydawało mi się, że jego głównym zmartwieniem było nie zrobić nic, za co by potem go rugali. Nie pozwolił mi zadzwonić do inspektora Camerona i przez cały ten ranek, ciągnący się w nieskończoność, ani na chwilę nie spuścił mnie z oka.

Powiedziałem po raz czwarty:

- Panie sierżancie, dlaczego nie chce pan dopuścić do głowy myśli, że inspektor Cameron jest jedynym człowiekiem, który mógłby zrozumieć tę straszną sytuację?

- Sam, proszę pana, robię, co mogę, aby coś zrozumieć. Chciałbym jeszcze raz wrócić do paru szczegółów. A więc przyznaje pan, że znał tę młodą kobietę?

- Tak, już panu mówiłem.

- I była to pańska przyjaciółka?

- Mary Antrobus nie była moją przyjaciółką - odpowiedziałem podniesionym głosem. - Spotkałem ją jeden jedyny raz w życiu. Czy to jest jasne?

- No tak, mówił mi pan, ale może odłożymy tę sprawę i najpierw przeprowadzimy zwykłe w takim przypadku dochodzenie. Może zaczniemy od tego, jak pan tłumaczy fakt, że na wysypanej piaskiem ścieżce prowadzącej do frontowych drzwi są ślady pańskich stóp?

Aż jęknąłem z irytacji.

- Bo tamtędy szedłem do domu, oczywiście. Nie powie pan chyba, że są tam tylko moje ślady.

- Niestety, tylko pańskie.

- A pan i całe to towarzystwo, lekarz, fotograf i tak dalej? Wlecieliście przez okno?

- Byliśmy na tyle ostrożni, że podeszliśmy po kamyczkach.

Muszę przyznać, że był niezmiernie grzeczny. I jaki pilny

pracownik! Nabrałem głęboko powietrza i jak mogłem, starałem się być przekonywający i rozsądny.

- W takim razie, panie sierżancie, morderca też na pewno wybrał tę samą drogę. To jasne, prawda?

Sierżant Heston zmarszczył brwi i rozważył moją sugestię. Chyba nie był całkiem przekonany, ale przeszedł na pewniejszy grunt.

- Powiedział pan, że przyjechał w nocy, bo dzwoniła pańska żona i chciała się tutaj z panem spotkać?

- Tak.

- A przecież pańska żona nie żyje. Znaleziono ją uduszoną w Regents Park, prawda?

- Wiem, że tak podobno było, ale...

- Jeżeli nie żyje, jak mogła telefonować?

- Proszę pana, już wszystko panu powiedziałem i nie będę odpowiadał na żadne pytania, póki pan nie pójdzie po rozum do głowy i nie skontaktuje się z inspektorem Cameronem.

W końcu jakoś dotarło do niego, że mówię poważnie. Porozumiał się z Cameronem i choć nie pozwolił mi rozmówić się z nim, zgodził się, abym wrócił do Londynu pod dyskretną eskortą policji. Nie pozostawiono mnie tym samym na wolności. Wprawdzie nikt nie użył słowa „aresztowany”, ale moja sytuacja była jasna. Wprowadzono mnie do ponurego pokoju w Scotland Yardzie, gdzie czekał z posępną miną inspektor Cameron, który wziął mnie w krzyżowy ogień pytań. Była to najbardziej nieprzyjemna rozmowa w moim życiu.

Inspektor od razu przystąpił do rzeczy:

- Czy spodziewa się pan, że uwierzemy? Czy rzeczywiście myślał pan, że to pańska żona dzwoniła wczoraj wieczór?

- Tak. Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale naprawdę tak myślałem.

- Przecież pańska żona nie żyje. Nie mógł pan słyszeć jej głosu przez telefon.

- Ale to był jej głos... przynajmniej brzmiał tak samo! Mówię panu, to było niesamowite!

Cameron głęboko zaczerpnął powietrza. Widziałem, że stara się pohamować irytację.

- Proszę pana, będę wobec pana całkiem szczerzy. Otrzymałem meldunek z Elvingdale. Zostało ustalone, że był pan tam nie dalej jak wczoraj i dopytywał się o dziewczynę, która tej nocy została uduszona w pańskim domu, Mary Antrobus. Rozmawiał pan z jej bratem u miejscowego fryzjera, a także wziął na spytki dozorcę parkingu, niejakiego Stocktona.

- Chwileczkę, to niezupełnie tak było. - Zaprzecza pan, że rozmawiał z nimi?

- Nie, ale pan źle to rozumie. Nie szukałem Mary Antrobus. Tylko Petera Antrobusa. Niech pan pozwoli, że opowiem wszystko od początku. Parę dni temu odwiedził mnie Don Page. Przywiózł kasetkę...

Powiedziałem, co było w kasetce, a także o liście, który nareszcie otworzył mi oczy na Melissę.

- A więc z tego listu rzeczywiście wynikało, że Melissa miała romans z niejakim Peterem Antrobusem, i że był to powód kłótni między panem a żoną? - spytał inspektor.

- Tak jest.

- To znaczy, że doktor Swanson ma jednak rację. Podejrzewał pan żonę o to, że pana zdradza?

- Nie, wcale nie. Mówię tylko panu, co było w tym liście. Nigdy nie słyszałem o żadnym Antrobusie i dopiero z listu się o nim dowiedziałem.

- Rozumiem. Co się stało potem?

- Ktoś włamał się do mojego mieszkania, właściwie nie było to włamanie, musiał mieć klucz, i zostawił kartkę wkręconą w maszynę.

- Wyjąłem z portfela tę kartkę i pokazałem ją Cameronowi. - Te słowa zostały napisane na mojej maszynie, czcionki są te same.

Inspektor dokładnie oglądał kartkę, a ja mówiłem dalej. Opowiedziałem, jaka była moja reakcja na treść kartki i jak pojechałem do Elvingdale, by poszukać tam Petera Antrobusa.

Wysłuchał mnie w milczeniu, potem zapytał: - I nie domyśla się pan, kto mógł mieć klucz do pańskiego mieszkania?

- Nie mam pojęcia. Sądzę jednak, że była to kobieta. Znalazłem koronkową chusteczkę koło okna za zasłonami,

lekką naperfumowaną. Pewnie ta kobieta ukryła się za zasłonami. Nie jestem pewny, ale zdaje mi się, że dostrzegłem jakąś blondynkę, która podbiegła wtedy na ulicy do samochodu i odjechała.

- Rozumiem. Czy ma pan tę chusteczkę?

- Tak, mam w kieszeni.

Podąłem mu chusteczkę przez biurko i milczałem, kiedy ją oglądał. W końcu mruknął coś do siebie i odłożył chusteczkę na bok.

- Jak zobaczyłem wyszytą na niej literę M, pomyślałem...

- Tak, wyobrażam sobie, co pan pomyślał.

Inspektor zapalił papierosa, mnie nie poczęstował. Gdy wypuścił kłęb dymu i zadał mi pytanie, jego spojrzenie nie było życzliwe.

- Pan rzeczywiście powiedział nam całą prawdę o swej wizycie w Elvingdale?

- Na pewno.

- Nie pojechał pan tam, aby zobaczyć się z Mary Antrobus?

- Nie.

- I nie umówił się pan z nią na spotkanie później, w pańskim domku w Lenton?

- Nie, przysięgam.

- A czy w Elvingdale, oprócz Mary Antrobus i jej brata, spotkał pan jeszcze kogoś?

Zawahałem się, po czym powiedziałem:

- Zaraz, zaraz! Byłbym zapomniiał. Powiem panu, na kogo tam wpadłem, na sekretarkę doktora Swansona, Joyce Dean. Po raz pierwszy spotkałem ją, gdy wychodziła ze sklepu, a po wyjściu od fryzjera Duncana dosłownie zderzyłem się z nią na ulicy.

Krzaczaste brwi inspektora najeżyły się z wyraźnym zainteresowaniem. - I nie wie pan, co ona tam robiła?

- Powiedziała, że przyjechała odwiedzić matkę, mieszkającą w Elvingdale. Potem dowiedziałem się od Mary Antrobus, że Joyce Dean pracowała kiedyś w miejscowym szpitalu.

- Była sama?

- Nie, z szoferem doktora Swansona. Ponury typ, moim zdaniem. Wyglądało na to, że doktor oddał jej do dyspozycji

samochód na cały dzień.

Jeżeli miałem nadzieję, że mój ton i dobór słów sprawią, iż Cameron dobrze się zastanowi nad stosunkami łączącymi doktora Swansona z elegancką sekretarką, to się zawiodłem.

Inspektor nie wypowiedział się na ten temat, tylko zgasił papierosa i wstał.

- Gdzie jest ten list, w którym pańska żona pisała o sobie i Peterze Antrobusie?

- W kasetce, u mnie w domu.

- Dobrze. Chciałbym go zobaczyć. Pojedziemy?

W drodze do mnie nie odezwaliśmy się ani słowem. Miałem nadzieję, że list będzie jeszcze w kasetce, w której go schowałem. Po moich ostatnich doświadczeniach byłem przygotowany na dalsze przykre niespodzianki.

Nie miałem racji. List był w kasetce. Westchnąłem z ulgą i nie otwarty list podałem Cameronowi. Podszedł do kominka i przeczytał. Obserwowałem jego twarz. Zasepiło ją niewątpliwe zmieszanie. Spojrzał w moją stronę (siedziałem na kanapie) i spytał:

- Jest pan pewny, że to ten sam list? - Oczywiście. Czy coś się nie zgadza?

Podszedł i podał mi list. Zrazu nie spostrzegłem, co jest nie w porządku. Ale przeczytałem po raz drugi i zrozumiałem. Z jednym małym wyjątkiem był to ten sam list, który pokazałem Donowi. Był niewątpliwie napisany ręką Melissy, ale jedna ważna rzecz została opuszczona. Nie było żadnego nazwiska. List brzmiał tak:

„Drogi Guyu!

Przepraszam za awanturę. Zawsze miałam nadzieję, że nigdy nie dowiesz się, co było tamtej nocy. Chciałam oszczędzić ci tego, kochanie. Nawet teraz nie wiem, co nasunęło ci podejrzenia. W każdym razie, proszę cię, wybac mi, że przeze mnie byłeś tak nieszczęśliwy. Melissa”.

- Nie widzę tu żadnej wzmianki o Peterze Antrobusie - stanowczym tonem stwierdził inspektor.

- Ale była! Przysięgam!
- Czy to ten sam list, proszę pana?
- No tak, wygląda na ten sam... a jednak nie może być!
- Trudno uwierzyć, aby były dwa listy.

Potrząsnąłem głową, ogarnęło mnie osłupienie. Nic rozsądnego nie mogłem powiedzieć.

- Czy pan Page widział ten list? Skinąłem głową.
- Wobec tego muszę z nim pomówić.

Wziął płaszcz i kapelusz, skierował się do drzwi. Wychodząc, odwrócił się i spytał bardzo oschle:

- Spodziewam się, że nie ma pan zamiaru wyjechać. W ciągu najbliższych dwóch dni zostanie pan w Londynie, prawda?

Skinąłem głową, milcząc jak zakłęty. Wróciłem myślą do ponurego pokoju w Scotland Yardzie - właściwie byłem więźniem w areszcie domowym.

Przez całe popołudnie odsypiałem ostatnią noc. Obudził mnie natarczywy dzwonek do drzwi. Już zapadł zmrok. Zirytowany, włożyłem szlafrok i poszedłem otworzyć.

Był to Don Page w nieodstępnym dobrze wyprasowanym smokingu. Zapytałem w duchu, kiedy on ma czas na wyścigi samochodowe.

- Guy, chciałbym z tobą pogadać. Można wejść?

Był w ponurym nastroju, co mu się rzadko zdarzało. Przynajmniej pod tym względem nie było dziś między nami różnicy.

- Co ci dolega, Don? - spytałem, gdy weszliśmy do salonu.
- Guy, po kiego diabła powiedziałaś Cameronowi o kasetce?
- A dlaczego miałbym nie mówić? Czy to jest tajemnica stanu?
- No nie, ale... czy musiałaś wplątać mnie w tę sprawę? Po coś mówił Cameronowi, że Melissa prosiła mnie o przechowanie kasetki?

- Powiedziałem, bo uważałem, że to jest prawda. Należę do staroświeckich facetów, którzy są zdania, że łatwiej jest mówić prawdę.

- Tak, stary, ale nie musiałaś tego wszystkiego mówić akurat Cameronowi! Teraz ten cymbał wbił sobie w głowę, że Melissa ze mną... no, że łączyły nas bardzo zażyłe stosunki.

- A nie łączyły?

- No, tak, ale wiesz, o co mi chodzi... Cameron zbyt wielkie znaczenie przypisuje naszej niewinnej przyjaźni. Najwidoczniej skłonny jest przypuszczać, że ja wiedziałem wszystko o Melissie.

- Nie ma chyba takiego, co by o niej wszystko wiedział. Na pewno ani ty, ani ja nie wiemy.

- Spróbuj powiedzieć to Cameronowi!

Wzruszyłem ramionami. Naprawdę nie pojmowałem, dlaczego się tak przejmuję.

- Musiałem powiedzieć mu o tym pudełku, czy ty tego nie rozumiesz?

- Tak, ale nie musiałeś mówić, że ja ci je przyniosłem. Mogłeś po prostu powiedzieć, że zostało po Melissie.

Don już mnie trochę irytował. Myślał tylko o własnej skórze, swej zakichanej zawodowej renomie i tym podobnych rzeczach. A tymczasem ja byłem naprawdę w opałach.

- Don, ty chyba nie bardzo zdajesz sobie sprawę z sytuacji. Niejaka Mary Antrobus została zamordowana.

- Wiem o tym doskonale, mój stary. Dziś po południu był u mnie Cameron. Razem wzięwszy jest to paskudna sprawa. Inspektor nie chciał mi za wiele powiedzieć. Był, zdaje się, znacznie bardziej zainteresowany listem, który mi czytałeś.

Byłbym puścił tę uwagę mimo uszu, gdyby nie zabrzmiał dzwonek ostrzegawczy. Ja mu czytałem?

- Don, powiedziałeś mu naturalnie, że widziałeś ten list? Że był w kasetce Melissy?

Don miał minę nieco speszoną. Zawzięcie poprawiał muszkę.

- Widzisz, prawdę mówiąc, mój stary, ja tego listu nie widziałem! Tylko ty mi go przeczytałeś...

- Ale doskonale wiesz, co w nim było! Nie możesz przypuścić, że zmyśliłem wzmiankę o tym Peterze Antrobusie.

- Słuchaj, zrozum mnie, jestem najdalszy od tego, by ci nie wierzyć. Chodzi jednak o to, że inspektor stawiał mi konkretne pytania i musiałem odpowiadać zgodnie z sumieniem. Zapytał, czy naprawdę widziałem ten list, no i... nie miałem innego wyjścia, musiałem powiedzieć, że nie. Zapewniłem go, że

jestem na sto procent pewny, że przeczytałeś mi to, co tam było napisane, ale jak spytał, czy pokazałeś mi list, musiałem przyznać, że nie.

- A to ładna historia! - powiedziałem z goryczą. - Tylko tego brakowało! Jeszcze paru takich życzliwych i uczynnych przyjaciół jak ty, i założą mi strzykawkę na szyję, nie tylko za morderstwo żony, ale i Mary Antrobus.

- Boże drogi, to sprawa jest aż tak poważna?

- A jakże! Postaw się w mojej sytuacji, jeśli potrafisz. Jadę do Elvingdale, gdzie nigdy przedtem nie byłem. Robię to pod wpływem listu wkręconego w moją maszynę do pisania i listu Melissy. Szukam mężczyzny a znajduję chłopca, który nazywa się Peter Antrobus. Zawieram znajomość z Mary, jego siostrą. Krótco potem znaleziono ją uduszoną w moim domku, jakieś dwadzieścia mil od Elvingdale. Osobą, która pierwsza odkrywa zwłoki, jest nie kto inny, tylko niżej podpisany. Piękna historia, co? Nie zapominaj, bo Cameron na pewno o tym pamięta, że uganiam się po całym hrabstwie Kent, poszukując tego, który podobno był kochankiem mojej żony, chociaż przed paru dniami zapewniałem, że nigdy nie wątpilem o jej wierności!

- No to rzeczywiście, stary, wpadłeś.

Przyjrzałem się Donowi. Czy była nuta ironii w tych słowach, czy jego współczucie było szczere? Trudno powiedzieć. Z jego przystojnej, ale niezbyt męskiej twarzy czasem nic nie można było odczytać.

Spojrzał na zegarek.

- O Boże, spóźnię się na randkę! Guy, bracie, nie gniewaj się, że się wpakowałem do ciebie i narobiłem hałasu. Ten typek Cameron wyprowadził mnie z równowagi. Moja przyjaźń z Melissą...

Zadzwoił telefon i już nie usłyszałem, co Don miał do powiedzenia na ten ciekawy temat.

- Podnieś, bracie, słuchawkę. O mnie się nie martw, sam trafię do drzwi...

Gdy drzwi się za nim zamknęły, podniosłem słuchawkę. Dzwoniła Paula: - Siemasz, Guy, jakby powiedział mój nieobliczalny mąż. Co robisz dziś wieczór, koteczku?

Odczekałem chwilkę, by się dowiedzieć, o co jej chodzi. Jak już mówiłem, bardzo lubię Paulę, ale nie byłem akurat w towarzyskim nastroju. Powiedziała, że jest słomianą wdową i nie miałyby nic przeciw temu, gdybym ją zaprosił na kolację. Jak się okazało, Felix wyjechał do Szkocji w sprawach handlowych. Wiedziałem, że Paula ma najlepsze intencje, ale nie życzyłem sobie, by mi zawracano głowę lub mnie rozpieszczano. Powiedziałem jej to możliwie jak najdelikatniej, pocmokała językiem, co miało znaczyć, że mnie dobrze rozumie. Spytałem, na jak długo Felix wyjechał.

- Ma przylecieć jutro. To jeden z jego genialnych pomysłów. Skończy się, jak zwykle, na tym, że grubo do tego dopłacę.

Roześmiałem się. Zgodziłem się kiedyś z Melissą, że Felix miał cholerne szczęście, żeniąc się z Paulą, która jest jego moralną, a także finansową ostoją.

- Cóż to jest tym razem, Paula? Otwiera dyskotekę na środku Sahary czy znalazł uran na wyspie Skye?

- Nie, jakiś kretyn namawia go, żeby otworzył w Edynburgu antykwariat z myślą o Amerykanach.

- Felix - antykwariat?

- Tak, genialny pomysł, prawda? Jedyńm antykiem, jaki ma mój mąż, jestem ja, tylko że on nie wie nawet, ile mam lat.

Nie powstrzymałem się od śmiechu.

- Jak to dobrze słyszeć twój śmiech - powiedziała Paula. - Od lat się nie śmiałeś. Słuchaj, kochanie, wracając do Felixa, żebyś przypadkiem nie dał się zbajerować i nie pożyczył mu pieniędzy!

- Nie pleć głupstw, Paula - odparłem. - Nikomu nie pożyczę, bo jestem golec.

- To wiadomo, koteczku, ale będziesz miał forszę, jak sprawy majątkowe Melissy zostaną uregulowane. Dlatego posłuchaj, co ci mówię: nie waz się pożyczyć temu niedoładze ani funta.

- Zrobię, co zechcesz.

- Grzeczny chłopiec z ciebie. Tylko uważaj na siebie i dobrze się odżywiaj, przyrzekasz? Zadzwoń, jak wróci Felix. Pa!

- Dziękuję za pamięć, Paula. Jesteś naprawdę środkiem uspokajającym.

Oboje odłożyliśmy słuchawki. Pomyślałem o jedzeniu. Mogłem nie mieć ochoty na towarzyskie zawracanie głowy, ale to jeszcze nie powód, by zaniedbywać zdrowie. Zastanawiałem się przez chwilę, czy wyjść na dobrą kolację, czy przyrządzić sobie jakiś prosty posiłek w domu. Przypomniałem sobie fotografię w gazetach i pomyślałem o nieprzyjemnej możliwości, że zostanę rozpoznany w miejscu publicznym, wobec czego postanowiłem zjeść w domu.

Zręcznie podrzucałem i płukałem w sitku spaghetti, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Z sitkiem w ręce poszedłem otworzyć. Znalazłem się na wprost potężnej klatki piersiowej i bardzo brzydkiej twarzy wykrzywionej ze złości.

Nieznajomy krzyknął: - Masz, bydlaku!

I pięścią jak młot kowalski zamierzył się w moją szczękę. Chciałem zrobić unik, ale pięść trafiła mnie obok skroni i jak długi runąłem plecami na dywanik.

Rozdział ósmy

Właśnie chciałem otrząsnąć się z oszołomienia i jakoś wstać, gdy ciężka stopa przydeptała mi ramię. Wybałuszyłem oczy na lufę potężnego wojskowego rewolweru wycelowanego z góry prosto w moją głowę.

- Ty świnió! - chrapliwym głosem rzucił nieznajomy.

- Kim pan jest, u licha ciężkiego?! - spytałem przez ściśnięte gardło.

- Nie możesz się domyślić, panie Foster?

- Nie, za cholere! Nigdy w życiu pana nie widziałem!

- Za to często widywał pan moją córkę, panie Guy Foster, co? Nazywam się Antrobus, ty morderco, ty świnió!

Zupełnie osłupiałem. Nieproszony gość pewnie wziął moje milczenie za dowód winy.

- Co pan ma teraz do powiedzenia na swoją obronę, panie Foster? Kto jest następny na pańskiej liście? Najpierw żona, potem Mary...

Odzyskałem głos: - Niech się pan zamknie i posłucha!

Pańskiej córki nawet palcem nie tknąłem, Bóg mi świadkiem. Widziałem ją tylko dwa razy, wczoraj w Elvingdale i dziś wczesnym rankiem...

- Tego nie potrzebuje mi pan mówić.

- Aleja tego nie zrobiłem, ty idioto! - podniosłem się i cofnąłem. Antrobus dalej groził mi rewolwerem.

- Proszę nie wymyślać mi od idiotów! - warknął. - To, że pan pisze różne historie, a ja zarabiam na chleb ciężką pracą, jeszcze pana nie uprawnia do traktowania mnie z góry. Nie jestem gorszy od pana, panie Foster, nie mówiąc o tym, że ja nie uwodzę i nie duszę biednych, niewinnych dziewcząt.

- Ja też nie! - krzyknąłem.

- W takim razie, co Mary robiła dziś w nocy w pańskim domu?

- A skąd, u diabła, mam wiedzieć? Ja jej tam nie zaprosiłem!

- Nie? To po co szpiclował pan wczoraj rano w naszym miasteczku i wypytywał o moją rodzinę? Stary Herb Stockton jest moim kumplem i wszystko mi o panu opowiedział.

- Niech pan posłucha, na miłość boską! Ktoś mnie zawiadomił, że moja żona miała romans z mężczyzną, który nazywa się Peter Antrobus i mieszka w Elvingdale, i że mogę tego Antrobusa spotkać w zakładzie fryzjerskim Duncana. Pańską córkę zobaczyłem po raz pierwszy w życiu, jak przyszła po brata do fryzjera...

- To brzmi prawdopodobnie, muszę przyznać.

- To brzmi całkiem nieprawdopodobnie, ale jest prawdą! - Pan kłamie.

Rozpaczliwie wysiłałem głowę, jak by go przekonać. Był to rosły mężczyzna, o rękach czarnych i stwardniałych od pracy, paznokcie miał popękane i brudne. Wiedziałem, że fizycznie nie dam mu rady, musiałem go przekonać. Cofnąłem się i spojrzałem mu w oczy.

- Niech pan posłucha. Gdybym zamordował pańską córkę, czy wezwałbym policję? Dlaczego nie wsiadłem do samochodu i nie zwiąłem stamtąd? Dlaczego zostawiłem rękawiczki na widocznym miejscu? Jak pan wie, istnieje podejrzenie, że w tych rękawiczkach ją uduszono. I dlaczego nie podszedłem do domu po kamykach, jak to zapewne zrobił prawdziwy

morderca?

George Antrobus wolno opuścił rewolwer. Jego śniada twarz pociemniała z gniewu i zakłopotania.

- Nie jestem takim mądrałą, jak pan. Nie wiem, dlaczego pan tak postąpił, ale na pewno dobrze pan to wykombinował.

Westchnąłem z irytacją.

- Na miłość boską, niech pan odłoży tę pukawkę i nadstawi ucha! A jak pan mnie wysłucha do końca, albo mi pan uwierzy i wyniesie się z mojego mieszkania, albo zrobi to, po co tutaj przyszedł, czyli, jak należy przypuszczać, rozwali mi głowę.

Przestałem zwracać uwagę na jego rewolwer, ale doznałem ulgi, gdy wetknął go do podartej i zabrudzonej smarem kieszeni marynarki. Przyrządziłem mocną whisky. Piliśmy w milczeniu. Łykał chciwie, jakby mu zupełnie wyschło w gardle. Ja też.

Uporządkowałem myśli i odezwałem się:

- Proszę pana, jestem pewny, że zdaniem policji pańską córkę zamordował ten sam mężczyzna, który zamordował moją żonę. I zgadzam się z policją. Czytałem gdzieś, że na ogół mordercy trzymają się jednego sposobu, to znaczy, że jak ktoś zacznie truć starsze panie, to nie przerzuca się na zabijanie nożem młodych chłopców ani dyrektorów spółek - pozostaje przy truciu starszych pań.

Antrobus zmarszczył brwi.

- Chce pan powiedzieć, że pańska żona i Mary zostały uduśzone?

- Właśnie. Zmarły tą samą straszną śmiercią. Co więcej, obie były młodymi, pięknymi kobietami, nie dzieliła ich zbyt wielka różnica wieku. Płeć, grupa wieku i sposób zamordowania są te same w obu przypadkach. Morderca nie ufa broni palnej, truciznie, nożowi. Wierzy tylko w siłę własnych gołych rąk. Jeżeli zabije jeszcze raz, gotów jestem przysiąc, że posłuży się własnymi rękami, a ofiarą będzie jeszcze jedna piękna młoda kobieta.

Widać było, że mój pogląd go zainteresował.

- Czy powiedział pan to policji? - zapytał.

- Byłoby nietaktem wobec inspektora Camerona uczyć taką

starą kwokę, jak ma znosić jajka. Policja wie znacznie więcej niż ja. Wątpię, czyby chcieli mnie słuchać, tym bardziej że jestem podejrzanym numer jeden o popełnienie obu morderstw.

Antrobus pomrukiwał, jednak się nie odezwał. Napełniłem mu szklankę i mówiłem dalej:

- Proszę pana, czy nie zechciałby pan pomóc mi w moim prywatnym dochodzeniu? Miałby pan oko na mnie, a przy tym może byśmy do czegoś doszli. Łączy nas podobny cel: pan chce znaleźć tego, co udusił pańską córkę, a ja tego, co udusił moją żonę.

Pomyślał chwilę, po czym zapytał: - Co miałbym robić?

- Proszę sporządzić dokładną listę znajomych pańskiej córki, a zwłaszcza młodych mężczyzn. Bardzo obszerną listę, nie tylko przyjaciół, ale i osób, które znała, choćby przelotnie, a nawet tych, o których tylko mówiła.

Antrobus z niepewną miną pocierał chropowatą ręką głowę pokrytą gęstymi, czarnymi włosami.

- Może bym spróbował. Ale miała wielu znajomych, bo była ładna. Przeważnie nic o nich nie wiem i pojęcia nie mam, jak wyglądają.

Zaryzykowałem strzał na ślepo. - A może pan wie, czy przyjaźniła się z niejakim Donem Page'em?

- Tym rajdowcem? - spytał zdziwiony.

- Właśnie.

- Nie, chyba nie. O ile wiem, to w ogóle go nie znała. Na biurku w kantorze miała jego fotografię i wiem, że była jego wielbicielką, ale tak samo jak innych rajdowców. Stirlinga Mossa, Jima Clarka, Brabhama... Czy z Donem Page'em łączyło ją coś więcej, tego naprawdę nie mogę powiedzieć.

Zastanawiałem się nad odpowiedzią Antrobusa. Czy to już wyłączyło Dona? A może słuszniej było przyjąć, że George Antrobus, jak większość dzisiejszych rodziców, miał słaby kontakt z własnymi dziećmi i nic właściwie nie wiedział o ich życiu osobistym?

Spróbowałem z innej strony: - Czy pańska córka wspominała kiedyś o doktorze Swansonie? Doktorze Normanie Swansonie z

Wim-pole Street, neurologu?

Potrząsnął głową.

Spróbowałem jeszcze inaczej: -A o jego sekretarce, Joyce Dean? Wysoka, przystojna blondynka...

To mu coś mówiło.

- Chyba słyszałem to nazwisko. Czy nie pracowała jakiś czas w naszym szpitalu?

- Właśnie.

- Maryją znała, ale chyba się nie przyjaźniły.

- Chciałbym jeszcze spytać pana o dwie osoby. Paula i Felix Hepburnowie.

Miał niewyraźną minę. Powtórzyłem imiona i nazwisko. Wolno potrząsnął wielką głową.

- Nie. Nie znam... chwileczkę, Felix?

- Tak, Felix Hepburn.

- Nie słyszałem o żadnym Hepburnie, ale Mary na pewno znała gościa, któremu na imię było Felix. Jakiś tydzień temu wszedłem do kantoru. Mary telefonowała. Szybko skończyła, ale zdążyłem usłyszeć: „Dobrze, Felix, niech będzie dwudziesty czwarty”. Powiedziała coś w tym rodzaju.

- Jaki dwudziesty czwarty?

- Nie wiem. Może to była data.

- Ale nie ma pan pojęcia, z kim rozmawiała?

- Nie mam. Kto to jest ten pański Felix? Co on robi?

- W średnim wieku, sympatyczny, nieporadny, żonaty, ma własną firmę - biuro porad finansowych.

- Wątpię, żeby był w guście Mary. Lubiała młodych mężczyzn, z fantazją, przystojnych. Co właściwie robi taki doradca finansowy?

- Udziela porad w sprawie lokaty kapitałów. Potrząsnął głową z powątpiewaniem.

A niedługo później ten George Antrobus wyszedł. Odprowadziłem go wzrokiem z mieszanymi uczuciami. Skroń jeszcze mi pulsowała po ciosie potężnej pięści, ale uważałem, że ta wizyta jakoś mi się opłaciła. Przynajmniej zyskałem sojusznika, który tak samo jak ja był zdecydowany dotrzeć do źródła swej osobistej tragedii.

Odwróciłem się od okna, poszedłem do kuchni i znów wziąłem się do przygotowania bolońskiego spaghetti a la Guy Foster. Wszystko poszło dobrze, jeśli nie liczyć drobnego wypadku z zegarkiem. Zahaczyłem bransoletką o róg kuchenki, szarpnąłem niecierpliwie, bransoletka się przerwała. Drobnostka i nie zwróciłem na to uwagi, ale postanowiłem na drugi dzień oddać bransoletkę do naprawy. Nie uważam się za ubranego, jeśli nie mam na ręce zegarka.

Odtąd sprawy nabrały przyśpieszonego tempa. Na drugi dzień rano starałem się posunąć naprzód moją powieść, gdy zadzwonił telefon. Odezwał się George Antrobus. Jako człowiek dość gruboskórny, nie tracąc czasu na przeproszenie za to, że poprzedniego wieczoru rąbnął mnie w głowę, przystąpił od razu do rzeczy i poinformował, że trafił na ślad przyjaźni córki z Felixem Hepburnem. .

- Mały Pete - wyjaśnił - myszkował dziś rano na biurku Mary i znalazł notatkę napisaną przez nią. Przeczytam ją panu: „Felix H. i M. Dziewiąta wieczór, 24-go. Pilne”.

Serce mi zamarło.

- M? Jest pan pewny, że to M?

- Tak wygląda.

- Czy jeszcze coś napisała? Gdzie ma się odbyć to spotkanie? Można się domyślić, że oni gdzieś mają się spotkać.

- Mnie się też tak zdawało. A dwudziestego czwartego jest właśnie dziś. Na tej kartce jest nagryzmołone jeszcze jedno słowo. Zdaje się „Wieża”, a obok jest rysunek, jakby Mary, rozmawiając przez telefon, rysowała na tej kartce. Tylko to, co narysowała, zupełnie nie jest podobne do wieży.

- Czy w okolicy Elvingdale jest jakiś stary zamek albo ruiny zamku? A może jakiś bar z wieżą w szyldzie?

- Chyba nie. A poza tym, jak mówiłem, to, co narysowała, nie jest wieżą.

- No więc do czego to podobne? - spytałem zniecierpliwiony jego tępotą.

- A bo ja wiem - mruknął. - Może rakietka albo parasol. Nie

wiem...

- Zaraz! - przerwałem mu. - A może gdzieś niedaleko Elvingdale jest pomnik? Na Carlston Heath, tym wrzosowisku, stoi pomnik nazywany Wieżą, jeśli mnie pamięć nie myli. Proszę pana, czy ten rysunek nie przypomina pomnika?

Po namyśle Antrobus przyznał, że może mam rację.

Spytałem, czyjego córka miała zwyczaj rysować na kartkach i robić notatki. Odpowiedział, że był to stały temat żartów w domu. Miała słabą pamięć i często coś zapisywała, żeby nie zapomnieć, zwłaszcza gdy odebrała telefon.

- Czy pan uważa, że ten Felix to jest pański znajomy, co wydaje cudze pieniądze? - spytał Antrobus.

- Myślę, że tak.

- To dlaczego pan sam go nie spyta?

- Nie mogę. Jest w tej chwili w Szkocji. Ale zaczekam, aż wróci.

- Dobra. Będę dalej szukał, a jak się czegoś dowiem, zadzwonię do pana.

- Doskonale. Na wszelki wypadek, jaki jest numer pańskiego telefonu?

- Elvingdale osiemdziesiąt cztery.

Zapisałem numer w notesie. Chciałem zobaczyć, która godzina, i przypomniałem sobie, że przerwała się bransoletka od zegarka. Postanowiłem zaraz po obiedzie oddać zegarek z bransoletką do naprawy. U zegarmistrza na Baker Street powiedziano mi, że reperacja potrwa kilka dni.

- Ależ to niemożliwe - zaprotestowałem. - Jakże mam żyć, nie wiedząc, która godzina?

- Poradzimy coś na to, proszę pana - powiedziała ekspedientka. - Pożyczymy panu zegarek. Z rezerwy, jaką trzymamy właśnie w tym celu.

Uśmiechnąłem się, jak mi pokazała ciężką „cebule” z łańcuchem. Gdy ją włożyłem do kieszeni kamizelki, czułem się jak burmistrz. Żał mi tylko było, że zamszowa marynarka zakryła ten łańcuch wyglądający niczym insygnium władzy ojca miasta.

Miałem dużo czasu do zabicia przed spotkaniem, jakie sam

sobie wyznaczyłem o dziewiątej wieczór przy pomniku ku czci poległych, wzniesionym po ostatniej wojnie na Wrzosowisku koło Carlston. Wiedząc, że nie zdołam skoncentrować się na mojej powieści, spędziłem parę godzin w kinie. Około wpół do siódmej wyszedłem, wsiadłem do samochodu i pojechałem bez pośpiechu.

Wrzosowisko tym razem nie jest tylko pustą nazwą miejsca, jak tyle innych, które postęp pozbawił treści. Rzeczywiście istnieje tam dotąd wrzosowisko. Jest to odludne miejsce, ponure, bagniste, pokryte gęstym wrzosem, ze szczybiącymi linię horyzontu pniami drzew powalonych przez wiatr. Wrzosy porastają też pagórek widoczny z daleka. Na tym pagórku patriotyczni mieszkańcy Carlston wzniesli pomnik ku czci poległych na wojnie, dziwny pomnik, przypominający raketę kosmiczną skrzyżowaną ze średniowieczną wieżą. Pomnik otoczono niskim kamiennym murem. Aby dojść tam, trzeba z drogi biegnącej przez wrzosowisko skręcić na wąską ścieżkę.

Na moim gigantycznym zegarku było wpół do dziewiątej. Miałem przed sobą pół godziny czekania. Zaparkowałem samochód tak, aby mieć na oku pomnik, który był dostatecznie widoczny mimo zapadającego mroku, i siedziałem cichutko. Przez jakiś czas nic nie mąciło ciszy wokół prócz wiatru i psa, który czasem daleko zaszczekał. Potem wiatr się wzmógł i zaczął zawodzić w drutach telefonicznych, co mi działało na nerwy.

Zacząłem marznąć. Nie mogłem włączyć ogrzewania przy zgaszonym silniku, a koc miałem w bagażniku. Wyjście z wozu i podniesienie klapy bagażnika wydało mi się zbyt wielką operacją. Mogłem coś przegapić albo wystraszyć kogoś, zdradzając swoją obecność, ale

w końcu postanowiłem zaryzykować. Wróciłem z kocem na miejsce za kierownicą. Teraz mogłem spokojnie czekać.

Włączyłem radio i nastawiłem cichą muzykę. Za dziesięć dziewiąta wyłączyłem radio. Zaczynałem się trochę denerwować.

Zdałem sobie sprawę, że za chwilę zrobi się całkiem ciemno. Włączyłem silnik, ustawiłem wóz prosto na pomnik. Zgasilem

silnik. Czekałem. Napięcie wzrastało we mnie wolno, jakbym miał w sobie rozciągającą się sprężynę.

Na dalekiej wieży wybiła dziewiąta. Głos dzwonów płynął nad mrocznym wrzosowiskiem, pobrzmiwając niesamowitym echem. Wyteżyłem wzrok, ale koło pomnika nic się nie ruszało. Wolno minęło piętnaście minut. Oczy zaczęły mnie piec, więc posłużyłem się starym sposobem znanym z wojny - patrzy się na obserwowaną rzecz nie wprost, tylko trochę z ukosa. To ulżyło oczom, ale nie ujrzałem ani śladu ludzkiego życia.

Za pięć wpół do jedenastej już chciałem zrezygnować, gdy jednak coś się zdarzyło. Z mroku wynurzyły się dwie postacie, tak niewyraźne, że niezbyt wierzyłem własnym oczom. Schodziły ścieżką wiodącą od niskiego muru u podstawy pomnika. Zimny dreszcz przebiegł mi po grzbiecie. Szli wolno ku mnie, trzymając się pod rękę. Przesunąłem ostrożnie lewą rękę do przycisku. Gwałtownie włączyłem światła postojowe, a potem krótkie i długie.

Wystraszona parka, pulchna dziewczyna lat około osiemnastu i wysoki, kościsty mężczyzna w mundurze kierowcy autobusu, zasłonili oczy przed oślepiającym światłem. Musiałem napędzić im strachu, bo nie mogli mnie przedtem zauważyć. Trochę się zawstydzilem. Włączyłem światła postojowe i gdy przechodzili koło mnie, skuliłem się na siedzeniu.

- Niektórzy nie mają odrobiny szacunku dla prywatnego życia innych - powiedział głośno mężczyzna, przechodząc koło mnie. Niewątpliwie chciał, żebym usłyszał.

Zrezygnowałem i wróciłem do domu.

Kiedy na drugi dzień rano zobaczyłem gazety, wydało mi się, że słyszę głos udręczonego Makbeta: „Czyliż ten pochód trwać będzie do końca świata!(W tłum. Józefa Paszkowskiego.) Czytając, słyszałem, jak echo we mnie powtarza to pytanie. Na drugiej stronie była fotografia Joyce Dean, a pod nią krzykliwy nagłówek: DUSICIEL ZNÓW NA WIDOWNI. NAPAD NA MŁODĄ PIEŁĘGNIARKĘ NA CARLSTON HEATH. Po czym dodano mniejszą czcionką: Panna Joyce Dean, sekretarka znanego lekarza, ledwie wymknęła się śmierci.

Jak w transie odwróciłem się (czytałem gazetę przed

drzwiami do mieszkania, skąd ją właśnie zabrałem), wszedłem do hallu i machinalnie pchnąłem drzwi. Ale się nie zamknęły. Zatrzymała je wielka stopa inspektora Camerona.

Z wyszukaną uprzejmością zapytał:

- Pozwoli pan, że wejdę?

Z szeroko otwartymi ustami, wpatrując się w niego, wskazałem omdlałym gestem na gazetę, którą trzymałem w ręce.

- Właśnie... właśnie czytałem o tym... Kiedy to się stało? O której godzinie?

- Czy to ważne? - z rozwagą spytał Cameron.

- Dla mnie tak. Niezmiernie ważne.

- A dlaczego?

- Bo... - zahałem się. Czy koniecznie chciałem nadstawić karku? Postanowiłem grać na zwłokę. - Czy doznała poważnych obrażeń?

- Joyce Dean? Doznała poważnego wstrząsu. Jakiś mężczyzna chciał ją udusić, ale na szczęście w czasie walki pośliznął się i ona zdołała uciec.

- Cóż ona, u licha, robiła na Carlson Heath? Tam jest okropnie.

- Rzeczywiście?

Lekką ironię w jego głosie puściłem mimo uszu. Nie bardzo wiedziałem, jak to rozegrać.

- Jeszcze nie wiemy, dlaczego była na Carlston Heath, bo nie czuje się na tyle dobrze, by nam wszystko opowiedzieć. Doktor Swanson też nic nie może wyjaśnić. Zdawało mu się, że wczoraj wieczór wybierała się ze swym przyjacielem do teatru w Londynie.

- Gdzie ona jest teraz?

- W tej chwili w szpitalu koło Carlston, ale słyszałem, że doktor Swanson mają dziś rano przewieźć do Londynu.

Rozmawialiśmy przed drzwiami. Miłym, ale stanowczym tonem inspektor zapytał: - Czy moglibyśmy wejść, panie Foster?

Bąknąłem coś w rodzaju przeproszenia i wszedłem pierwszy. Gdyśmy usiedli po obu stronach biurka, byłem już

zdecydowany wyśpiewać wszystko. Prawda mogła mi zaszkodzić, ale wszelka próba jej ukrycia groziła katastrofą.

- Panie inspektorze, byłem wczoraj wieczór na Carlston Heath.

- Wiem o tym - spokojnie odparł Cameron. - Jakim cudem...

- Młoda para, która miała randkę koło pomnika, była na tyle rozsądna, że się zgłosiła, gdy dowiedziała się o usiłowanym morderstwie, i złożyła ciekawe zeznania. Młody człowiek jest pracownikiem miejscowego przedsiębiorstwa autobusowego. Podał nam dokładnie markę, model i numer samochodu, który stał zaparkowany niedaleko pomnika.

Skinałem głowę. -- Powinienem się tego spodziewać. Ale nie mam nic do ukrycia.

- A to dobrze - stwierdził Cameron. - Może więc zechce pan powiedzieć mi, po co pan późnym wieczorem pojechał do tak odludnego miejsca...

Opowiedziałem wszystko zaczynając od napaści Antrobusem na mnie. Słuchał beznamyślnie z życzliwym wyrazem twarzy starego morsa, czego dawno u niego nie widziałem. Gdy skończyłem, orzekł tylko:

- Ależ pan ma wyjątkowego pecha!

Z jego tonu nie można było odgadnąć, czy mówi z ironią, czy ze współczuciem.

- Pan pewnie nie wierzy ani w jedno słowo z tego, co powiedziałem - wybuchnąłem. - Ale z łatwością mogę udowodnić, że mówię prawdę.

- Bardzo mnie to cieszy. A jak udowodnić?

- Może to brzmi niedorzecznie, ale gdyby pan pojechał ze mną do Elvingdale, odbylibyśmy rozmowę z Georgem Antrobusem, który by wszystko potwierdził, a nawet pokazał notatkę sporządzoną przez córkę, z datą spotkania, rysunkiem i tak dalej.

Ku mojemu zdziwieniu Cameron wstał, uśmiechnął się i sięgnął po kapelusz.

- Dobrze, proszę pana. Pojedziemy. Tylko nie wiem, czy pańska pizama i szlafrok zrobią dobre wrażenie w Elvingdale...!

W drodze do Elvingdale skoncentrowałem się na prowadzeniu, a inspektor interesował się krajobrazem hrabstwa Kent. Wymieniliśmy poglądy w trzech sprawach: zgodziliśmy się, że jest piękny dzień, że nadeszła wczesna wiosna i że jeszcze może nas zaskoczyć nagła zmiana pogody.

Przejeżdżając przez Elvingdale zobaczyłem zakład fryzjerski Duncana, ale ani śladu Herba Stocktona, dozorczy parkingu. Po chwili ukazała się stacja benzynowa Antrobusa. Ku mojemu zdziwieniu inspektor poprosił, żebym zwolnił i zatrzymał się jakieś trzydzieści kroków przed stacją. Wysiadł, ale mnie dał znak, bym został za kierownicą. Trochę mnie to zbiło z tropu, lecz usłuchałem.

Szczupły, siwowłosy pracownik stacji obsługiwał motocyklistę. Nie widać było ani George'a Antrobusa, ani małego Petera. Wpatrzyłem się w kantorek, spodziewając się, że w jego drzwiach ukaże się potężna postać George'a.

Motocykl odjechał z hukiem, stary mechanik odwrócił się do nas i sądząc, że czekamy na naszą kolej, dał znak ręką, żeby podjechać.

Inspektor się nie ruszył. Nic nie rozumiałem.

- Ten stary prosi, byśmy podjechali - powiedziałem. - Na co czekamy?

Cameron spojrział na mnie z góry przez otwarte okno samochodu i podniósł brwi ze zdziwieniem.

- Stary, tak pan powiedział?

- Tak, ten w wytartym kombinezonie.

- Czy to znaczy, że nie wie pan, kto to jest?

- Pojęcia nie mam, panie inspektorze. A powinienem go znać?

- Raczej tak. To jest George Antrobus. Jedyne George Antrobus, można by dodać.

Rozdział dziewiąty

Myślałem, że Cameron zwariował.

- Niech pan nie mówi głupstw - obruszyłem się. - Antrobus

jest brunetem, muskularnym mężczyzną, lat około pięćdziesięciu. A ten ma co najmniej siedemdziesiąt.

Inspektor skinął głową.

- Ma sześćdziesiąt trzy. Postarzają go siwe włosy. Jak słyszę, jeszcze bardziej zbielały po śmierci córki. A teraz, gdyby pan zechciał mnie posłuchać, myślę, że za parę minut będę mógł pana uspokoić co do kilku rzeczy. Czy byłby pan tak dobry przejechać koło warsztatu, zatrzymać się jakieś pięćdziesiąt jardów dalej i poczekać tam na mnie? To nie potrwa długo.

Ogromnie zaintrygowany, skinąłem głową i patrzyłem, jak Cameron szedł do siwowłosego mężczyzny w wypłowiałym kombinezonie, który wciąż stał przy dystrybutorze. Uprzytomniłem sobie, że nie postąpiłem tak, jak prosił inspektor, włączyłem więc silnik i wolno przejechałem koło stacji. Tamci dwaj właśnie się witali.

- Dzień dobry, panie Antrobus.

- Aa, pan inspektor. Dzień dobry. Są jakieś wiadomości? Więcej nie usłyszałem. Zaparkowałem wóz na poboczu drogi, jakieś pięćdziesiąt jardów za stacją, i czekałem. Chciałem pozbierać myśli i ułożyć wydarzenia w jakiś logiczny ciąg, ale wszystko to było zbyt poplątane, dałem więc spokój. Nie było w tym i nie mogło być sensu, choćby Cameron na każdą okoliczność miał nie wiedzieć jak pomysłowe wyjaśnienie.

Po pięciu minutach zobaczyłem, jak inspektor wychodzi z kantorka Antrobusa, żegna się z nim i idzie do mnie.

Usadowił w fotelu pasażera swoje ciężkie cielsko.

- Właśnie dzwoniłem do Yardu. Miło mi powiadomić pana, że Joyce Dean szybko się pozbierała po wczorajszym szoku. Nawet bardzo szybko.

- To już coś jest.

- Tak, wiedziałem, że pan się ucieszy.

Spojrzelismy sobie w oczy. Jak zwykle, nie można było powiedzieć, czy w jego tonie brzmiała nuta sarkazmu, czy współczucia.

- A czy mógłby mi pan powiedzieć, jak pan się wczoraj ubrał na drogę do Carlston Heath...?

Po krótkim namyśle opisałem mu dokładnie, jak byłem

ubrany.

- A marynarka, zwykła sportowa?

- Zamszowa.

Inspektor chrząknął i spojrzał na zegarek.

- Niech to diabli, spóźnia się - powiedział. - Która godzina u pana?

Odruchowo popatrzyłem na rękę, spostrzegłem się i wyjąłem z kieszeni pożyczony mi u zegarmistrza „zegarek burmistrza”.

- Mniej więcej dziesięć po dwunastej - powiedziałem. Cameron ironicznie spojrzał na moją „cebule”.

- Nie widziałem u pana zegarka z kopertą. Zwykle nosi pan na rękę zegarek z bransoletką, prawda?

- Jest pan bardzo spostrzegawczy, panie inspektorze. Tak, zwykle noszę zegarek na rękę, ale właśnie przerwała mi się bransoletka i muszę obnosić się z tym potworkiem, zanim mi nie naprawią bransoletki.

- Kto ją naprawia?

- Och, jeden zegarmistrz na Baker Street. Nie pamiętam... zaraz, mam w portfelu kwit.

Wyjąłem portfel i podałem mu kwit. Bardzo dokładnie go oglądał. Wreszcie powiedział: - Data jest wczorajsza.

- Tak, zgadza się. Oddałem go do naprawy zaraz po obiedzie.

- To znaczy, że wczoraj wieczór w Carlston Heath nie miał pan zegarka na rękę?

- Oczywiście, nie miałem. Już panu mówiłem.

- Tak, już wszystko wiem. Dziękuję. Teraz chciałbym usłyszeć o pańskim interesującym gościu. Już mi pan o tym opowiadał, ale wtedy sądził pan, że to był George Antrobus. Teraz widzi pan tę historię w innym świetle i kolory w pańskim obrazie mogły się trochę zmienić.

Zaczerpnąłem powietrza. Cameron nagle dodał:

- Jakaś milę stąd jest bardzo miły pub. Nie wiem jak pan, ale ja chętnie bym się napił piwa. Jeśli pan pozwoli, możemy porozmawiać w tym pubie.

Naturalnie, skwapliwie się zgodziłem.

Cameron miał rację, pub był przytulny. Nie ulega wątpliwości, że po opróżnieniu kufła byłem innym człowiekiem. Trzeba przyznać, że i rozmowa z inspektorem wypadła nadspodziewanie dobrze.

- Trudno się dziwić, że temu mistyfikatorowi udało się zamydląć panu oczy - mówił inspektor. - Miał doskonałe warunki do roli, jaką grał.

- No właśnie! - zawołałem. - Gdyby wystąpił w roli dyrektora banku, mogłoby to wzbudzić podejrzenia, ale był to zwalisty chłop z brudem pod zniszczonymi paznokciami i wystrzępionymi, zatłuszczonymi kieszeniami marynarki. Co więcej, był zadziwiająco dobrze poinformowany. Wiedział na przykład o fotografii Dona na biurku i o szczerbatym staruszką, dozorca parkingu w Elvingdale.

- A, tak, stary Stockton. To był sprytny chwyt, ale nie taki trudny do rozszyfrowania.

- Słyszał też o Joyce Dean.

- Zgadza się, dobrze go przygotowano. A czy ta jego broń była nabita?

Roześmiałem się nieswojo.

- Nie zaryzykowałem sprawdzenia. Inspektor uśmiechnął się.

- Ale gdyby pan spotkał tego gościa, poznałby pan?

- Wyłuskałbym go z tłumu na meczu piłki nożnej.

- Miejmy nadzieję, że nie będzie tak źle. Co się tyczy mnie, to naturalnie, w czasie dochodzenia w sprawie morderstwa Mary Antrobus, już wcześniej poznałem jej ojca, wiedziałem więc, że coś nie gra, jak pan dziś rano mówił o śniadym mężczyźnie atletycznej budowy. Nie powiedziałem, że pana nabrano, bo chciałem zobaczyć pańską reakcję przy spotkaniu z prawdziwym Antrobusem.

- Pewnie śmiał się pan w duchu - szepnąłem zmieszany.

- A jakże. Zechce mi pan jeszcze raz powiedzieć, jaka była treść notatki, którą nasz miły kanciarz podał panu przez telefon.

Po krótkim namyśle powiedziałem:

- „Dziewiąta wieczór, dwudziestego czwartego kwietnia. Pilne. Felix H. i M.”

- Uważał pan, że chodzi o pańskiego przyjaciela Felixa Hepburna?

- Tak.

- No a M.?

Nie odpowiedziałem.

- Sądził pan, że M. na pewno oznacza Melissę? - delikatnie podpowiedział mi inspektor.

- Wiem, że to nonsens, ale tak mi się zdawało.

- Komuś zależało właśnie na tym, żeby się panu tak zdawało. Cameron chrząknął i oparł się wygodniej.

- Proszę pana, pańska żona nie żyje. Niechże pan nie ma co do tego żadnych złudzeń. Zwłoki zostały zidentyfikowane nie tylko przez pana, ale jeszcze przez kilka innych rzetelnych osób, które dobrze ją znały. Pańska żona nie żyje. Musi pan pogodzić się z tym faktem.

Mówił rozsądnie, rzecz jasna. Tonąłem w morzu złudzeń i pora było spojrzeć prawdzie w oczy.

Kiedy zacząłem mówić o łańcuchu tajemniczych incydentów, jakie mnie nawiedzały - płycie grającej „melodię Melissy” w pustym pokoju, jej głosie w telefonie, chusteczce na dywanie za zasłoną, Cameron przerwał mi delikatnie, ale stanowczo.

- Pańska żona nie żyje. Jak się pan pogodzi z tym faktem, to zacznie pan zbierać siły do walki.

- Czy pan uważa, że ja wariuję? - spytałem ochrypłym głosem.

- Nie, stanowczo nie. Ale jest możliwe, że pewne osoby by chciały, żebym tak uważał.

Podniosłem wzrok, nasze spojrzenia się spotkały. W spokojnych oczach inspektora nie było podejrzliwości. Nawet jego głos brzmiał teraz miło. Uznałem, że nadeszła chwila, by poruszyć parę zasadniczych kwestii.

- Panie inspektorze, czy pan uważa, że to ja chciałem wczoraj udusić Joyce Dean?

- Nie, nie uważam. Odetchnąłem z ulgą.

- Skąd ta pewność?

- Jest kilka powodów. Przede wszystkim panna Dean zadała sobie niemało trudu, by opisać napastnika, i wymieniła wiele szczegółów, które skierowały podejrzenie na pana, między

innymi zamszową marynarkę, ale miała pecha, a pan szczęście, że potknęła się na pańskim zegarku.

- Moim zegarku? -- wyjąłem z kieszeni pożyczoną „cebulę”.

- Nie tym. Joyce Dean upiera się, że mężczyzna, który ją dusił, miał na ręce zegarek z metalową bransoletką. Przysięga, że czuła ją, kiedy zaciskał ręce na jej szyi.

Dopiero po chwili zastanowienia zrozumiałem sens tego, co powiedział inspektor. I poczułem się swobodniejszy. Po raz pierwszy koszmarnie próby osaczenia mnie spełzły na niczym, bo były zbyt sprytnie pomyślane.

Dodało mi to otuchy, więc zapytałem:

- A co z Mary Antrobus? Uważa pan, że ją zamordowałem?

- Nie mam dowodu pańskiej niewinności, ale nie jestem przekonany co do pańskiej winy.

Była to, pomyślałem sobie, perła dwuznaczności.

- A żonę... Melisę... pańskim zdaniem ja zamordowałem?

- Nie, proszę pana, wcale tak nie uważam - odparł bez wahania.

Przynajmniej to powiedział wyraźnie. Poczułem, że wewnętrzne napięcie dręczące mnie od tygodnia zaczęło opadać.

- Mówi pan to z głębokim przekonaniem, Bogu dziękować - dodałem z ulgą. - Jak pan do tego doszedł?

- Spośród wielu drobnych szczegółów, jedna rzecz, którą pan powiedział, bardzo mi pomogła.

- Ja powiedziałem? Cóż to było?

- Wspomniał pan, że żona kupowała mnóstwo kapeluszy, ale ich nie nosiła.

Wpatrzyłem się w niego. Nic nie rozumiałem.

- I to pana przekonało, że jej nie udusiłem? Cameron wstał i dał kelnerowi znak, że chce zapłacić.

- Właśnie to - odparł. - Idziemy?

Inspektor dał się podwieźć tylko do Elvingdale, co trwało pięć minut. Stamtąd do Londynu jechałem sam. Nie bardzo wiedziałem, co on ma do roboty w tym sennym miasteczku, przypuszczałem jednak, że chodzi o Joyce Dean. Pracowała kiedyś w miejscowym szpitalu i jej matka do dziś tam mieszka,

Cameron miał więc o co zahaczyć.

Po powrocie do domu dużo myślałem o Joyce Dean. Spośród otoczonych mgłą tajemnicy osób usiłujących mnie obciążyć tylko ją mogłem wymienić po nazwisku. Naturalnie, podejrzewałem doktora Swansona, że był jej współnikiem, a może wydawał polecenia, ale Swanson jak dotąd nie zrobił fałszywego kroku. Eleganckiej pannie Dean już się to zdarzyło. Cameron wyraźnie powiedział, że chciała rzucić na mnie podejrzenie o zamach na jej życie. Rzecz jasna, nie była jedynym moim wrogiem. Był jeszcze ten, którego wynajęto do udawania Antrobusa, ale nie znałem ani jego nazwiska, ani adresu. Joyce pozostała więc osobą, na której mogłem się skoncentrować. Postanowiłem stawić jej czoła, jak tylko dowiem się od inspektora, gdzie jej szukać.

Tyle o agresywnej części moich planów. Wracając do Londynu, powiedziałem sobie, że nareszcie jestem oczyszczony z podejrzeń. Moja niewinność nie została oficjalnie stwierdzona, i w oczach prasy, społeczeństwa i przyjaciół wciąż jeszcze wisały nade mną chmury podejrzeń, niczym pył radioaktywny. Jednak w oczach Camerona byłem w porządku. A właśnie on będzie się liczył, gdy dojdzie do odkrycia kart.

Byłem w tak radosnym nastroju, że próbowałem dodzwonić się do Hepburnów, aby podzielić się dobrą nowiną. Felix jeszcze chyba był w Szkocji, ale spodziewałem się zastać w domu Paulę. Dzwoniłem bezskutecznie trzy razy. Chociaż Paula nie pracowała, niezwykle trudno było zastać ją w domu. Uprawiała bujną działalność charytatywną. Zatelefonowałem do paru znajomych z Fleet Street, a późnym popołudniem nawet do Dona. Nie miałem jednak zamiaru wygadać się przed nim, że moje sprawy przybierają pomyślny obrót. Przedtem zadzwonił do mnie inspektor Cameron i zamieniliśmy parę słów. Chciał wiedzieć, czy będę w domu koło szóstej. Powiedziałem, że tak. Zaprosił się więc do mnie, jeśli pozwolę. Pozwoliłem i na tym nasza rozmowa się skończyła. Wtedy wykręciłem numer do Dona.

- O, halo, stary - usłyszałem jego głos, nieco roztargniony.
-Dobrze, że zadzwoniłeś. Właśnie dowiedziałem się czegoś

dziwnego o Melissie. Myślę, że to powinno cię zainteresować. Chodzi o jej pieniądze. Sam już chciałem do ciebie zadzwonić.

- Czy ta wiadomość jest z poważnego źródła?
- Jak najbardziej. Od samego inspektora Camerona.
- Co ty powiesz! Był u ciebie?

Don westchnął niecierpliwie. - Nie, ale mam wrażenie, że cały dzień uganiał się za mną. Równie wszędobylskiego faceta jak żyję nie spotkałem. Zaczęło się od tego, że dziś rano omal się z nim nie zderzyłem koło szpitala w Elvingdale.

- Byłeś tam, Don? A to dziwne...
- Tak, ale nie w szpitalu, stary. Po prostu przejeżdżałem tamtędy i widziałem, jak wchodził do szpitala.
- O, a co cię tam zaniósł? - starałem się ukryć, że to mnie bardzo interesuje.

- Fotografia. Mary Antrobus, jak mi mówiłeś, miała ją na biurku. Szczerze mówiąc, stary, zaniepokoiłeś mnie. Facet w mojej sytuacji, znany publicznie i tak dalej, zmuszony rozdawać setki autografów na swoich fotografiach tłumom wielbicieli, których nie zna... krótko mówiąc, zawsze w głębi duszy bałem się, że pewnego dnia ktoś zupełnie mi nie znany dostanie w ręce taką fotkę i zrobi mi świństwo... sfałszuje mój podpis na jakimś dokumencie albo podrobi czek, lub jeszcze inaczej mnie wkopie...

- Rozumiem. Nie przyszło mi to do głowy.
- Jeszcze nie skończyłem - niecierpliwie przerwał mi Don. - Fotografii tam nie było! Widziałem się z Georgem Antrobusem. Robi wrażenie porządnego staruszka. Powiedział mi, że wszelkie zdjęcia zabrały władze w celu sprawdzenia. Zgadnij, jakie władze?

- Inspektor Cameron?
- Trafieś w dziesiątkę, stary. Czy nie można się wściec? Z powodu śmiesznej reklamy mojej osoby, policja jest skłonna podejrzewać, że miałem coś wspólnego z Mary Antrobus. Oczywiście, dobrałem się dziś po południu do skóry temu Cameronowi...

- Tak, odwiedziłeś go w Scotland Yardzie?

Don znów westchnął niecierpliwie. Zdaje się, że nerwy mu nie

dopisywały.

- Może byś jednak dał mi skończyć? Nie, nie byłem w Yardzie. Spotkałem go całkiem przypadkowo u doktora Swansona.

- Na Wimpole Street?

- A ty myślałeś, że gdzie? Nie wiem, co tam robił Cameron. Pewnie rozmawiał ze Swansonem o tobie i Melissie. Ja się umówiłem na kwartalne badanie.

- Myślałem, że dawno masz to za sobą.

- O, jestem zdrow, ale w moim zawodzie opłaca się dbać o formę. Swanson cztery razy w roku dokładnie mnie bada.

- Brakuje ci jakiejś części? - zażartowałem. - Zapycha ci się gaźnik?

Roześmiał się bez przekonania.

- Wracając do tego, co chciałem powiedzieć ci o pieniądzach Melissy: obaj sądziliśmy, że uskładała trochę forsy dzięki powodzeniu w grach hazardowych, prawda?

- Ty mi to mówiłeś - przypomniałem.

- Hm... no tak. Otóż dowiedz się, stary, że Cameron podważył tę teorię. Nie wie, jak zdobyła forszę, ale odpadło przypuszczenie, że wygrała.

- A jakim to cudem się tego dowiedział?! - krzyknąłem. Znów obleciały mnie ciarki. Czy puszka Pandory miała wydać nowe tajemnice?

- Wydaje się, że Cameron po śmierci Melissy zapędził do roboty całą sforę tajniaków. Przeczesywali wyścigi konne, domy gry, spelunki hazardu, nocne lokale, kantory bukmacherów. Pewnie pokazywali wszędzie fotografię Melissy i pytali, czy była znana jako hazardzistka. Ale nikt jej na oczy nie widział! To dziwne, prawda? Tak wybitnie przystojna kobieta na pewno niejednemu utkwiałaby w pamięci, nie?

- Tak by się zdawało, zwłaszcza jeśli wygrywała znaczne sumy.

- A teraz, jak w telewizji, pytanie finałowe: jak, u licha, zdobyła tę forszę? A była to ciężka forsa. Pamiętam, jak raz przyszła do mnie i przyniosła tysiąc siedemset funtów w banknotach dziesięciofuntowych. Całe tysiąc siedemset! Powiedziała, że wygrała na wyścigach. Nie miałem powodu, aby wątpić. Kiedy dziś po południu wspomniałem o tym

inspektorowi, zainteresował go drobny szczegół - tak mi się przynajmniej zdaje. Chciał wiedzieć, jak Melissa przyniosła taki stos banknotów.

- Wyobraź sobie, Don, że ten drobny szczegół mnie też frapuje. Jak to było?

Don zachichotał. - Taka właśnie była Melissa, skrzyżowanie fantazji i zmysłu praktycznego, plus ekscentryczne pomysły. Nawet nie próbowała włożyć tej forsy do zwykłej torebki. Posłużyła się pudłem na kapelusz.

- Pudłem na kapelusz?

- Tak, całkiem nieprzeciętny pomysł, jak się nad tym zastanowić... No, która to godzina? Mam randkę z fantastyczną blondynką. Muszę jechać na złamanie karku. Zobaczmy się pewnie niedługo. Na razie!

Odłożyłem słuchawkę i siadłem za biurkiem, by dobrze się zastanowić nad tym, co usłyszałem od Dona. Staralem się dokładnie sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach w ciągu trzyletniego pożycia z Melissa widziałem ją z pudłem na kapelusz. Zdarzyło się to wiele razy i nie mogłem wyodrębnić żadnego przypadku. Ale kiedy widziałem, jak otwierała pudło i wyjmowała z niego kapelusz? Niezbyt często. Co prawda, nie zwracałem na to uwagi.

Ta wizyta Dona w Elvingdale też wydała mi się dość dziwna. Czy rzeczywiście pojechał tam w związku ze swoją fotografią w kantorku Antrobusa? Wyglądało to na nieprzekonywający pretekst. Czyjego wyjazd do Elvingdale nie miał nic wspólnego z Joyce Dean? Zwróciłem uwagę, że chociaż prasa trąbiła o zamachu na jej życie, Don w telefonicznej rozmowie ze mną unikał jej nazwiska. Nazywałem go Don Juanem, co zresztą nie było złośliwe. Przydomek ten przypomni mi, że kiedyś chwalił się, iż w każdym hrabstwie Anglii ma dziewczynę. A może w hrabstwie Kent miał dwie? Joyce Dean i Mary Antrobus?

Rozmowa z Cameronem u doktora Swansona, bezpośrednio po powrocie z Elvingdale, wyraźnie nim wstrząsnęła. Czyżby do tego leczył się u Swansona na nerwy? Jak sam widziałem w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy i sądząc po jego sukcesach na wyścigowych torach na całym świecie, było mało

prawdopodobne, aby miał słabe nerwy. W każdym razie do śmierci Melissy. Bo teraz jakby rzeczywiście nerwy odmawiały mu posłuszeństwa.

Drgnąłem, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Za wcześnie było na Ca-merona. Spojrzałem na zegarek i zrozumiałem, dlaczego byłem tak niespokojny. Wczoraj, dokładnie o tej samej godzinie, rozgniewany dżentelmen podający się za Antrobusa wpakował się do mego mieszkania, wywijając pistoletem. Tym razem otworzyłem drzwi znacznie ostrożniej. Miałem głupią minę, gdy zobaczyłem Paulę. Zwłaszcza jak zauważyłem, że jest poturbowana i bliska płaczu.

- O Boże, Paula! Co się stało?

- Och... Guy, kochanie, o mało mnie nie przejechał samochód!

- Na miłość boską, wchodź szybko!

Była blada, ledwie trzymała się na nogach. Zaprowadziłem ją do kanapy. Włosy lepiły jej się do twarzy, jedna pończocha była podarta, spódnica u dołu zabłocona. Widziałem, że z trudem powstrzymuje się od płaczu. Była najwyraźniej bardzo wystraszona. Choć odmówiła, przyniosłem jej kieliszek koniaku. Nie pozwoliła zadzwonić po lekarza. Powtarzała, że nic jej nie jest i że zaraz wróci do siebie. Gdy się trochę uspokoiła, poprosiłem, by opowiedziała, co się stało.

- Właściwie nic takiego. Idiotyczna historia. Tylko się przestraszyłam i głupio zachowałam.

- Ale powiedz, co się stało?

- Jadąc do domu z posiedzenia komitetu, zatrzymałam się, by zrobić zakupy. Wysłałam ze sklepu i chciałam przejść na drugą stronę, gdy z wąskiej bocznej ulicy wypadł samochód prosto na mnie. Zobaczyłam go w ostatniej chwili. Jak spłoszona kotka skoczyłam na chodnik, zawadziłam o jakiś rower i upadłam. Na pewno od wielu lat nie widziano na Shepherd's Market kobiety w równie niekorzystnej pozycji.

- Co kierowca miał do powiedzenia na swoją obronę?

- Nie wiem. Nie zatrzymał się.

- Ale zapamiętałaś numer wozu?

- Nie, zniknął, zanim zdążyłam ściągnąć spódnicę na kolana. Mogę ci tylko powiedzieć, że był to niski, szybki, sportowy wóz.

- Nie było nikogo w pobliżu, żadnego świadka?
- Słuchaj, jak kobieta się rozłoży na rowerze ze spódnicą prawie na uszach, to nie w głowie jej rozglądanie się za świadkami.
- Jak powiedziałaś, gdzie to się stało?
- Nie słuchałeś, mówiłam, że na Shepherd's Market. Byłam tak okropnie zmieszana, że doskoczyłam tylko do samochodu i odjechałam. Gdy uprzytomniłam sobie, że jestem niedaleko twego domu, zaczęło mi się kręcić w głowie. Pewnie opóźniony szok. Postanowiłam skorzystać z twojej gościnności.
- Bardzo się cieszę, że wstąpiłaś do mnie, Paulo. Napij się jeszcze koniaku.
- Nie, dziękuję, koteczku. Odpocznę trochę, a potem doprowadzę się do porządku w łazience, jeśli pozwolisz.
- Naturalnie, przepraszam, że wcześniej o tym nie pomyślałem. W pięć minut potem pomogłem jej wstać.
- W porządku - powiedziała. - Utrzymam się sama na nogach - i poszła do łazienki. Zostawiła uchylone drzwi. Zawołałem:
- A Felix ciągle w Szkocji?
- Tak, ale wraca dziś wieczór. Nawiasem mówiąc, wielkie interesy nie wypaliły. Doszedł do wniosku, że antykwariat to zbyt antyczna sprawa dla niego.
- Roześmiałem się. Ktoś zadzwonił do drzwi. Paula zawołała z łazienki: - Czekasz na kogoś, Guy?
- To może być inspektor Cameron. Dzwonił pół godziny temu i zapowiedział swoją wizytę.
- O Boże! Nic nie mów o moim wypadku, bądź taki dobry. Wiesz, jaki on jest, będzie mnie trzymał tutaj parę godzin i zasypywał pytaniami. To zawodowa choroba policjantów.
- Nie ma sprawy! - zawołałem przez ramię, idąc otworzyć drzwi.
- Inspektor stał za drzwiami, przyglądając niesforny kosmyk włosów. - Dobry wieczór. Czy aby nie przeszkadzam?
- Ale skąd. Proszę.
- Nie chcę się narzucać, wiem, że ma pan gościa - powiedział ściszym głosem.
- Zdumiony, rozejrzałem się po salonie, szukając śladów

zostawionych przez Paulę. Torebkę wzięła do łazienki i poza kieliszkiem koniaku i butelką Remy Martin nie było najmniejszego śladu jej obecności.

Cameron zauważył, że się rozglądam, i pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Nie, proszę pana - powiedział - nie jestem jasnowidzem, ale przed domem widziałem wóz pani Hepburn. To jest ten nowy model volkswagena, prawda?

Podobało mi się to u Camerona. Wzrok miał bystry i był bardzo spostrzegawczy, ale wyników logicznej dedukcji nigdy nie przypisywał jakiejś fantastycznej intuicji. Jego dwie duże stopy stały twardo na ziemi.

Wyjaśniłem, że Paula przejeżdżała koło mojego domu i czując się nie najładniej, wstąpiła na chwilę.

- A, to przykre. Nic poważnego, mam nadzieję? Pamiętając, co przyrzekłem Pauli, zapewniłem, że nie ma powodu do obaw.

Cameron spojrział w stronę łazienki. Przez uchylone drzwi dobiegało pluskanie. Wyjął spod pachy skórzaną teczkę.

- Nie zabiorę panu dużo czasu. Chciałbym pokazać fotografie. Aby nie wpływać na pana, nie powiem, kogo pan ma rozpoznać. Proszę mówić tylko „tak” lub „nie” - znów spojrział w stronę łazienki -

i nie wymieniać żadnych nazwisk.

Wyjął z teczki plik zdjęć. Sami mężczyźni, przeważnie w ujęciu: głowa i ramiona, twarze na ogół zakazane. Różne typy: z wąsami, łysi, jeden zezowaty, inny z krzaczastą brodą. Inspektor podawał mi fotografie, a ja kiwałem głową i mówiłem „nie”. Wreszcie powiedziałem:

- Tak!

Zdjęcie przedstawiało mocno zbudowanego mężczyznę po pięćdziesiątce, z gęstą czarną czupryną. Twarz była o wiele lepsza niż poprzednie, a dla mnie bardzo ciekawa, bo należała do mojego gniewnego gościa, który się podał za George'a Antrobusa.

- Jest pan pewny? - spytał Cameron. Żaden z nas nie wymienił nazwiska.

- Absolutnie. Mówiłem panu, że rozpoznałbym go w tłumie na meczu piłki nożnej, gdyby zaszła potrzeba.

Inspektor chrząknął i schował fotografie do teczki. Krótco potem Paula wyszła z łazienki. Wyglądała znacznie lepiej. Powitała inspektora z daleka, mnie pokiwała ręką i zrobiła krok w stronę drzwi.

- Z przykrością słyszałem, że pani nie czuje się dobrze - zagadnął ją inspektor.

Tej uwagi nie można było zostawić bez odpowiedzi. Paula przystanęła koło drzwi i zmusiła się do wesołego uśmiechu.

- O mało mnie nie przejechali. Nic groźnego, ale w pierwszej chwili było to nieprzyjemne.

- Bardzo mi przykro. Gdzie to się stało, w Londynie?

- Co? A, tak. Guy, kochanie, muszę uciekać, bo Felix będzie się pieklił, jak nie przygotuję mu solidnej kolacji.

Zaproponowałem, że ją odwiozę, ale nie chciała o tym słyszeć. Kolory wróciły jej na policzki, wyglądała już całkiem dobrze. Pocałowała mnie w policzek i lekko zbiegła po schodach. Widziałem przez okno, jak odjeżdża żółtym volkswagenem.

Odwracając się od okna, przeprosiłem inspektora za przerwę w naszej rozmowie.

- Nic nie szkodzi - powiedział. - To było bardzo interesujące. Co się właściwie stało pani Hepburn?

Opowiedziałem. Oglądał książki na półkach, ale wiedziałem, że wszystko słyszy i zwraca uwagę na każdy istotny szczegół. Gdy skończyłem, mruknął pod nosem i wziął swą teczkę z biurka. Wyjął z niej fotografię, która tak mnie zainteresowała.

- Więc to jest ten gniewny dżentelmen, który się wcielił w postać George'a Antrobusa?

- To on. Nie mam najmniejszych wątpliwości. Wie pan coś o nim?

- Nazywa się Belham, Lance Belham, używa też wielu innych nazwisk. George Nottingham, Charles Weston... wybór jest duży, ale za każdym razem ten sam gałgan.

- Co on robi?

- To fałszerz, w każdym razie był fałszerzem, póki nie przekwalifikował się na oszusta. Umie, szelma, zdobyć zaufanie

klienta. Rok albo dwa lata temu nakryliśmy go na sprzedaży londyńskiego piętrusa łatwowiernemu Teksańczykowi. Dostał półtora roku, a Teksańczyk, niestety, musiał zrezygnować z autobusu.

- Ale po co tu przyszedł i podał się za George'a Antrobusa?

- Bo mu ktoś za to zapłacił, rzecz prosta. I to dobrze zapłacił, śmiem twierdzić.

- Dalej nic nie rozumiem. Czy zechciałby pan przetłumaczyć to na język dostępny dla prostego człowieka?

- Pewne osoby chciały koniecznie zwabić pana do Carlston Heath tak, aby pan niczego nie podejrzewał. Gdyby panna Dean została tam napadnięta, a pan mógł udowodnić, że był wtedy gdzie indziej, nie mogliby przypiąć panu usiłowania zabójstwa, prawda? Wobec czego Belham zadzwonił do pana z fałszywą wiadomością, ale na tyle prawdopodobną, że pana tam zwabił. Joyce Dean też się tam zjawiała, ale nie sądzę, by ją ktoś napadł. Jestem przekonany, że czatowała na pana, żeby zobaczyć, jak pan jest ubrany, a potem, gdy zrobiło się ciemno, sfingowała napaść na siebie. Dała policji opis napastnika w wielu szczegółach rzucający podejrzenie na pana. No i potknęła się na zegarku. Nie zbliżyła się do pana na tyle, by zobaczyć, że nie ma pan, jak zwykle, zegarka z bransoletką.

- Na pewno trzymała się z daleka ode mnie! Ale gdyby się nie przerwała bransoletka, moja sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia.

Cameron ściągnął usta.

- Wersja panny Dean nie musiałyby się utrzymać. Widzi pan, my nie wierzymy we wszystko, co nam ludzie opowiadają. Na przykład, Joyce Dean swoją obecność na Carlston Heath uzasadniła w sposób żałośnie nieudolny. Opowiadała brednie o telegramie, jaki dostała od swego przyjaciela, który nie mógł przyjść na spotkanie w teatrze, ale nie pokazała mi telegramu, a ten jej facet jest teraz w Szwecji. Inaczej mówiąc, nazmyślała, ile wlezie.

- Czy za wprowadzenie w błąd policji można pociągnąć do odpowiedzialności?

Cameron uśmiechnął się smętnie.

- Gdyby można było, to dwie trzecie ludności świata znalazłoby się za kratkami. Dość na tym, że dziś rano zostałem w Elvingdale, aby się dowiedzieć o przeszłości Joyce Dean. George Antrobus już mi mówił, że miała opinię bardzo ambitnej dziewczyny, której życie na prowincji nie wystarczało. Zarząd szpitala w Elvingdale potwierdził tę opinię, tak samo jej matka, Bogu ducha winna starsza pani. Właśnie w tym szpitalu panna Dean poznała doktora Swansona. Wedle jego wersji poszukiwał sekretarki i zaproponował jej tę posadę, ale matka była szczerą i powiedziała, że jej córka bezwstydnie leciała na Swansona. Niewątpliwie chciała strząsnąć ze stóp pył małego miasteczka i wyjechać do Londynu.

Skinąłem głową i dodałem: - - Dobrze się urządziła, lądując w Londynie jako prywatna sekretarka lekarza z Wimpole Street, nie mówiąc już o Bentleyu z szoferem na każde zawołanie.

- A jednak to jej nie wystarcza - oschłym tonem zauważył Cameron.

- Jak to?

- Rozstaje się z doktorem Swansonem i pod koniec tygodnia wyjeżdża na stałe do Nowego Jorku.

- Czyżby Swanson ją wyrzucił?

- Nie sądzę. Kiedy widziałem się z nim dziś po południu, odniosłem wrażenie, że naprawdę z żalem się z nią rozstaje. Myślę, że to panna Dean chce spróbować szczęścia na nowym terenie. Jeśli pan wie o kimś, kto szuka mieszkania w Kensington, to od soboty będzie wolny piękny apartament, chociaż czynsz jest wygórowany.

- Ile?

- Czterdzieści gwinei tygodniowo, nieumeblowany.

Powiedział to ze śmiertelną powagą, ale oczka mu się iskrzyły.

Gwizdnąłem. - Za takie pieniądze apartament musi być wspinały. Mieści się może w tych luksusowych blokach, jakie ostatnio buduje się w Kensington?

- Trafił pan. Normandy Court zbudowano niedawno. Uzyskałem potrzebną informację. Udzielono mi jej w sposób tak

dyskretny, że gdyby ktoś był przy tym, nie zauważyłby, o co

chodzi.

- Skąd, pańskim zdaniem, młoda dziewczyna czerpie środki na opłacenie tak wysokiego czynszu?

- Młode dziewczyny i ich dochody to dzisiaj skomplikowana sprawa. Weźmy, na przykład, pańską małżonkę. Spytałem pana Page'a, czy wierzy w to, że tyle pieniędzy zdobywała z hazardu, na co on...

- Wiem, mówił mi. Przed chwilą dzwonił.

- Ach, tak? Hm... no cóż, od pańskiej żony nic się już nie dowiemy i pozostaje długa, mozolna droga eliminacji. Ale Joyce Dean można jeszcze zapytać.

- Tylko trzeba się pośpieszyć. Połci ta Ameryka jest daleko.

- Otóż to, trzeba się pośpieszyć.

Rozdział dziesiąty

Cameron, dając mi carte blanche, abym się sam rozprawił z Joyce Dean, wychodził zapewne z założenia, że ona jest najslabszym ogniwem w łańcuchu, którym wciąż starano się mnie skuć. Nie byłem pewny, dlaczego wołał, abym ja, a nie on z nią się zmierzył, ale przypuszczałem, że miało to jakieś uzasadnienie i naprawdę cieszyłem się, iż będę miał okazję zrobić coś pozytywnego.

Zjawiłem się u niej na drugi dzień o dziesiątej rano.

- Pani mnie sobie przypomina? - spytałem, szybko wtykając jedną stopę w drzwi, które chciała zatrzasnąć mi przed nosem. Miała nieprzyjemną minę. Była w kwiecistym szlafroku.

- Czego pan chce? - warknęła. - Pomówić.

Pomyślała, uśmiechnęła się blado i powiedziała: -- Może zechciałby pan wyjąć nogę z drzwi?

- Żeby pani trzasnęła mi nimi w nos? Przecisnąłem się koło niej do środka.

Przybrała płaczliwy ton. - Bardzo mi to jest nie na rękę. Oczekuję gościa...

Spojrzałem- wymownie na jej szlafrok. Kwiatków było niedużo, a reszta szlafrocza była przeźroczysta. Panna Dean

niewątpliwie przygotowała się na bardzo ciepły dzień.

- Szczęściarz ten pani gość - powiedziałem z przekąsem. Obserwowałem procesy myślowe zachodzące w jej głowie. Znajdowały one wyraźne odbicie w dużych oczach. Zwilżyła wargi, otworzyła lekko usta i zakołysała się wymownie ku mnie, przy czym przeźroczysty szlafroczek niedbale się rozchylił.

Odsunąłem się na bok.

- Proszę to zachować dla swoich gości - poradziłem.

Nagle się zatrzymała, przeszła mnie nienawistnym spojrzeniem i jak rozgniewana pensjonarka uciekła do sypialni. Po chwili wróciła w zapiętym pod szyję wełnianym szlafroku.

- Tak lepiej - oświadczyłem.

- Niech pan posłucha - powiedziała ze złością. - Daję panu dokładnie dwie minuty na wyjście stąd, potem wzywam policję.

- Nie potrwa to nawet dwie minuty, jeśli pani powie mi prawdę.

- Rozpozna pan prawdę, jeżeli pan ją usłyszysz?

- Proszę spróbować.

- Czego pan chce się dowiedzieć?

- Zacznijmy od Carlston Heath. Dlaczego pani podszeptała inspektorowi, że to ja napadłem na panią?

Uśmiechnęła się. Widać było, że błyskawicznie odzyskała pewność siebie.

- Nic mu nie podszeptałam. Sierżant prosił o opis napastnika, zrobiłam, co mogłam.

- W czym przyświecała pani jedna intencja: rzucić podejrzenie na mnie!

Wzruszyła ramionami. - Przykro mi, jeśli tak to wyszło. Po prostu powiedziałam prawdę.

- Bzdury! Był to stek kłamstw, podobnie jak wszystko, co pani opowiadała.

- Proszę pana, czy chce mi pan wmówić, że nikt na mnie nie napadł na Carlston Heath? - Dotknęła szyi i wymownie się skrzywiła.

- Niech pan spojrzysz na ślady.

- No dobrze, kto napadł na panią?

- Nie wiem. Było ciemno...

- Uważa pani, że ja?

Odwróciła się, nie mogła spojrzeć mi w oczy.

- Mówiłam panu, nie wiem na pewno.

Chwyciłem ją za łokieć i przyciągnąłem do siebie. - Niech pani powie! Dlaczego pani mnie oskarża?

- Wszystko powiedziałam policji. I nie mam nic do dodania. Wciąż trzymając ją, oświadczyłem:

- Pani jest, zdaje się, zła.

- A jestem. Nawet wściekła!

- Ale nie boi się pani? To dziwne.

- Co to ma znaczyć?

- Zwyczajnie, gdyby pani była naprawdę przekonana, że to ja chciałem panią udusić, to by pani nie stała teraz spokojnie przede mną i nie rozmawiała w ten sposób. Byłaby pani przerażona, ze strachu odchodziłaby od zmysłów i krzyczała jak nieboskie stworzenie, wzywając pomocy.

Zesztywniała, ale się nie wyrwała z uścisku. W jej dużych oczach widać było, że wysiła głowę, jak by się wymknąć z pułapki.

- Powiedziałam policji prawdę i nie mam nic do dodania. Mruknąłem niedowierzająco. Ktoś zadzwonił do drzwi. Spojrzała

w ich stronę. Była wyjątkowo kiepską aktorką i jej oczy wyrażały każdą reakcję napiętych nerwów. Powiedziałem złośliwie:

- Ktoś dzwoni. Wpuścić go?

Rozmyślnie ją sprowokowałem, poskutkowało. Wybiegła z pokoju, zamknęła drzwi za sobą. Usłyszałem zgrzyt klucza. Nie wierząc własnym uszom, nacisnąłem klamkę. Rzeczywiście zamknęła mnie na klucz. Mnie, domniemanego dusiciela! Chciałem popatrzeć przez dziurkę od klucza, ale nic nie było widać, bo zostawiła klucz w zamku. Słyszałem jednak, że cicho szepczą w korytarzu.

Właściwie sytuacja, w jakiej się znalazłem, ogromnie mi odpowiadała. Mogłem trochę pomyszkować. Nie tracąc czasu, rozejrzałem się po meblach, które najwyraźniej świadczyły o nadmiarze pieniędzy i niedostatku smaku. Szukałem jakiegoś

śladu prywatnego życia panny Dean.

Najpierw sprawdziłem sypialnię. Znajdowało się tam fantastyczne łóżko w kształcie serca, wymalowane na biało i bladoróżowo i okryte przezroczystą gazą. Na kruchych białych krzeselkach leżała rozrzucona zwiewna bielizna. Szuflady komody były prawie puste. Gdy zobaczyłem luksusowe białe walizki skórzane (niestety, zamknięte na klucz), zrozumiałem, że ich właścicielka już jest przygotowana na wyjazd do Nowego Jorku. Na stoliku przy łóżku znajdował się telefon i dość niezwykła fotografia pani domu. Wróciłem do salonu. Zauważyłem drugi telefon na maleńkim trójkątnym stoliku w chińskim stylu. Coś mi szepnęło, żeby się zająć tym stolikiem. Naciskałem palcami w różnych miejscach, aż nagle ze stolika wyskoczyła wąska szufladka. Wypełniał ją ściśle czarny notesik, wielkości pudełka zapalek. Wystarczyło w nim jednak miejsca na nazwiska, adresy i numery telefonów zadziwiająco wielu osób. Przerzuciłem szybko stroniczki notesu. Znalazłem parę dobrze mi znanych nazwisk, między innymi Dona Page'a. Nagle rzuciło mi się w oczy nazwisko George'a Nottinghama i numer telefonu: Park 0192.

Było to jedno z nazwisk, jakimi posługiwał się Lance Belham. Włożyłem notesik do kieszeni, wsunąłem szufladkę z powrotem do kryjówki i przeszedłem na drugą stronę pokoju. Gdy niechętna mi pani domu wróciła, udawałem, że podziwiam futurystyczny obraz.

- Proszę nie przepraszać mnie za zamknięcie drzwi na klucz - powiedziałem przymilnie.

- Ale już są otwarte, proszę pana. Bardzo chętnie zobaczyłabym pańskie plecy, bo mam zaraz gościa.

- Wcześniej przychodzą pani goście.

Mając w kieszeni jej notesik, piekielnie się śpieszyłem, ale nie byłoby taktycznie z tym się zdradzić. Starąłem się przeciągnąć trochę wizytę, a panna Dean była w coraz gorszym humorze. W końcu podeszła do telefonu.

- Proszę pana, jeżeli się pan natychmiast nie wyniesie, dzwonię na policję, żeby pana aresztowali za najście na dom i zakłócanie spokoju.

Najmniej mi odpowiadało, by się zainteresowała telefonem, wobec czego wyszedłem, nie śpiesząc się zbyt.

Na dziedzińcu olbrzymiego bloku mieszkalnego szukałem dogodnego punktu, z którego mógłbym obserwować wejście do jej klatki schodowej. Chciałem sprawdzić, czy znam jej gościa. Przeszedłem przez dziedziniec, znalazłem się w hallu innej części bloku i zająłem tam stanowisko za dużymi szklanymi drzwiami.

Po paru minutach zdarzyły się dwie rzeczy, niestety, prawie równocześnie. Zobaczyłem żółtego volkswagena Pauli i ktoś poklepał mnie po ramieniu. Niechętnie oderwałem wzrok od samochodu, odwróciłem się i zobaczyłem przyjaciela z czasów, gdy pracowałem na Fleet Street.

- Guy Foster! Cóż ty tu robisz?

- Mógłbym tak samo zapytać ciebie - odparłem, myśląc wciąż o wozie Pauli.

- Ano, mieszkam tutaj. Pieknie drogo, ale punkt dobry. Wziął mnie za łokieć i wyprowadził na dziedziniec.

- Masz czas, żeby napić się ze mną? Bo co ty tutaj robisz, na kogo tak czatujesz? No i kiedy wracasz na Fleet Street?

Drugie z jego pytań omal nie zważyło mnie z nóg, więc uczepiłem się pierwszego.

- Pogadamy przy piwie - powiedziałem.

Żółty volkswagen Pauli, albo wóz niezwykle do niego podobny, stał zaparkowany po drugiej stronie dziedzińca. Ujrzałem go właśnie w chwili, gdy przyjaciel poklepał mnie po plecach. Jeszcze moment, a byłbym sprawdził tablicę rejestracyjną i wiedział, czy to wóz Pauli. Jednak Joyce Dean i Paula... czy to możliwe?

Kręciło mi się w głowie i byłem kiepskim kompanem dla faceta, który koniecznie chciał mi postawić. Musiał to wyczuć, bo po dwóch piwkach rozstaliśmy się, przyrzekając, że się dzwoniemy. I zaraz pośpieszyłem do najbliższego postoju taksówek.

W drodze do Scotland Yardu studiowałem czarny notesik panny Dean. Znalazłem jeszcze dwa nazwiska. Mary Antrobus i Carol Stewart. To mnie zdziwiło. Czyżby były z nią w sitwie? Co

do Carol Stewart, wydawało mi się to możliwe, ale nie chciałem uwierzyć, żeby Mary Antrobus miała coś wspólnego z Joyce.

Taksówka skręciła z Whitehall do Scotland Yardu.

Miałem szczęście. Inspektor Cameron właśnie wrócił do biura z jakiejś wyprawy na miasto. Od razu przystąpiłem do rzeczy.

- Joyce Dean jest już spakowana, ale jeszcze nie odleciała do Nowego Jorku. Na szczęście nie wszystko jeszcze schowała do walizek. Zapomniała o tym...

Położyłem na biurku czarny notesik. Gęste brwi Camerona podniosły się, tworząc wielkie łuki.

- Nieostrożna - powiedział najobojętniejszym tonem.

- Po prostu byłem przez chwilę sam w pokoju. Opowiedziałem o wizycie tajemniczego gościa.

- Jest pan pewny, że to był mężczyzna? - spytał Cameron.

- Wtedy tak myślałem, ale teraz nie jestem pewny. Na dziedzińcu widziałem volkswagena Pauli Hepburn, zdaje mi się, że to był jej wóz. Ten najnowszy model, pamięta pan, i rzucający się w oczy złoty kolor?

- Obejrzał pan tablicę rejestracyjną?

Wyjaśniłem, co mi w tym przeszkodziło. Inspektor skinął głową.

- Wielka szkoda - powiedział. - Ale jeśli nawet był to wóz pani Hepburn, to jeszcze nie znaczy, że przyjechała do Joyce Dean. Równie dobrze mogła odwiedzić kogoś innego. Chyba ponad tysiąc osób mieszka w tych olbrzymich blokach.

- To prawda. Niemniej zbieg okoliczności jest zastanawiający.

- Ach, zbieg okoliczności! Nie przesadzajmy faktów. Natomiast warto przejrzeć ten notesik, który panna Dean, jak pan mówi... nieostrożnie zostawiła przy telefonie.

Cameron dokładnie przejrział notesik. Cztery razy powiedział: o! Po czym położył notesik na biurku.

- Na pierwszy rzut oka panna Dean wydaje się mieć bardzo liczne grono przyjaciół, ale tylko cztery nazwiska są szczególnie interesujące. Zapiszemy.

Przysunął sobie bloczek i zapisał cztery nazwiska, jedno pod drugim: Don Page, Lance Belham (Nottingham), Mary Antrobus, Carol Stewart. Po czym, z prawej strony, obok tych

nazwisk, wpisał: JOYCE DEAN.

- Jakie są tutaj powiązania? - zastanawiał się. - Jawne jest tylko jedno ogniwo: Page był pacjentem doktora Swansona. Don Page i Joyce Dean mogą z powodzeniem twierdzić, że poznali się jako pielęgniarka i pacjent.

Połączył kreską Dona z Joyce Dean.

- To jest dostatecznie jasne. Ale skąd się nazwisko pana Page'a znalazło w tym poufnym notesiku, który dotyczy raczej czasu wolnego od pracy?

Nacisnął guzik wewnętrznego telefonu, mówiąc:

- Skoncentrujemy się na naszym wspólnym przyjacielu, panu George'u Nottinghamie, alias Belham. Halo, sierzancie? Są jakieś wiadomości o Lancie Belhamie?

Dał się słyszeć niewyraźny głos z jakiegoś miejsca pełnego ludzi:

- Niestety nie, panie inspektorze. Sprawdziliśmy wszystkie miejsca, w których bywa. Jak dotąd, bez rezultatu.

- Dobrze. Proszę posłuchać. Dostaliśmy wiadomość, że można go znaleźć pod telefonem Park 0192. Zapisał pan? Proszę sprawdzić numer, ustalić adres, ale bądźcie ostrożni. Nie wolno nam spłoszyć ptaszka. Pewnie się okaże, iż Belham występuje pod jednym ze swych przybranych nazwisk: George Nottingham. Bierzcie się do roboty, sierzancie.

- Rozkaz, panie inspektorze!

- I jeszcze jedno, miejcie się na baczności. Podrażniony, może być niebezpieczny.

- Postaram się go nie drażnić.

Cameron uśmiechnął się. Nacisnął drugi guzik.

- Słucham - dał się słyszeć głos policjantki.

- Mówi inspektor Cameron. Jest coś dla mnie?

- Tak, panie inspektorze, właśnie miałam do pana dzwonić. Jak pana nie było, dzwonił Felix Hepburn. Chce się z panem zobaczyć.

- Koniecznie?

- Tak jest. Był bardzo podniecony.

- Kiedy dzwonił?

- Pół godziny temu.

- Mówił, o co chodzi?

- Nie, panie inspektorze. Ale powiedział, że przyjdzie... och, chwileczkę, zdaje się, że już jest. Przysłać go do pana?

- Tak, proszę.

Policjantka wyłączyła się. Wymieniłem z Cameronem spojrzenia.

- Czy on wie, że jestem tutaj?

Cameron wzruszył ramionami i sięgnął po czarny notesik.

- To nie ma większego znaczenia. Ale nie zostawimy takich łatwopalnych materiałów na publicznym widoku.

Wrzucił notesik do szuflady. W chwilę potem wprowadzono Felixa.

- Strasznie się cieszę, że pana zastałem, panie inspektorze - zaczął od samych drzwi, po czym zobaczył mnie. - O, siemasz, Guy. Co tam u ciebie?

- Dobrze. A jak było w Szkocji?

- Zimno i mokro. Ilekroć wybiorę się na północ, zawsze leje jak z cebra.

- Kiedy wróciłeś? Felix spojrzał na zegarek.

- Pociąg przyjechał na stację King's Cross jakieś trzy kwadransy temu. Stamtąd ruszyłem prosto do domu i zastałem tam biedną Paulę, bliską nerwowego załamania. Panie inspektorze, przebrała się miara, to zdarzyło się już drugi raz!

Cameron zmarszczył brwi. - Co się zdarzyło?

- Już drugi raz ktoś chciał zamordować moją żonę!

- Ma pan na myśli wypadek uliczny, którego ofiarą omal nie padła pańska żona?

- To nie był wypadek! Tylko rozmyślnie, z zimną krwią ktoś ją chciał przejechać. Na szczęście żona ma szybki refleks i w porę uskoczyła.

- Powiedziałeś, że już drugi raz - wtrąciłem. - Nie rozumiem. - Naprawdę nie wiesz?

Potrząsnąłem głową i spojrzałem na inspektora. Felix gwałtownie się do niego odwrócił i spytał tonem na pół ironicznym, na pół oskarżycielskim:

- Chce mi pan powiedzieć, że się pan tego nie domyślił?

- Proszę mówić dalej - odpowiedział mu Cameron z kamienną

twarzą.

- Guy, co miała na sobie Melissa tej nocy, kiedy ją uduszono?

- Sam doskonale wiesz! Pożyczyła futro od Pauli, bo... - złapałem oddech. - Chcesz powiedzieć, że morderca wziął ją za Paulę? I zamordował Melissę przez pomyłkę?

- Brawo, Guy, nareszcie do tego doszedłeś! - złośliwie powiedział Felix. - Jeżeli tylko trochę się nad tym zastanowić, jasne jest, co się stało. Noc była ciemna, Melissa miała na sobie futro Pauli, morderca się śpieszył...

- Skąd pan wie, że się śpieszył? - szybko spytał Cameron. Felix zmarszczył brwi. - No tak... to się chyba rozumie samo przez się, nie?

- Bardzo pana przepraszam, ale u nas nic się samo przez się nie rozumie, a już najmniej to, że Melissę Foster zamordowano przez pomyłkę. A poza tym myśmy wszystko bardzo szczegółowo rozważali.

Felix zerknął na inspektora.

- No dobrze, a jak pan wyjaśni to, co się zdarzyło Pauli na Shepherd's Market?

Cameron wzruszył ramionami.

- Może był to zwykły wypadek. Kierowca sportowego wozu zobaczył, że pańskiej żonie nic się nie stało, i nie chciało mu się zatrzymać. To się zdarza aż nadto często.

Felix otworzył usta, by zaprotestować przeciw lekceważeniu jego domysłów, ale inspektor nie dopuścił go do głosu.

- Chciałem - powiedział - zapytać o coś pana Page'a, ale skoro był pan u niego na urodzinach, może pan mi to powie.

- Jeżeli tylko będę mógł.

- Chodzi o Carol Stewart. Słyszałem, że naprzykrzała się gościom i pan Page musiał dość wcześnie odwieźć ją do domu.

- Tak, to się zgadza. Za dużo wypila, a nie umie pić. Zaczęła się mądrzyć, potem długo się popisywała swym kiczowatym numerem, który wszyscy słyszeliśmy sto razy.

- Na czym właściwie polega ten numer? - grzecznie zaciekawiony spytał inspektor.

- Na imitowaniu. Ona naśladuje głosy różnych znanych osobistości. I nie zdaje sobie sprawy, że ta zabawa dawno już się

znudziła. Słowo daję, nie znam nikogo, kto by popsuł zabawę na tyłu przyjęciach, co ona. Pewnie zna to pan, inspektorze?

Cameron uśmiechnął się i znacząco spojrział na zegarek.

- Niestety, sam rzadko chodzę na przyjęcia. Ale zgadzam się z panem, że taka osóbką może być męcząca...

Felix i ja zrozumieliśmy aluzję. Uścisnęliśmy rękę inspektora i wyszliśmy z gabinetu.

Gdy znaleźliśmy się na Whitehall, Felix nie zdradzał ochoty do rozmowy. Pewnie jeszcze rozmyślał o urojonych lub prawdziwych zamachach na życie Pauli. Zaproponował, że mnie odwiezie, ale wyraźnie nie palił się do tego. Podziękowałem.

- Zaprosiłbym cię do nas - powiedział - ale Paula pewnie jeszcze nie wróciła do domu...

- A mówiłeś, że była w domu, jak przyjechałeś ze stacji.

- Była, a jakże, stary, ale zaraz wyszła.

- Może wiesz dokąd? - spytałem, chyba trochę za szybko. Spojrział na mnie z ukosa.

- Nie, właśnie, że nie wiem, stary. Pewnie na jedno z tych jej posiedzeń komitetu charytatywnego. A dlaczego pytasz?

- Tak sobie. Pewnie wzięła wóz?

Felix zachichotał. - A widziałeś, żeby kiedyś zrobiła choć parę kroków na piechotę?

Roześmiałem się i pożegnałem Felixa. Postanowiłem część drogi do domu odbyć spacerem, aby świeże powietrze rozjaśniło mi w głowie i pomogło rozwiązać problemy, jakie postawił przede mną Cameron. Na przykład, co u licha Paula miała wspólnego z taką dziewczyną jak Joyce Dean? Albo co robiły nazwiska Mary Antrobus i Carol Stewart w czarnym notesiku? Nie mogłem się w tym doszukać sensu. Przypuszczałem jednak, że dla inspektora wszystko się zaczęło układać w piękną mozaikę.

Miałem rację.

Inspektor stał przed drzwiami, gdy następnego ranka wyszedłem w piżamie i szlafroku zabrać gazety. Był bardzo zmęczony, pewnie nie spał w nocy, ale w jego poważnych, brązowych oczach błyskała radość z odniesionego sukcesu.

- Coś się zaczęło dziać - powiedział. - Właśnie przymknęliśmy Lance Belhama, pańskiego Antrobusa.

Rozdział jedenasty

Przytrzymałem drzwi, Cameron wszedł do hallu. W pokoju ciężko usiadł w fotelu.

- Ale miałem noc - powiedział, zapalając papierosa. Widziałem, że jest zmęczony, czekałem więc, aż sam zacznie opowiadać.

- Przejrzeliśmy notes z adresami Joyce Dean jeszcze raz - zaczął po chwili. - Najpilniejszy do sprawdzenia był numer telefonu: Park 0192. Okazało się, że jest to obskurny hotelik niedaleko Notting Hill Gate. Opisałiśmy właścicielce Belhama, od razu go poznała, choć podał się za George'a Nottinghama. Nie zastaliśmy go, ale obejrzeliliśmy pokój, niewiele to dało. O drugiej nad ranem właścicielka hotelu zadzwoniła do mnie, że wrócił. Pojechaliliśmy i przymknęliśmy ptaszka. Za dużo wypił, miał kaca, to mi pomogło. Po godzinnym przesłuchaniu nagle się załamał i wszystko wyśpiewał.

Cameron strzepnęła popiół z papierosa.

- Przyznał się, że napadł na mnie z bronią w ręku? Inspektor się roześmiał.

- Przysięga, że broń była nie nabita. Nie dowiedziemy mu, że było inaczej. W każdym razie przyznał się, że napisał list znaleziony przez pana w kasetce.

- Ależ to był jej charakter pisma. Z wszelką pewnością! Inspektor uśmiechnął się nieco zniecierpliwiony.

- Czy nie mówiłem panu, że Belham jest jednym z trzech najwybitniejszych fałszerzy banknotów w Anglii? Podrobienie charakteru pisma pańskiej żony było dla niego dziecinną igraszką. A zapłacono mu za to bardzo dobrze.

- I powiedział, kto mu zapłacił?

Cameron poprawił się w fotelu. -- Tutaj powstała pewna trudność. On upierał się, że ów dżentelman był mu znany tylko jako pan Smith...

- Nie mógł go opisać?

- Stanowczo twierdził, że go nie zna i że wszystko załatwia osoba trzecia, w której od razu rozpoznałem Joyce Dean. I tak się koło zamknęło.

- A nie sądzi pan, że Joyce Dean i ten pan Smith to jedna i ta sama osoba?

Cameron wyduł wargi z powątpiewaniem, podszedł do lustra nad kominkiem i przyglądał włosy. Tym razem dwa kosmyki były niesforne.

- Sądząc z tego, co wiem o przestępcach, takie przypuszczenie jest wysoce nieprawdopodobne. Ale musimy być przygotowani na różne ewentualności. Teraz może pan się ubierze, a ja tymczasem zaparzę kawy. Sam chętnie się napiję.

Powiedziałem, gdzie znajdzie kawę, i poszedłem się ubrać. Gdy w pięć minut później wszedłem do kuchni, już nalewał do filiżanek aromatyczną czarną kawę. Siedliśmy naprzeciw siebie przy stole i wypiliśmy kawę, po czym Cameron wrócił do swych rewelacji.

- Proszę pana, ani przez chwilę nie wierzyłem, że pańska żona dorobiła się takich pieniędzy na hazardzie. Szybko ustaliliśmy, że nigdy nie była na wyścigach ani u bukmachera. Pytaliśmy o nią setki osób, ani jedna nie rozpoznała jej na fotografii.

- Musiała zdobyć pieniądze gdzie indziej - na pewno nie ode mnie.

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Wiem, była czarującą kobietą, ale miała poważną wadę charakteru: chciwość pieniędzy - na niczym i na nikim tak jej nie zależało. Wyjechała z Południowej Afryki, licząc na to, że zarobi dużą forszę w filmie albo na scenie. Potem wyszła za pana, bo pewnie uważała, że znany dziennikarz ułatwi jej kontakty.

- Szybko się rozczarowała - wtrąciłem ponuro. - W każdym razie, gdy się rozstałem z Fleet Street, niezbyt się tym przejęła.

- Zdażyła już znaleźć sposób łatwego zdobywania pieniędzy, uprawiając z powodzeniem proceder szantażu.

Cameron dorzucił cukru do drugiej filiżanki kawy i zamieszał. Musiał zauważyć, że trochę się stropiłem, gdy mówił o Melissie.

- Patrzę na tę sprawę obiektywnie - zapewnił. - Po prostu informuję pana o wynikach naszych dochodzeń. Nie ma w tym cienia złośliwości z mej strony.

- Nie rozumiem jednak, jak Melissa, mieszkając od niedawna w Anglii, mogła uprawiać szantaż.

- Prawdopodobnie grała drugie skrzypce w tym procederze. Pracowała z niejakim Smithem.

- Muszę przyznać, że to brzmi już bardziej prawdopodobnie. Skinął głową. - Pańska żona była bardzo efektywnym parawanem... właśnie takim, jakiego szukał pan Smith. Ciekaw jestem, które z nich wpadło na pomysł, żeby pieniądze uzyskane z szantażu nosić w pudle na kapelusz.

Wszystko zaczęło się wolno układać w pewną całość. Dolałem sobie kawy, zapaliłem papierosa.

- Ten cały Smith ma niezłą wyobraźnię - mówił dalej Cameron. -- Należy, oczywiście, przyjąć, że czerpał z szantażu większe zyski niż pańska żona. A proszę nie zapominać, że jak ktoś osiąga z przestępstwa wielkie zyski, może to doprowadzić do aktów przemocy i morderstwa. Między pańską żoną a Smithem pewnie doszło do kłótni. Może chciała się wycofać. A może domagała się większego udziału w zyskach. Tego chyba już się nie dowiemy. Ale jedno jest pewne, pańska żona za dużo wiedziała i to nie dawało spokoju Smithowi. Tak doszło do decyzji zamordowania jej i skierowania podejrzeń na pana.

- To znaczy, że Smith musiał dobrze mnie znać?

- Pańska żona pewnie opowiadała mu o panu i pańskim otoczeniu. Niewątpliwie wiedział, że jest pan bez pracy, w złym stanie nerwowym, ma kłopoty finansowe i nie panuje nad sobą w sprzeczkach z żoną. Prawdę mówiąc, przypominał pan boksera, który opuścił ręce. Nie było trudno dowieść, że ulegając stresom, doznał pan pewnego zachwiania równowagi umysłowej.

- I to była woda na młyn pana Smitha - dodałem. Popijając kawę, zastanawiałem się, w jaki sposób podrobiony list

Melissy mógł trafić do kasetki. A potem przyszło mi na myśl, że komplikacje ze Swansonem musiały wszystkim, także moim przyjaciółom, nasunąć podejrzenia co do mej poczytalności.

Cameron spokojnie wyjaśniał mi, jak Smith posługiwał się ludźmi pokroju Belhama i Carol Stewart. Jego zdaniem to Carol udawała Melissę przez telefon i podłożyła kartkę na maszynie do pisania.

- I to ona dzwoniła do mnie z Lenton, udając Melissę?

- Ten telefon nie był z Lenton. Owej nocy nikt nie dzwonił z Lenton do pana. Przypuszczam, że telefonowała z Londynu.

- I to także Carol Stewart tamtego wieczoru ukradła pudło na kapelusz i torebkę?

- Moim zdaniem bardziej prawdopodobne jest, iż sama pańska żona po cichu weszła do mieszkania, usłyszała, jak pan pisze na maszynie, nie chciała przeszkadzać i po prostu wzięła to, po co wróciła.

- Któż więc podrzucił później pudło na kapelusz i rękawiczki?

- Smith albo Carol Stewart. Jedno z nich musiało mieć klucz, pewnie pożyczony od Melissy. Przynieśli te rzeczy, aby sprawić wrażenie, że pan kłamał.

- Albo że cierpię na zaburzenia umysłowe - dodałem z goryczą. - Ale dlaczego akurat Carol Stewart? Nie rozumiem, z jakiego powodu by miała... Przecież ja jej nie znałem!

- Tak samo jak dla Belhama była to tylko kwestia pieniędzy. I nic więcej.

Cameron przerwał na chwilę, po czym dodał:

- Trzeba oddać panie Stewart sprawiedliwość. Nie sądzę, by zdawała sobie sprawę, że wciągnięto ją do współudziału w planowanym morderstwie, tak było chyba na początku. A kiedy nabrała podejrzeń, już była wmieszana w tę sprawę i zbyt wystraszona, by powiadomić policję. Smith to wykorzystał i zmusił ją do drugiego telefonu.

Nie mogłem się oprzeć przygnębieniu. Wszyscy byli przeciwko mnie i nawet teraz nie czułem się jeszcze bezpiecznie.

Cameron jakby czytał moje myśli: - Przykro mi, ale już się pan dowiedział tego, co najgorsze. Teraz musi pan wziąć się w garść i pomóc nam w rozszyfrowaniu całej sprawy.

Dolewaliśmy sobie kawy, gdy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Mówi doktor Swanson - jego głos był dziwnie napięty.
-Właśnie przeczytałem pański list.

Już chciałem spytać, jaki znów list, ale zauważyłem, że Cameron stoi przy mnie i z nieprzeniknionym wyrazem twarzy popija kawę. Ograniczyłem się więc do lakonicznego: - Ach, tak?

Po krótkiej przerwie Swanson powiedział:

- Była to bardzo niemiła lektura.

- Przykro mi - odparłem, widząc ostrzegawczy gest inspektora, który najwidoczniej rozpoznał mego rozmówcę.

Znów nastąpiła krótka pauza.

- Nie sądzi pan - podjął Swanson - że byłoby lepiej, gdybyśmy się spotkali i pomówili o tej sprawie?

Cameron usłyszał ostatnie zdanie i lekko skinął głową.

- Nie mam nic przeciw temu - odpowiedziałem Swansonowi. - Gdzie chciałby pan spotkać się ze mną?

- Na King's Road jest kawiarnia „Wiatrak”. Mógłby pan być tam o czwartej?

- Będę. - Po krótkim namyśle dodałem: - Proszę przynieść ten list. Chciałbym go odebrać, jeśli pan pozwoli.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na Camerona. Mruknął coś, co można było wziąć za aprobatę, postawił filiżankę z kawą i ku mojemu zdumieniu sięgnął po kapelusz i płaszcz. Wychodząc, odwrócił się nagle. Zauważyłem błysk w jego oczach.

- Dlaczego prosił pan o przyniesienie listu?

Wzruszyłem ramionami. -Wydaje mi się, że skoro nie napisałem tego listu, byłoby dobrze zapoznać się z jego treścią.

Cameron uśmiechnął się i bardzo starannie wkładał kapelusz na nie mniej starannie przyczesane włosy.

- Widzę, że pan się uczy. I to szybko. Kłaniam się.

Nie wiem, czy inspektor miał rację. Może istotnie szybko się uczyłem. W każdym razie idąc wolnym krokiem ulicą King's Road, wyraźnie się bałem. Doszedłem do wniosku, że jedyną osobą, która mogła napisać ten list, był inspektor. Najwidoczniej uznał, że nadszedł czas, aby zmusić przeciwnika do wyjścia z kryjówek.

Doktor Swanson czekał, chyba niecierpliwie, w zacisznym kącie przy oknie. Kelnerka szybko przyniosła nam herbatę i oddaliła się bezszelestnie. Nalewając herbatę do filiżanek, zastanawiałem się, czy Swanson stale bywa w tej kawiarni. Aby przełamać lody, spytałem:

- Znalazł już pan kogoś na miejsce Joyce Dean? Skinął głową bez słowa.

- A to dobrze - powiedziałem. - Trudno dziś o dobrą sekretarkę... Ale żebym nie zapomniał: przyniósł pan list?

Wyjął list z portfela i podał mi. Napisany był na papierze listowym, ale od razu poznałem, że nie na mojej maszynie. Ledwie przeczytałem pierwsze słowa: „Szanowny Panie Doktorze, znalazłem taśmę magnetofonową nagraną przez moją żonę...” - Swanson zapytał:

- Czego chciałby pan się dowiedzieć?

- Tylko prawdy, panie doktorze - odparłem i znów rzuciłem okiem na list.

Długo się zastanawiał.

- Przypuścimy, że wszystko panu powiem, co się stanie z taśmą?

- Mógłbym panu pomóc, jeśli pan się zgodzi wszystko mi powiedzieć.

Kręcił się na wyplatany krześle.

- Widzę inne rozwiązanie - oświadczył. - Jestem gotów kupić od pana tę taśmę.

Potrząsnąłem głową. Jakże mógłbym sprzedać mu taśmę, która, w moim przekonaniu, nie istnieje? Nie miałem wyboru, musiałem brnąć dalej.

- Dam panu trzy tysiące za tę taśmę, nawet bez jej przesłuchania - nalegał.

- Traci pan czas, doktorze. Interesują mnie fakty, a nie pańskie pieniądze.

Zapaliłem papierosa i czekałem, aż się zdecyduje.

- Co pan chce wiedzieć?

- Przede wszystkim dlaczego naopowiadał pan policji kłamstw o mnie?

- Nie miałem wyboru. Byłem szantażowany.

- Przez Joyce Dean?

- Tak.

- Czym panu groziła? Otarł twarz chusteczką.

- Kochałem ją i jak ostatni idiota zwierzyłem się jej, że dostarczam narkotyków pewnym osobom...

Wzruszył bezradnie ramionami. Dopiero chyba po półgodzinie wypytywania jego historia zaczęła układać się w całość.

Joyce Dean i jej przyjaciółka, Mary Antrobus, kiedy pracowały w szpitalu w Elvingdale, zdobyły zapas heroiny. Mary miała słabszą wolę i została narkomanką. Swanson zakochał się w Joyce i głupio jej się przyznał, że handluje narkotykami. Joyce postanowiła go szantażować. Pod jej presją Swanson zaopatrywał w heroinę Mary Antrobus i innych klientów Joyce. Proceder rósł niczym lawina i w krótkim czasie panna Dean stała się potentatką w tej branży. Wtedy stało się to, co było nieuniknione. Joyce zwróciła na siebie uwagę pewnego szantażysty.

- Powstała paradoksalna sytuacja, śmiać mi się chciało, gdy o tym usłyszałem - mówił dalej Swanson. - Ale może mi pan powiedzieć, wcale nie było to śmieszne. Zwłaszcza jak się dowiedziałem, że szantażysta występujący pod nazwiskiem Smith postanowił dobrać się do mnie. Z Joyce mógłbym jakoś sobie poradzić, w gruncie rzeczy była amatorką. Ale ten facet nie przebierał w środkach. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie chodzi mu już o pieniądze. Po prostu chciał, bym zeznał, że pan jest moim pacjentem i bym przysięgł, że lecę pana na obsesyjną nerwicę... - Swanson przerwał na chwilę. - Mogę pana zapewnić, że ani Joyce, ani ja nie mieliśmy pojęcia, iż moje oświadczenie może narazić pana na posądzenie o morderstwo.

- Czy ten Smith nie uzasadnił swego żądania? Nie powiedział panu, dlaczego nakłania pana do kłamstw?

- Powiedziano nam, że chodzi tylko o przyspieszenie pańskiego rozwodu i że pańska żona chce, żeby pan został uznany za chorego umysłowo.

- Ale w ogóle nie było mowy o rozwodzie! - powiedziałem ze

złością.

- Przykro mi, tak nam powiedziano.

- W takim razie morderstwo mojej żony musiało panem wstrząsnąć.

Skinął głową i znów wytarł twarz wyjętą z kieszeni jedwabną chusteczką.

- Tak, był to straszny szok, ale już się za daleko posunęliśmy, by się wycofać. Smith miał nas w ręku.

- Czy to on zamordował Mary Antrobus?

- Tak, ale część odpowiedzialności za to spada na mnie. Pokłóciłem się z nią i odmówiłem jej heroiny. Teraz wiem, że postąpiłem okrutnie. Jak panu pewnie wiadomo, narkomanów trzeba stopniowo odzwyczajać. Biedaczka nie zdołała zdobyć heroiny gdzie indziej i w skrajnej rozpaczycy zagroziła, że nas wyda. Pokłóciłem się także z Joyce i już mi było wszystko jedno. Ale Smithowi wcale nie było obojętne, jak to się skończy. Najmniej życzył sobie, by Mary Antrobus wyśpiewała wszystko policji. Zawiadomił ją, że chce się z nią spotkać w pańskim domku, gdzie zjawi się z heroiną...

Nastąpiła cisza. Myślałem o Mary Antrobus i tym, co ją spotkało w Lenton. Po chwili odezwał się znowu Swanson:

- Powiedziałem panu wszystko. A teraz poproszę o taśmę. Wstałem i wolno odsunąłem się od stolika.

- Dostanie pan, jak przyjdzie na to czas.

Swanson zerwał się z krzesła. - Ale dał mi pan słowo, że...

- Że jak pan powie mi prawdę, nie wydam taśmy policji.

- Ależ powiedziałem panu prawdę! Wszystko! Czego pan jeszcze chce?

- Chcę tylko, aby pan powtórzył inspektorowi Cameronowi to, co mi pan powiedział.

Wybałuszył na mnie oczy, policzki mu płonęły. - Pan chyba zwariował!

- Nie, nie zwariowałem - powiedziałem cicho - ale nie pańska to zasługa, doktorze. A teraz, jeśli posłucha pan mojej rady, pójdzie pan do najbliższej budki telefonicznej, zadzwoni do inspektora Camerona i wszystko mu powie.

Wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. - A co, pańskim

zdaniem, stanie się ze mną, jeżeli tak zrobię?

Odwróciłem się jeszcze, odczekałem chwilkę i wycedziłem:

- A co, pańskim zdaniem, będzie z panem, jeżeli pan tego nie zrobi, doktorze?

Rozdział dwunasty

Swanson został zastrzelony w jakieś dwadzieścia minut po naszym rozstaniu.

Jak?

Pytając „jak”, nie mam na myśli, w jaki sposób. Nie było nic tajemniczego w małej, zwykłej furgonetce, która wolniutko przejechała koło budki telefonicznej. Długa seria oddana z tej furgonetki powaliła Swansona.

Chodzi mi o to, jakim cudem tamci wiedzieli, gdzie szukać doktora. Myślałem o tym siedząc w domu po telefonie od inspektora, który przekazał mi straszną wiadomość, i czekając na niego. Widziałem tylko jedno wyjaśnienie: szofer Swansona. Zawsze uważałem go za nieprzyjemnego faceta. Na pewno doskonale pamiętał moją twarz. Pewnie polecono mu pilnować doktora na wypadek, gdyby nie wytrzymał napięcia nerwowego. Szofer musiał śledzić Swansona, zobaczył, jak wszedłem do kawiarni krótko po nim, i telefonicznie ostrzegł Smitha.

Ogólna sytuacja, tak różowa przez krótki czas, znów wróciła do poprzedniego stanu. Spotkał mnie zawód na całej linii. Nasz główny świadek, jedyna osoba, która mogła wyjaśnić wszystko, doktor Swanson, nic już nie powie. Czy na pewno? Przypomniałem sobie słowa, jakich Cameron użył w naszej krótkiej rozmowie telefonicznej: „Postrzelili Swansona, akurat w tym czasie gdy dzwonił do mnie z budki telefonicznej!”

Niecierpliwie czekając na Camerona, nagle uprzytomniłem sobie, że jestem okropnie głodny. Jak przyjdzie inspektor, nie będzie czasu na jedzenie, poszedłem więc do kuchni, żeby coś przegryźć. Znalazłem krakersy i sardynki. Otworzyłem pudełko do połowy, gdy złamał się klucz. Klnąc, zacząłem szukać w

kuchni obciążek, żeby otworzyć pudełko do końca. Ktoś zadzwonił do drzwi. Zdziwiłem się na widok Dona Page'a.

- Guy, muszę zamienić z tobą parę słów. Można wejść?

- Hm... czekam na kogoś... właśnie chciałem coś przegryźć.

Nie pogniewasz się, jeśli zaproszę cię do kuchni?

- Ale skąd! Wpadłem tylko na chwilę.

- A może jesteś głodny?

- Nie, naprawdę. Zresztą wybieram się na kolację.

- Też pięknie. Poczęstowałbym cię sardynką na krakersie, tylko nie mogę, cholera, otworzyć pudełka.

- Może ja spróbuję - powiedział Don, biorąc w rękę pudełko. - Te klucze zawsze się łamią, nie rozumiem, dlaczego robią takie słabe klucze do sardynek.

- Zaczekaj, poszukam obciążek. Zwykle to jedyny sposób, jak złamię się klucz.

- Spokojna głowa, stary - mówiąc to, Don starannie wylał oliwę z pudełka na spodek. - Poradzimy sobie.

Nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Don przytrzymał lewą ręką otwartą część pokrywki i palcami prawej ścisnął resztę. Musiał mocno naciskać i wcale nie udawał, że to nie wymaga siły, dość na tym, że po chwili pokrywka zwisała luźno, a sardynki leżały na talerzu. Dreszcz mnie obleciał na myśl o sile jego giętkich palców.

- Przeżyłeś, Don? Masz taką minę, że nie zaszkodzi ci szklaneczka whisky.

Zaprowadziłem go do salonu i nalałem mu whisky z wodą sodową.

- Już słyszałeś? - spytał, biorąc szklaneczkę.

- O Swansonie?

- Tak. Postrzelili go. Przyjrzałem mu się uważnie.

- Wiem, ale skąd, u licha, ty o tym wiesz? To się stało jakieś dwie godziny temu i jeszcze nie mogło być w gazetach.

Don, unikając mojego spojrzenia, zapalił papierosa.

- Prosta sprawa, stary. Przypadkowo byłem niedaleko od tego miejsca. I widziałem, jak nieśli Swansona do karetki.

- Aha.

Pomyślał chwilę i dodał nieco zaczepnym tonem, w którym

brzmiała żalosna nuta: - Guy, to paskudna sprawa. Może się źle dla mnie skończyć.

- Dla ciebie? Bardzo cię przepraszam, nie rozumiem.

- Byłem pacjentem Swansona.

- I co z tego? Swanson miał setki pacjentów. Don nerwowo potrząsnął głową.

- No dobrze, ale oni nie są osobami publicznymi jak ja. Za sławę się płaci... powiem nawet, że za uwielbienie publiczności... Jak się ktoś znajdzie na świeczniku, nie może sobie pozwolić na jeden fałszywy krok. Nie zapominaj, że ci, którzy cię wywindowali, filary wspaniałego brytyjskiego społeczeństwa, mogą równie łatwo ściągnąć cię z piedestału.

- Co to ma wspólnego ze Swansonem?

- Guy, ciężką masz dzisiaj głowę. Jeżeli Swanson umrze, trzeba będzie odpowiedzieć na mnóstwo pytań, tak?

- Przypuszczam.

- A ty byłeś z nim tuż przed jego postrzeleniem, tak?

- Zgadza się. Ale skąd o tym wiesz? Znów unikał mojego wzroku.

- Mówiłem ci... byłem niedaleko. Przechodziłem koło kawiarni... i zobaczyłem cię przy stoliku ze Swansonem.

- Rozumiem.

- Otóż, na pewno będą cię przesłuchiwać. I wtedy zeznasz, że to ja poleciłem ci Swansona. Nie ulega wątpliwości, że zrobi się skandal i ja będę w to wciągnięty. Wiesz, do czego to może doprowadzić.

- Zapominasz o jednym. Wbrew temu, co ludzie o tym sądzą, nie byłem pacjentem doktora Swansona.

Szybko spojrzał na mnie. - Nie byłeś?

- Pozwól, że cię uspokoję. Jeżeli będę wypytywany przez reporterów albo kogoś innego, powiem tylko prawdę. A prawdą jest, że nigdy nie byłem pacjentem Swansona. Dlatego nie ma obawy, abym się przyczynił do wciągnięcia cię w tę sprawę. Żadnego skandalu nie będzie.

Wyraźnie się uspokoił.- Jesteś pewny?

- Jestem pewny tego, co powiedziałem.

.

Dotąd był nerwowy, teraz się odprężył i zgasił normalnie papierosa - nie tak, jakby chciał razem z nim rozgnieść popielniczkę. Ale nie zdradzał ochoty do wyjścia. Najwidoczniej miał jeszcze coś do powiedzenia. Zamyślony popijał whisky. Przerwałem milczenie.

- Czy tylko o to się martwiłeś, Don?

- Co?... Hm, nie tylko... właściwie, tak.

Nie wiem, dlaczego się rozmyślił. Przysięgnąłem, że chciał mi jeszcze coś powiedzieć, ale wziął biały szal i skierował się do drzwi.

- Muszę lecieć, stary. Umówiłem się z Paulą na siódmą.

- Idziesz z nimi na kolację?

- Raczej nie. Felix dzwonił do mnie po południu i zaproponował, bym wpadł do nich na drinka. Paula myśli o kupnie astona martina i chce się mnie poradzić.

Położył rękę na klamce. Zadzźwięczał dzwonek, obaj wzdrygnęliśmy się.

- O, psiakość, to ja coś nacisnąłem?! - zawołał. Roześmiałem się. - Nie, czekam na kogoś. Otworzyłem, za drzwiami stał Cameron.

Don się cofnął.

- Dobry wieczór panom - powiedział inspektor. Zdjął kapełusz, przygładził włosy. - Można?

Skinąłem głową, Don prześliznął się koło niego, mruknął „do widzenia” i lekko zbiegł po schodach. Po chwili usłyszeliśmy chrapliwy ryk odjeżdżającego jaguara.

Cameron uśmiechnął się.

- Śpieszy się, co? - powiedział. Roześmiałem się znowu.

- Trochę się przejął postrzeleniem Swansona. Boi się, że będzie wplątany w skandaliczną sprawę.

- I z tym przyszedł do pana?

- Nie jestem pewny. Może.

- A czego pan Page mógłby się obawiać?

- Był pacjentem Swansona. Chyba boi się, że tego rodzaju rozgłos może wpłynąć ujemnie na jego pozycję sportowej gwiazdy.

Cameron wyduł wargi.

- Doktor Swanson miał wielu pacjentów o znanych

nazwiskach. Nie wydaje mi się, by rozgłos martwił pana Page'a.

- Niepożądany rozgłos może być powodem zmartwienia.

- Czyżby rozgłos nie zawsze był pożądanym? Uśmiechnąłem się i wszedłem pierwszy do salonu. Ku mojemu zdziwieniu inspektor zgodził się na whisky.

- Miałem ciężki dzień - wyjaśnił. - Postrzelenie Swansona dopełniło miary. Ale, jak się to mówi, nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Swanson walczy o życie i mam nadzieję, że się wykaraska.

- Myśli pan, że nie umrze?

- Odzyskał na chwilę przytomność i złożył w szpitalu zeznanie. Na tej podstawie aresztowaliśmy Joyce Dean.

- A to świetnie! Dałbym wiele, żeby zobaczyć jej minę.

- Był to piękny widok. Aresztowaliśmy ją pod zarzutem szantażu. - Podniósł szklanę. - Piję za nasze powodzenie.

Podniosłem szklanę. Wiedziałem, co ma na myśli. Czym innym jest zebranie dowodów uzasadniających aresztowanie, a czym innym uzyskanie wyroku skazującego.

Długo milczeliśmy. Cameron był bardzo zmęczony, ale odniosłem wrażenie, że zbiera siły do ostatecznej rozprawy. Gdy znów zaczął mówić, okazało się, że dobrze odczytałem jego myśli.

- Czuję się teraz - mówił - jak stary, sterany wojną generał pod koniec długiej kampanii. Poniosłem klęski - morderstwo pańskiej żony i Mary Antrobus - wygrałem też małe bitwy - aresztowanie Lance'a Belhama i Joyce Dean. Mamy przed sobą ostatnią bitwę, po której wojna się skończy.

- Pan Smith? - spytałem cicho,

- Pan Smith.

- Zdaje się - podjął po chwili - że to Clausewitz powiedział, iż tajemnica zwycięstwa polega na tym, by zmusić nieprzyjaciela do stoczenia bitwy w miejscu i czasie, jakie nam odpowiadają. Innymi słowy, musimy podyktować przeciwnikowi warunki ostatecznej rozprawy. Moim zdaniem, mamy do dyspozycji środek, który pozwoli nam osiągnąć ten cel.

- Cóż to jest?

- Taśma pańskiej żony.

Zmarszczyłem brwi. Uważałem, że jest to środek bardzo zawodny.

- Panie inspektorze, muszę panu powiedzieć, że Melissa nigdy nie miała magnetofonu.

Wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział. Ja mówiłem dalej:

- Przyznaję, że udało się panu napędzić strachu Swansonowi, ale czy Smith da się nabrać na tę sztuczkę z taśmą? Kimkolwiek spośród moich serdecznych przyjaciół jest ten Smith, on czy ona, bardzo dużo wie o Melissie i o mnie, włącznie z tym, że nigdy nie przepadaliśmy za ułatwianiem sobie życia przy pomocy takich rzeczy jak magnetofon.

Cameron z niezmaconym spokojem skinął głową.

- Teraz nie ma pan magnetofonu. Ale choćby to, co mówi pan o ułatwianiu życia, świadczy, że mógł pan kiedyś spróbować magnetofonu, na przykład, gdy zaczął pan pisać powieści, i uznać zwykle pióro i papier za lepszy sposób rejestracji pańskich myśli. Wobec czego sprzedał pan magnetofon lub zwrócił go, ale przedtem pańska żona mogła nagrać na taśmie pewne ściśle poufne rozmowy, w których jest mowa o jej klientach i nieuchwytnym panu Smith.

Dobrze się nad tym zastanowiłem.

- Może to chwyci - powiedziałem.

- Musi! Nie widzę innego sposobu na wyciągnięcie Smitha z kryjówki. Rozpuścimy po cichu wiadomość, że ma pan tę kompromitującą taśmę tutaj, w mieszkaniu. Jestem przekonany, że Smith będzie próbował dostać ją w swoje ręce.

Wolno uprzytomniłem sobie, czym mi to grozi.

- Chce pan, żebym po prostu siedział w domu i czekał, aż Smith zjawi się tutaj?

Cameron skinął głową.

- Tak. Wiem, że będzie pan w trudnej sytuacji, może nawet niebezpiecznej. Ale sam dotrzymam panu towarzystwa albo jeden z moich najbardziej godnych zaufania ludzi, sierżant Stafford, zajmie stosowne miejsce w pana domu.

- To znaczy gdzie?

Inspektor rozejrzał się i zatrzymał wzrok na drzwiach do

kuchni.

- Może tam.

Już miałem iść spać, gdy zadzwonił telefon.

- Mówi Cameron. Kotek już jest wśród kanarków. Wiedziałem, że ma na myśli puszczenie w obieg wiadomości o taśmie. Ciekaw byłem, kto to są kanarki.

- Byłem u Hepburnów - mówił inspektor. - Zastałem ich w domu. Wziąłem Paulę na bok i w ścisłej tajemnicy powiedziałem, że znaleźliśmy przy Swansonie list, w którym informuje go pan, iż w pańskim posiadaniu znajduje się kompromitująca taśma, nagrana przez pańską żonę.

- Jak na to zareagowała?

- Miała bardzo zmartwioną minę.

- Powie Felixowi?

- Zależy od tego, co ich łączy.

- Rozumiem. A jak pan przekaże wiadomość Page'owi? Inspektor zachichotał.

- Już nie trzeba. Był u Hepburnów. Choć poprosiłem ją o rozmowę w cztery oczy, jestem niemal pewny, że Page podsłuchiwał pod drzwiami. W każdym razie miał bardzo skwaszoną minę, gdyśmy wychodzili z pokoju. Po pożegnaniu się z nimi byłem na tyle ostrożny, że zaczekałem na ulicy. Pan Page odjechał wkrótce jaguarem z nieprzeciętną szybkością. Trudno było za nim nadążyć.

- Wrócił do domu?

- Nie. Choć było późno, pojechał do swej przyjaciółki.

- Znamy ją?

- Tak. Carol Stewart. - Zdawało mi się, że widzę uśmiech na jego twarzy. - Dobranoc panu - dodał.

Następnego ranka pogoda była wietrzna, jak to bywa wczesną wiosną, kiedy natura jeszcze się nie zdecydowała, czy ma być życzliwa, czy się srożyć. Białe słońce często znikало wśród chmur, które uciekały przed porywami wiatru.

Parę minut po dziesiątej właśnie sprzątałem po śniadaniu, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Był to Felix.

- Siemasz, Guy. Paskudny wiatr. Sypie piaskiem w oczy. Masz trochę czasu?

- Ile tylko zechcesz.

Usiedliśmy naprzeciw siebie za stołem w salonie. Felix wydawał mi się blady i zmartwiony, ale może tylko źle się czuł przy tak kapryśnej pogodzie.

- Guy, od razu przystąpię do rzeczy. Uważam, że powinienem cię ostrzec.

- Ostrzec? Przed czym?

- Ten wielce niedołążny szpicel, Cameron, złożył nam wczoraj wieczór wizytę i rozmawiał z Paulą na osobności. Naturalnie, wszystko mi powtórzyła, bo nie ma przede mną tajemnic. Krótko mówiąc, Cameron uważa, że ty coś przed nim ukrywasz.

- Naprawdę? Z jakiego powodu bym to robił?

- Mnie o to nie pytaj, stary. Ale nie ulega wątpliwości, że inspektor jest zażarty na ciebie.

- Dlatego przyszedłeś? Żeby mi o tym powiedzieć?

Zerknął na mnie. - Guy, mój drogi, chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak okropnie się wkopałeś.

- Co masz na myśli?

Felix uśmiechnął się ze współczuciem.

- Prawdę mówiąc, stary, chodzi o kilka rzeczy. Śmierć Melissy, uduszenie Mary Antrobus w twoim domku, napaść na Joyce Dean i... czy nie byłeś w Chelsea, jak strzelano do doktora Swansona?

- Cameron, zdaje się, widzi sytuację przez czarne okulary. Felix wzruszył ramionami.

- Niewątpliwie w oczach policji i prasy uważany jesteś za podejrzanego numer jeden. Jeżeli przez głupi upór nie chcesz wydać mu tej taśmy, to, bracie, marne są twoje widoki.

- Może być jednak przestał się martwić o mnie. Sam poradzę sobie z policją.

Felix wstał. Miał niewyraźną minę.

- Nie wiem, jak sobie poradzisz. Angielskie więzienia są pełne

takich, co uważali policję za bandę idiotów. Bóg mi świadkiem, nie chcę się wtrącać, ale wiesz, jak Paula i ja martwimy się o ciebie.

Poklepałem go po ramieniu i odprowadziłem do drzwi. Gdy je otworzyłem, zaskoczył mnie widok Dona wchodzącego po schodach z rękami w kieszeniach eleganckiego nieprzemakalnego płaszcza. Don zmierzył Felixa spojrzeniem.

- Cześć, Felix, nie spodziewałem się zobaczyć cię tutaj! Przecież umówiliśmy się z Paulą i tym sprzedawcą od astona martina.

- I nic się nie zmieniło, mój drogi - bardzo spokojnie odparł Felix, spoglądając na zegarek - umówiliśmy się na wpół do dwunastej.

Zabiorę tylko Paulę od fryzjera. Spotkamy się na Bond Street. Trzymaj się, Guy. Pamiętaj, co ci mówiłem.

Don stał wciąż przed drzwiami, jakby zdrętwiały, z rękami w kieszeniach.

- Pozwolisz, że wezmę twój płaszcz, Don? - spytałem trochę nerwowo.

- Dziękuję, nie trzeba. Wpadłem tylko na chwilę.

Wszedł do salonu i zaczął spacerować przed kominkiem. Na palenisku zarzył się węgiel. Ogień rozpalili sierzant Stafford. Wpuściłem go do mieszkania o wpół do siódmej rano. Z kuchni nic nie było słychać, ale wiedziałem, że każde słowo bezszelestnie nagrywa magnetofon.

- Przyszedłem, żeby cię przeprosić - nagle zaczął Don. - Chciałem powiedzieć ci wczoraj... no cóż, słowa uwięzły mi w gardle.

- Na miłość boską, Don, przestań się kręcić jak tygrys w porze karmienia. Mów śmiało... nie będzie chyba tak źle.

Przestał spacerować.

- Jest źle. Okłamałem cię co do Melissy.

- Okłamałeś? -- powtórzyłem z głupią miną. A więc to była prawda! Jednak miał z nią romans! Zerwałem się z krzesła.

Don zorientował się.

- Poczekaj, stary, źle mnie zrozumiałeś! Daj mi skończyć.

- Mów - powiedziałem lodowatym tonem.

- Tamtego wieczoru, krótko po śmierci Melissy, jak jechałeś ze mną wozem... spytałeś, czy Melissa rozmawiała ze mną o tobie.

Skinąłem głową.

- Powiedziałem, że bała się ciebie, naplotłem głupstw. Widzisz, był to stek kłamstw. Zmuszono mnie do tego.

- Kto cię zmusił? Don oblizał suche wargi.

- Joyce Dean - wykrztusił. Czekałem na dalszy ciąg.

- Guy, pamiętasz moją sprawę sprzed roku, jak potrąciłem jednego staruszka w Knightsbridge? A taki taksówkarz twierdził, że byłem pijany... no tak, byłem. Ale bałem się przyznać w sądzie. Oznaczałoby to koniec mojej kariery rajdowca. Ale cała ta paskudna historia zszarpała mi nerwy i musiałem iść do neurologa. Był nim doktor Swanson.

- Czyli jednak część tej historii jest prawdziwa...!

- Tak. Nikt nie odkrył, że byłem pijany. Jednemu tylko Swansonowi powiedziałem prawdę. Sądziłem, że mogę bezwzględnie polegać na jego dyskrecji. Niestety, nie pomyślałem o Joyce Dean. Musiała dobrać się do notatek Swansona dotyczących mojej osoby. Pewnego wieczoru przysłała do mnie i groziła, że mnie wyda.

- Wobec czego zapłaciłaś jej za milczenie.

Skinąłem głową. - Ale na tym się nie skończyło. Ta dziwka sama znalazła się w opałach. I żeby się wyplątać, znów przyczepiła się do mnie. Powiedziała, że gdyby mnie pytano o ciebie, o twoje zdrowie, mam oświadczyć, iż Melissa martwiła się o ciebie i pytała, czy nie znam jakiegoś dobrego specjalisty od chorób nerwowych. Teraz już wszystko wiesz, stary. Obrzydliwa historia... ale nareszcie spadł mi kamień z serca.

- Prędzej czy później sam bym się o tym dowiedział - odparłem oschle. - Może słyszałeś, że Joyce Dean została aresztowana?

- No cóż, jeżeli tak na to patrzysz, niepotrzebnie cię fatygowalem - powiedział z irytacją.

Wzruszyłem ramionami. Po chwili Don, wciąż w złym humorze, wyszedł, nie wyjmując ręk z kieszeni.

A ja poszedłem do kuchni. Oprócz sierżanta Stafforda był tam Cameron.

- Witam, inspektorze. Nie słyszałem, jak pan wszedł.
- Nie mógł pan słyszeć. Pozwoliłem sobie wejść od podwórza, po schodach przeciwpożarowych. A więc obaj panowie, Hepburn i Page, już tu byli?

- Tak. Ale nic nie dali poznać po sobie. Zaczynam się martwić.

- Dlaczego?

- Bo nasze nadzieje jakoś się nie spełniają.

- Tego bym nie powiedział. Dzień dopiero się zaczął. I mamy jeszcze mnóstwo czasu dla dalszych gości...

Miał rację. Około piątej po południu słuchołem muzyki, gdy ktoś zadzwonił. Ściszyłem radio i ostrożnie podszedłem do drzwi. Przyszła Paula.

Choć nadrabiała miną, odniosłem wrażenie, że nie czuje się swobodnie. Przynależem jej fotel i przygotowałem whisky.

- Masz kłopoty, Paula? Wyglądasz na zmartwioną. Zapaliła papierosa, głęboko się zaciągnęła.

- Guy, kochanie, pamiętasz, jak samochód o mało nie przejechał mnie na Shepherd's Market?

- Tak. A co?

- Widzisz, nie udało mi się sprawdzić tego, ale - jak ci wtedy mówiłam - widziałam, lub zdawało mi się, że widzę, odjeżdżający wóz sportowy.

Skinałem głową. Przypomniałem sobie, co wtedy o tym myślałem.

- Wiesz, Guy, coś równie tajemniczego zdarzyło mi się dzisiaj, tuż przed obiadem. Don umówił się z Felixem i ze mną w salonie samochodowym, żeby obejrzeć astona martina.

- Tak, słyszałem. Paula, skąd masz tyle pieniędzy? To bardzo drogie wozy.

Paula zbyła moje pytanie wzruszeniem ramion.

- Don się zjawił i zabrał mnie na przejażdżkę, żeby zademonstrować, jaki to szybki wóz. Wziął ostro szeroki zakręt koło Regent's Park i... nagle omal nie wyleciałam na drogę.

- Ale jak? Dlaczego?

- Nie bardzo wiem. Drzwi się otworzyły. Co dziwne, gotowa jestem przysiąc, że zablokowałam je, jak wsiaadłam.

- Jaka była reakcja Dona?

- Chciał mnie złapać, ale... sama nie wiem, tak się przestraszyłam... właściwie nie mogę powiedzieć, co się stało... W ostatniej chwili czegoś się przytrzymałam. Pewnie drażka biegów.

- A co na to Felix?

- Nie wiem. Jak wróciliśmy do sklepu, już go tam nie było. Odjechał moim wozem i potem go nie widziałam.

Dość długo rozmawialiśmy na ten temat. Staralem się wydobyć z niej, czy zablokowała drzwi i czy wypadek nie był rezultatem jej niedbalstwa. Pytałem, gdzie stał Felix, gdy odjeżdżali, i czy Don sprawdził drzwi po jej stronie, zanim docisnął gaz do deski. Paula dawała irytująco mętne odpowiedzi. Kiedy zegnała się ze mną, dalej nic z tego nie rozumiałem.

Wyprowadziwszy ją, pobiegłem do kuchni.

- Co pan inspektor sądzi o tej opowieści?

- Trudno powiedzieć. Mogło nic się nie zdarzyć... a jeśli coś się stało, mógł to być czysty przypadek.

- Ale nie interesowała się moją taśmą. - To pewne - potwierdził inspektor.

Koło północy inspektor i sierżant Stafford postanowili zejść z posterunku w kuchni. Wyszli po schodach przeciwpożarowych. Bardzo starannie zamknąłem na klucz drzwi od kuchni i od frontu. Obiecali wrócić wczesnym rankiem i czekać znowu. Gdyby pan Smith się w tym czasie nie zjawił, inspektor był gotów przyznać, że podstęp się nie udał i że trzeba spróbować czegoś innego. Wziąłem łagodny proszek nasenny i poszedłem spać.

Obudził mnie wiatr.

Poprzez gęstą mgłę snu uświadomiłem sobie, że okno tłucze się pod nieregularnymi podmuchami. Nie chciało mi się wstać i dość długo walczyłem z sobą, wreszcie jednak wylażłem z ciepłej pościeli, włożyłem pantofle i w półśnie poszedłem do salonu.

Było to okno wychodzące na ulicę. Pewnie nie zamknąłem go należycie, gdy obserwowałem odjeżdżający samochód Dona. Musiałem wychylić się, żeby złapać klamkę okna. Rzuciłem

okiem na słabo oświetloną ulicę i zobaczyłem coś, od czego obleciały mnie ciarki.

Na dole, przy chodniku, stał żółty volkswagen Pauli.

Wolno sięgnąłem ręką i zamknąłem okno.

Gdy się odwróciłem, wyczułem, że ktoś jest w ciemnym pokoju. Nic nie widziałem ani nie słyszałem, a jednak wyczuwałem obecność nieproszonego gościa.

Zacząłem ostrożnie, cal po calu, zbliżać się do lampy na biurku obok fotografii Melissy. Gdy się pochylilem, by zapalić lampę, musnąłem ramieniem długą zasłonę za biurkiem. Lufa pistoletu, poprzez materiał, dotknęła moich pleców i usłyszałem szept:

- Żadnego światła.

Zamarłem w bezruchu. Czuję ledwie dostrzegalny oddech za sobą. Ten, kto się ukrył za zasłoną, musiał wstrzymać oddech, gdy stanąłem przy oknie.

Spytałem cicho: - Skąd się tu wzięłeś?

- Mam klucz. Zawsze miałem. Gdzie taśma? Nadstawiłem ucha, by poznać głos. Byłem pewny, że go skądś

znam, ale wydawał się dziwnie zniekształcony, jakby intruz miał maskę na twarzy.

- Taśma jest tam - powiedziałem. - W szufladzie biurka.

- Już przeszukałem to biurko, niech je diabli wezmą! Starając się zachować spokój, a nawet obojętność, odparłem:

- Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. W biurku jest ukryta szuflada.

- Dawaj tę taśmę! Tylko bez kawałów! Zabiłem Melissę i Mary Antrobus. Jak mi Bóg miły, ciebie też zabiję, jak się będziesz stawiał!

- Wcale nie będę, przyjacielu - odparłem łagodnie. - Nie jestem taki głupi.

Podszedłem do biurka i udając, że chcę wyciągnąć szufladę, nagle zapaliłem lampę. Dobrze ubrany mężczyzna w nylonowej masce na twarzy zawahał się na ułamek sekundy, po czym podniósł w górę pistolet i z okrzykiem doskoczył do mnie. Kolbą pistoletu zadał mi cios w bok głowy - runąłem przed siebie na dywan.

Nagle w całym pokoju zabłysło światło. Napastnik rzucił się do ucieczki. Z kuchni wypadł sierżant Stafford, a za nim Cameron, który krzyknął:- Stój, bo strzelam! - i sięgnął po broń. Chciałem wstać, ale tysiąc szatanów biło już w bębny w mej głowie i zdałem sobie sprawę, że nie dam rady. Zanim zemdlałem, bębny umilkły - usłyszałem jeszcze odgłosy walki i huk strzału.

Gdy odzyskałem przytomność, inspektor patrzył na mnie z góry.

- Co... co pana skłoniło do powrotu? - spytałem.

- My wcale daleko nie odeszliśmy-odparł inspektor. - Domyślałem się, że Smith wróci, nocą, pasowało to do jego metody.

Z trudem wstałem, miałem mdłości.

- Gdzie on jest? - spytałem.

- W hallu - spokojnie odpowiedział Cameron. - Wezwaliśmy karetkę, ale chyba umrze, zanim przyjadą. Jego pistolet wypalił mu w twarz.

Przytrzymałem się Camerona, po czym wolno poszedłem do hallu.

Leżał na podłodze. Ktoś, pewnie inspektor, zwinął mój stary płaszcz i podłożył mu pod głowę.

Nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Stałem bez słowa i patrzyłem na niego. Byłem zły i oburzony, ale zrobiło mi się dziwnie smutno. Po chwili Felix poruszył ręką. Wiedziałem, że mnie poznał.

- Siemasz, Guy - szepnął.

Po spisaniu ostatnich wyjaśnień inspektor odprowadził mnie do domu. Przystanęliśmy na chwilę przy bramie.

- Na pańskim miejscu panie Foster wyjechałbym na parę tygodni i starał się zapomnieć o całej tej historii.

Powiedziałem mu o propozycji, jaką dostałem rano. Zadzwoił mój przyjaciel z San Francisco i zaproponował pracę w magazynie ilustrowanym.

Przyjąłem tę propozycję i w czwartek miałem polecieć do Kalifornii.

- Bardzo mnie to cieszy -- powiedział Cameron. -- Miałem nadzieję, że coś takiego panu się trafi. - Położył mi rękę na

ramieniu.

- Należy się panu zmiana otoczenia. Dobrze pan zrobił, przyjmując propozycję przyjaciela.

Ale w środę wieczór nagle się rozmyśliłem. Wysłałem przyjacielowi telegram, zrezygnowałem z podróży. Mówiłem sobie, że jestem zmęczony, już niemłody i że trzeba skończyć powieść. Ale w głębi duszy wiedziałem, że to tylko wymówka. Znałem prawdziwy powód mej rezygnacji. Kalifornia była tak daleko. Tak daleko od Melissy...

Francis Durbridge, współczesny pisarz angielski, urodził się w roku 1912 w Hull. Na uniwersytecie w Birmingham studiował literaturę angielską i ekonomię. Debiutował w BBC przeszło czterdzieści lat temu. W roku 1942 BBC nadawało serial Durbridge'a o przygodach niejakiego Paula Temple'a. Sympatyczny Temple stał się najsłynniejszym detektywem radiowym, pisarzowi zaś przyniósł światowy rozgłos.

Od dwudziestu lat Durbridge współpracuje stale z telewizją. Należy do najpopularniejszych autorów telewizyjnych seriali. Napisał też wiele poczytnych powieści kryminalnych, scenariuszy filmowych i sztuk.

Trzecia znana polskim czytelnikom powieść Durbridge'a – „Moja żona Melissa” – to zagadka kryminalna rozgrywająca się współcześnie w Londynie.

